OLEG DIWOW

NAJLEPSZA ZAŁOGA SŁONECZNEGO

TOM 1

fabryka słów

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Po nową książkę Diwowa sięgnąłem zupełnie przypadkowo. Zasadniczo nie czytuję science fiction. Nie żebym jakoś strasznie nie przepadał za tym gatunkiem, ale wolę fantasy, a biorąc pod uwagę wysyp nowości książkowych każdego miesiąca, zazwyczaj nie mogę narzekać na wybór pozycji z tego gatunku. Skąd zatem Najlepsza załoga Słonecznego? Zainteresowała mnie okładką odmienną od tych, do których przyzwyczaiła nas Fabryka Słów. Układając w pracy nową dostawę książek chciałem pobieżnie rzucić na nią okiem – "cóż to takiego?" i wsiąkłem… Stojąc w przeciągu, w półotwartych drzwiach na zaplecze, na jakieś pół godziny. Bez mała siłą oderwałem się od lektury obiecując samemu sobie, że wrócę do niej po pracy. Ponieważ właśnie skończyłem czytać, chciałbym się z Wami podzielić swoimi odczuciami na jej temat.

Diwow opisuje świat po III wojnie światowej i po globalnym konflikcie jądrowym rozpoczętym w 2400 roku. Ludzie skolonizowali Wenus i Marsa. Zdążyli również odbyć dwie kampanie tłumiące rebelie wyzwoleńcze na tych planetach. W Układzie Słonecznym nastał pokój. Mniej więcej w tym momencie poznajemy załogę flagowego okrętu dowódcy Grupy F, admirała Olega Uspienskiego. Tak naprawdę styczność mamy jedynie z oficerami i zwierzchnikami poszczególnych grup – mechaników, nawigatorów etc. co daje nam wizję stylu życia wojskowych astronautów. Każdy jeden statek zamienia się w puszkę z kilkusetosobową grupą niestabilnych psychicznie osobników, którzy z czasem nie chcą już schodzić na powierzchnię. Statki są ich całym życiem, domem, ostoją. Część z nich posiada rodziny „na dole”, jednak kontakt z nimi zamienia się w przelewanie żołdu na ich konta. Groźba rozwiązania floty galaktycznej i związane z tym przejście do cywila i powrót do życia na powierzchni szczególnie dotyka właśnie tych ludzi. Jak będą sobie z tym radzić i co z tego wyniknie? O tym właśnie przeczytacie w pierwszym tomie Najlepszej załogi Słonecznego.

Co zatem sprawia, że książka tak przyciąga? Humor, zarówno słowny jak i sytuacyjny. Czasem prosty, dosadny – żołnierski, jak namalowany nieusuwalną farbą na dnie basenu statku flagowego ponad dwumetrowy "fallus", a czasem żart ukryty między wierszami. Wszystko to okraszone całą gamą odwołań do popularnych dzieł z gatunku science fiction. Statki floty noszą dumnie imiona dzielnych bohaterów różnych galaktyk. Od Ripley począwszy, przez Pirxa, aż po admiralskiego "cruisera" Paula Atrydę zwanego pieszczotliwie Muad’Dibem. Czytając Najlepszą załogę Słonecznego czuć specyfikę słowiańskiego pochodzenia autora. Jak w polskich filmach głównego

nurtu – na porządku dziennym jest wódka, nagie kobiety i dosadny język. Stosunki między załogantami mógłbym porównać do tych, które w armii zaprezentował nam w swojej Achai Andrzej Ziemiański. Klimat na statku momentami żywcem przypomina klasyczny angielski serial Czerwony Karzeł, a to wszystko składa się na książkę przywodzącą na myśl hellerowski Paragraf 22. Dużo akcji, zaskakujące zwroty fabuły, intryga rysująca się w tle i charakterystyczni bohaterowie sprawiają, że ani na moment nie chcemy oderwać się od lektury.

Warto dodać również kilka słów na temat tłumaczenia. Eugeniusz Dębski jest doskonale znany polskim miłośnikom fantastyki zarówno ze swoich tekstów jak i tłumaczeń rosyjskich autorów. Porównywać do oryginału nie mam możliwości, jednak przekład czytało mi się bardzo dobrze. Nie odczułem zgrzytów, które potrafią wyjść w zbyt dosłownych tłumaczeniach, a nieliczne pozostawione w oryginalnym brzmieniu słowa tylko dodawały wiarygodności zarówno bohaterom pochodzenia rosyjskiego jak i językowi floty.

Największą wadą książki jest jej długość. Tom pierwszy ma zaledwie 195 stron plus słownik, w którym wytłumaczone są między innymi nawiązania literackie i wyjaśnione niektóre pojęcia ważne dla świata przedstawionego. Czy zatem nie można było wydać obu tomów w jednej książce? Mam nadzieję, że nie jest to eskalacja procederu dzielenia polskich wydań na "podtomy" (w czym przoduje Zysk z martinowską Pieśnią Lodu i Ognia) i że w tym wypadku podział narzucony został przez oryginalne wydanie. Pozostaje mi zatem czekać na ciąg dalszy przygód Najlepszej załogi Słonecznego. Na szczęście drugi tom ma się pojawić już w tym miesiącu.

- Oleg Diwow
  - ○
  - ○
  - ○ Część pierwsza. Nad Ziemią
  - ○ Słownik

OLEG DIWOW

NAJLEPSZA ZAŁOGA SŁONECZNEGO

TOM 1

fabryka słów

Oleg Diwow

Najlepsza załoga słonecznego. Tom 1

Z języka rosyjskiego przełożył Eugeniusz Dębski

Nie pasowali ani do miejsca, ani do przestrzeni.

No to kim mieli zostać, jak nie bohaterami?

księżniczka Lea

Część pierwsza. Nad Ziemią

Dyżurny nawigator Ive Kendall miała na sobie bojowy speckostium i niteczkę od tampaxa. Jak stoi w obu instrukcjach: służby pokładowej i używania tamponów, i jedno, i drugie musi mieć bezpośredni kontakt z nagim ciałem. Tampax – wiadomo, zaś strój roboczy wojskowego astronauty należy wkładać na gołą skórę, bo łatwiej wtedy wyczuć pracę wzmacniaczy. Speckostium jest specyficznym rodzajem broni i nauka efektywnego wykorzystywania go trwa czasem lata. Poza tym w speckostiumie nie wolno wychodzić poza bramy baz naziemnych – gdybyś łupnął kogoś w łeb, tamten straciłby głowę, a ty szukałbyś protezy ręki.

Przypięcie butów momentalnie zmienia speckostium w skafander – wystarczy nałożyć jeszcze kaptur i opuścić maskę. Jednak Ive wsunęła buty pod swój pulpit. Astronauci lubią chodzić w pracy boso. Po pierwsze, podłoga na statku jest sterylna, lekko podgrzana i miła w dotyku. Po drugie, buty są ciężkie. Po trzecie, poruszanie się po statku bez butów jest kategorycznie zabronione.

Ale kiedy na statku panuje już taki burdel, że za jego stan i mobilność odpowiada kobieta, której lada moment zacznie się okres, na posterunku można siedzieć nawet nago.

Zresztą taka postawa w ogóle nie może być uważana za naganną w porównaniu z tym, że kanonier Fox trzy dni temu złamał nos starszemu technikowi.

Tym bardziej że w sejfie małego sztabu operacyjnego wykryto kanister samogonu.

A kontrolne zwierciadło coś nawala.

I na dnie basenu jakiś samorodny talent bardzo realistycznie narysował aktywną farbą dwumetrowego fallusa. Farba wżarła się w pokrycie, a basen ma takie gabaryty, że można go wywalić na śmietnik tylko razem ze statkiem. Nikt też nie da rady zamalować tego świństwa, ponieważ aktywny barwnik natychmiast przesączy się przez nową farbę.

Pod naporem tych okoliczności zastępca dowódcy okrętu, Borowski, który jeszcze pół roku temu prędzej by się powiesił, niż wstawił na dyżur kobietę w krytycznym stanie, powiedział tylko: *Candy, postaraj się trochę, OK?* A Candy brakowało tylko jednego dyżuru w tym miesiącu, żeby w księgowości dopisali jej do poborów jedno zero.

Candy-Cukiereczek włączono do Grupy F jako raaster-nawigatora, kapitana-porucznika Ivettę Kendall. Była ostrzyżoną na chłopca zielonooką blondynką, miała trzydzieści lat i naprawdę dobrze sterowała statkami. Na jej mundurze wyjściowym lśniły dwa Latające

Medale, imponujący Krzyż Lotnika i bardzo rzadkie w gronie astronautów Purpurowe Serce. To poważna sprawa, dlatego najostrzejszym dowcipnisiom nie udało się dla niej dotąd wymyślić przezwiska. Rzecz w tym, że wojskowy astronauta rzadko kiedy ma okazję być rannym. Z reguły od razu jest zabity. Nawet nie tyle na śmierć, co na strzępy albo i na gluty. Z przebitym pancerzem można wojować, ale z dziurą w pancerzu i speckostiumie – nie bardzo. To jest, jak mawiał admirał Raszyn, stuprocentowy *pizdiec*.

W całej Grupie F kawalerów Purpurowego Serca było troje i wszyscy znajdowali się w obsadzie statku flagowego: trzygwiazdkowy admirał Raszyn, jednocześnie dowódca „Skoczka", pierwszy oficer commander Jean Paul Borowski i master-nawigator kapitan-porucznik Ivetta Kendall.

Raszyn otrzymał Purpurowe Serce w pomroce dziejów, kiedy ledwie dochrapał się kapitana (i jeszcze nie miał dumnego przezwiska Raszyn). Ktoś tam do niego strzelał i on też kogoś kropnął. Borowski oraz Candy załapali po medalu razem – za drugą kampanię marsjańską. Prawie stali się ofiarami dywersji, gdy prowadzili na bazę zdobyczny battleship „Enterprise". Ta olbrzymia puszka wielkości Fobosa nieoczekiwanie zbiesiła się i tak walnęła we wzmiankowanego satelitę, że musiała pójść na złom. Borowski, który przed uderzeniem zdążył się odpiąć i stał, został rozsmarowany na ścianie, więc próbę staranowania Fobosa przerobił pasywnie, walając się na podłodze bez przytomności. Candy walczyła o statek do końca, do ostatniej sekundy. Wywalczyła tyle, że uderzenie z czołowego zmieniło się w boczne i wyszłaby z zabawy bez szwanku, gdyby nie pękła konsola przy fotelu pilota. Krawędź pulpitu zrobiła Ive szczerbę na trzech żebrach, a w masce speckostiumu znalazło się trzydzieści zębów. Została jej pamiątka w postaci blizny pod lewą piersią, ładne zęby na koszt admiralicji i medal. Opowiadają też, że sam Raszyn niósł ją na rękach i niemal płakał. Kendall nie miała z tego powodu żadnej radochy, ponieważ w tym momencie odwalała kitę i już pojawił się przy niej ktoś biały i skrzydlaty. I pewnie zabrałby ją do siebie, gdyby nie speckostium i determinacja Raszyna. Speckostium nie pozwalał jej umrzeć od razu z powodu deformacji uderzeniowej, a Raszyn doprowadził „Skoczka" do Fobosa z takimi przeciążeniami, że cała załoga przez tydzień chodziła do tyłu. Nawiasem mówiąc, admirał przeciążenia odchorowuje naprawdę ciężko. Zresztą ma już swoje lata, czterdzieści sześć. Gdyby zatroszczył się o siebie i dotarł później o jakieś dwadzieścia minut – Kendall miałaby również drugi medal, i to pośmiertny.

Teraz, kiedy wojna się skończyła, dyżurować można było na bosaka i bez majtek, starsi oficerowie walili się po pyskach jak gówniarze z akademii, a w basenie ktoś namalował członek. Admirał

poleciał na dół na naradę. Jedynym pozytywnym wydarzeniem było przybycie nowego starszego technika, który miał kontrolować zwierciadła. Facet nazywał się Werner. Przystojniacha… Kocia twarz. *Proszę do mnie mówić Andy, pani kapitan. – A pan będzie do mnie mówił Candy, poruczniku? Andy i Candy. Co? – Przepraszam, pani kapitan, chyba palnąłem coś głupiego. – Proszę się nie przejmować, poruczniku. Po prostu chciałam tak delikatnie napomknąć, że jeszcze nie jest pan swoim na „Skoczku". Udało mi się? – Udało się, pani kapitan. Przyjąłem do wiadomości. Proszę, jeśli to pani nie sprawi kłopotu, odciąć zasilanie, o tu. – Nie ma sprawy… Andy. – Dziękuję, pani kapitan.*

Zachowuje się jak weteran. Jakieś trzydzieści pięć lat. Mógłby być już kapitanem, a jest porucznikiem. Ale na piersi ma baretkę. Jeden jedyny medal. Czwarte na „Skoczku" Purpurowe Serce. Hmm… Ive w zamyśleniu przerzuciła na swoim terminalu kilka stron kobiecego romansu (jeszcze jedno poważne służbowe wykroczenie) i odwróciła się do ogromnego ekranu wielkości całej ściany. „Skoczek" leciał nad Rosją. Pod statkiem panował mrok, legendarny kraj wyglądał z orbity jak przerażająca w swej wielkości czarna dziura.

W kącie Werner jedną ręką wypisywał rozkazy na listwie przenośnego terminala, a drugą przełączał kontakty. Pracował z wyraźną przyjemnością, aż miło popatrzeć. Jeszcze ładniejsze było to, że przy każdym ruchu głowy skakał mu z ramienia na ramię długi, niemal sięgający łopatek brązowy ogon związany gumką z czarną kokardą. Tak, włosy miał po prostu zadzierżyste. Błyszczące i zadbane. Ive rozkoszowała się chwilę ich widokiem, potem dotknęła swojej grzywki i zamarła trafiona domysłem. Na „Skoczku" wszyscy mężczyźni po zakończeniu wojny zaczęli zapuszczać takie ogony, wzorując się na średniowiecznych arystokratach. W ramach protestu: *Możecie sobie rozwiązywać wojsko, my będziemy chodzili tacy – nieogoleni i nieostrzyżeni* – ale na razie te ogonki chłopaki mieli skąpe. A Andy… W takim razie master-technik porucznik Werner od bardzo dawna nie był w przestrzeni. A już na pewno nie na statkach bojowych.

Ive akurat przymierzała się, by zadać mu jakieś sprytne prowokujące pytanie, gdy na Stanowisko Dowodzenia Okrętem weszła, klapiąc bosymi nogami, Linda.

– Hi, matka! – odezwała się od progu. – Jak tam twoje życie płciowe?

W odróżnieniu od Ive, Linda nie miała dyżuru, za to miała na sobie majtki. Zaś poza majtkami nie miała na sobie nic. Werner rzucił na nią kose spojrzenie, nieoczekiwanie zawstydził się i zanurzył w swojej maszynerii aż po pas.

– Życie jak w Madrycie – odpowiedziała Candy wsłuchana w dziwne dźwięki gdzieś w duszy. Nie miała żadnych doświadczeń homo i nie chciała się przyznać przed samą sobą, że duża i silna białowłosa

Linda jakoś ją podnieca. Nagle zaczęła sobie wyobrażać, jak ta ciężka, duża pierś z brązowymi sutkami spoczywa na jej brzuchu, wielkie, chciwe usta obejmują w całości każdą z jej małych, spiczastych piersi, mocna dłoń pewnie rozsuwa kolana i władcze palce jednym ruchem, niemal uderzeniem, zanurzają się w niej… Żeby ten widok zniknął jej sprzed oczu, musiała zamknąć powieki i potrząsnąć głową. Oczywiście w *realu* nic takiego nie mogło mieć miejsca, a Ive nawet nie bardzo by tego chciała. Od blondynki w tej chwili biła jednak tak mocna fala seksualnych emocji, że nie poddać się jej było naprawdę trudno.

– Czego się krzywisz? – zapytała Linda. – Źle się czujesz?

– Nie tam… – machnęła ręką Candy. – Pierwszy dzień. Piersi mnie bolą i w ogóle…

– Aaa… Wyrazy współczucia. Weź tabletkę.

– Już wzięłam. A co u ciebie, siostro?

– Mnie już tabletki nie pomagają. Pora na dół. Rżnąć się.

Werner, który w tym momencie wypełzał tyłem z trzewi pulpitu kontrolnego, mocno huknął o coś głową i mruknął niezrozumiale kilka słów. Linda drapieżnie wlepiła wzrok w jego tyłek i odruchowo podrapała się po swoim.

– Wytrzymaj jeszcze tydzień – powiedziała współczującym tonem Ive. Ona i blondyna służyły na jednej zmianie, więc za osiem dni miały również razem ruszyć na dół, czyli na Ziemię – na wypoczynek i kursy treningowe. W pokojowych czasach służba Grupy F odbywała się w cyklach dwutygodniowych. Czternaście dni na górze, doba na wymianę i trzynaście na dole. Na górze z reguły nie było czasu na myślenie o seksie, zresztą jeszcze do niedawna załoga żyła jak rodzina. Bracia i siostry. Wszyscy się kochają, troszczą o siebie, niemal zdmuchują pyłki z drogi. Bezeceństwa na statkach Grupy F zaczęto obserwować stosunkowo niedawno. Armia przeżywała głęboki kryzys, ludzie z trudem sobie z tym radzili.

– Za tydzień akurat mi się okres zacznie – powiedziała Linda. – Ale co tam, siostro! Widzę, że masz się dobrze. Służba ci służy. Idę, zgwałcę kogoś… – Mocno trzepnęła Candy w ramię, cmoknęła przez zęby w stronę stojącego cicho w kącie Wernera i demonstracyjnie kręcąc biodrami, opuściła SDO. Technik wsadził nos w monitor i zaczął zawodowo walić w listwę. Ive zaś gapiła się na jego uczesanie. Potem gdzieś nieopodal Linda ryknęła: *Siemano, ojciec! Jak tam życie płciowe?* Rozległ się rechot i dźwięczne klaskania w gołe ciało.

– O ile wiem, na krążownikach powinien być etatowy psycholog – nieoczekiwanie rzucił, nie odrywając się od pracy, Werner.

– Właśnie tu był – odparła obojętnie Ive.

Master-technik odwrócił się i popatrzył na nią lekko zdziwiony. Ona zaś odnotowała, że ma piękne oczy, i spuściła wzrok.

– Masz ci los! – burknął.

– Przerobiła z nami całą drugą kampanię marsjańską – zauważyła Candy. – Jest dosłownie bezcenna. Nawiasem mówiąc, ma stopień kapitana.

– A właśnie, co do drugiej marsjańskiej – zmienił temat technik. – Chciałem zapytać… Jak pani zdobyła Purpurowe Serce, pani kapitan?

– Walczyłam – odpowiedziała oschle. Aż się sama lekko zawstydziła swojego tonu. – A pan, poruczniku?

– Chorowałem – odburknął Werner i wrócił do pracy.

Obraził się – pomyślała Ive. – *Głupek jeden.*

Znów spojrzała na ekran. W polu widzenia pojawiło się potworne cielsko wiszącego na geostacjonarnej orbicie megadestroyera „John Gordon". Jaskrawobiałą literę F znajdującą się na jego ogromnym czarnym brzuszysku można było zobaczyć z Ziemi przez zwyczajną lornetkę teatralną. Przy pomocy tej litery „Gordon" wykonywał większą część swoich zadań – przypominał, kto tu rządzi. Niestety, marsjańscy koloniści przepełnieni szaloną butą zapomnieli, że mając nad głowami bombera, lepiej zachować spokój i pokorę. A potem ich przykładem zaraziła się Wenus. I wtedy bombery przestały straszyć, a zaczęły bombardować.

Mały „Skoczek" na tle „Gordona" wyglądał niczym pchła. Ale tylko wyglądał, ponieważ na tym niewielkim statku (inaczej zwanym „Muad'Dib" albo „Nasz Mahdi", albo i „Stary Paul") trzymał sztandar dowódca Grupy F, admirał Raszyn. A sam „Skoczek" wpisany był do rejestru admiralicji jako krążownik serii 100 „Paul Atrydes".

Teoretycznie Raszyn powinien znajdować się właśnie na „Gordonie" lub na analogicznym dupku serii 105, w końcu zbudowano pełno tego badziewia. Ale po jednym niemiłym incydencie dowódca grupy przysiągł, że do emerytury będzie latał tylko na krążownikach, a słowo miał mocne. Dlatego na „Gordonie" ulokował się kontradmirał Tyłek ze swoim rozbuchanym sztabem planistów, analityków i innych szczurów sztabowych. A Raszyn galopował na „Skoczku" w jego ciasnych kajutach, z minimum wygód, niewielką załogą i na nic się nie uskarżał. Statek przystosowany do lotów atmosferycznych całkowicie go urządzał. Pewnego razu taki krążownik, „Lock von Rey", uratował mu życie. Miało to miejsce jeszcze podczas pierwszej kampanii marsjańskiej. Raszyn był kapitanem i zanurkował wtedy na „von Reyu" w Jowisza.

Dyżurna zmiana przegapiła wówczas wroga. Battleship „Enterprise", ten sam pechowy statek, którym Ive sypnęła w Fobosa i który przez całą wojnę chronicznie przechodził z rąk do rąk, przycisnął „von Reya" na trawersie Jowisza. Otoczył ruchomymi minami, wypuścił całe skrzydło fighterów w celu przechwycenia, przydusił do powierzchni i zaczął rozstrzeliwać. Raszyn nie miał innego wyjścia, zapikował w atmosferę i tonął w niej tak długo, aż

wiszące mu na ogonie fightery zaczęły się spłaszczać jak puszki po piwie. Przez miesiąc „von Rey", stękając i jęcząc, wisiał w koszmarnej bąblującej kaszy, pod wielokrotnym przeciążeniem na granicy swojej wytrzymałości. Statek cierpliwie znosił tę torturę, z załogą było jednak gorzej. Leżysz, człowieku, z perspektywą zmiażdżenia, dzień po dniu, dzień po dniu, i ledwie dychasz, a gdzieś nad tobą baraszkuje ogromny battleship. I tak mijają dni i dni… Normalnych to z tej afery wyszło może dziesięciu ludzi z niezłomnym Raszynem na czele. W tych, co zaczynali fiksować, lekarz pompował antydepresanty i zmuszał ich do snu. Niestety, dwudziestego ósmego dnia sam strzelił sobie w łeb, kiedy dragi się skończyły, a i jego psychika zaczęła siadać. Medyk zdecydował, że nie jest już tu nikomu potrzebny. Zaś trzydziestego dnia „von Rey" wynurzył się z atmosfery niczym łódź podwodna, wygrzał „Enterprise" po zwierciadłach, rozwalił je wszystkie w trzy dupy i ominąwszy battleship dużym łukiem, runął do bazy. Raszyn oddał załogę do psychiatryka, dostał stopień commandera, Medal za Bezczelność i nowiutkiego, prosto z fabryki, „Ericka Johna Starka", sistership „Gordona". Ale dowódcy po nurkowaniu w Jowiszu w jednej chwili posiwiały skronie. I nie zgodził się na megadestroyer. Taki statek, choć mógł przedziurawić ostrzałem planetę, nie był w stanie wejść w jakąkolwiek gęstą atmosferę. A Raszyn już zrozumiał, do czego się przydają gęste atmosfery, i wytłumaczył to innym.

Poza tym nie chciał bombardować separatystów. Jego specjalnością była walka w przestrzeni – atakował, rozbijał i zajmował statki powstańców. Megadestroyery zaś waliły z kosmosu w powierzchnię, nie sprawdzając, czy atakują cywilów, czy wojsko. Tak więc po przyjęciu dowództwa nad „Starkiem" świeżo upieczonego commandera nie czekała sława i on doskonale o tym wiedział.

Wtedy dowódca Raszyna, wiceadmirał König, podniósł na niego głos. Przy świadkach wygłosił swoją historyczną mowę, w której mniej więcej dziesięć razy powtórzył: *Ach, ty ruski tapeciarzu!* Przy tych samych świadkach Raszyn mu odpowiedział: *Zgadza się. Nie przeczę, że jestem tapeciarzem. I nie przeczę, że ruskim. I jestem dumny ze swojej rosyjskiej krwi. Jako rosyjski oficer oświadczam panu, że zawsze walczyłem w zgodzie z zasadami honoru i będę tak postępował również w przyszłości. Proszę mi dać dobry statek i wysłać do eliminowania złych statków. A tą chujozą niech pan sobie dowodzi sam. I w przyszłości, panie admirale, proszę zapomnieć o moim prawdziwym nazwisku. Proszę mówić po prostu: „commander russian". Będę zobowiązany.*

König najpierw złapał się za serce, potem za pistolet. Raszyn był w speckostiumie i już zamierzał palnąć przełożonego w łeb, co pewnie skończyłoby się żałośnie, ale w tym momencie zabrał głos admirał floty, nieboszczyk Hunter.

Odczep się od chłopaka, König – polecił. – *Nie masz racji. A pan, commanderze – baczność. Regulaminowo, jasne? Czyli zrobimy tak: niedługo kończą się polowe testy jeszcze jednej „setki". Miała być dla mnie. Ale oddam ją panu. Statek nazywa się „Paul Atrydes". Taka nazwa zobowiązuje. Na takim statku nie wolno sobie robić jaj. Proszę więc iść i szykować się do objęcia jednostki, a przy okazji przejmuje pan wszystkie siły osłony Grupy F. I niech pan skleci mi z nich takie skrzydło, żeby ani jedno marsjańskie bydlę nie odkleiło się od powierzchni. A jeśli za miesiąc jakieś czerwonodupskie ścierwo będzie jeszcze latało, zdegraduję pana i posadzę. Czy wszystko jasne?*

Tak jest, panie admirale floty – wyskandował Raszyn. – *Proszę o pozwolenie zameldowania. Jedno ścierwo będzie latało. Ale źle i niedaleko.*

A jakież to? – zdziwił się Hunter.

„Enterprise".

Stary astronauta zarechotał i śmiał się długo, czerwieniejąc na twarzy i klepiąc się dłońmi po kolanach.

Dobra – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – *„Enterprise" niech sobie na razie lata. Nie mamy do niego głowy. Odmeldować się… i walczcie przykładnie… commanderze Raszyn.*

Tym sposobem Raszyn zdobył ksywkę, która przylgnęła do niego na stałe. „Enterprise" dokuśtykał do Marsa dopiero pod sam koniec wojny i pojawił się na orbicie całkowicie już lojalny, z zamkniętymi w karcerze oficerami, a z poszyciem pokrytym demaskującą białą farbą. Przez jakiś czas działał pod ziemską flagą i w zasadzie miał już być przemianowany, zdecydowano jednak, że okręt jest przestarzały, zaniechano remontu kapitalnego i postanowiono opchnąć go na rynku wtórnym. Rynek wtórny jednak „Enterprise" olał – na statku z tak zniszczoną częścią napędową nie warto było wozić nawet śmieci. Wtedy zrujnowany battleship zwrócono Marsjanom, którym udało się go posztukować i uzbroić. Na samym początku nowej kampanii został jednak przejęty przez grupę dywersyjną Ziemian, przeprowadzony na Wenus i to był – jak się okazało – mało szczęśliwy ruch. Wenusjanie ogłosili wkrótce suwerenność i jeszcze długo straszyli tym statkiem Ziemię. Potem „Enterprise" przekazano z powrotem Marsjanom, jeszcze jakiś czas walczył w pasie asteroidów, ale po raz drugi napotkał wojowników Raszyna i musiał się poddać. Wprawdzie pozostawiony przez powstańców zaawansowany wirus komputerowy nieźle dopiekł master-nawigatorowi Ivetcie Kendall, niemniej na tym historia „Enterprise'a" już się skończyła.

Teraz „Skoczek" przeleciał w odległości stu kilometrów od „Gordona". Gigant śmierci rzucił Ive na terminal dyżurne: *OK?* Komputer potwierdził sam, że *OK, pomyślnej służby* – na tym wymiana uprzejmości się skończyła. A na SDO wkroczył Fox w otoczeniu kłębów siwego dymu. Z ust sterczała mu kwadratowa w przekroju

hawana o wprawiającej w zdumienie długości. Pod lewym okiem kanoniera widniał fioletowy siniec. Buty oczywiście gdzieś zgubił.

– Cześć, Cukiereczku! – rzucił, wyjął cygaro z ust i zbliżył się do kapitan-porucznik. – Niech cię, słoneczko, ucałuję!

Ive roześmiała się, pozwoliła, by po ojcowsku cmoknął ją w czubek głowy, i sama potarmosiła go za tłusty policzek. Przez ostanie kilka miesięcy mający pewne skłonności do tycia Fox przybrał na wadze bardzo wyraźnie. Kombinezon niemal na nim trzeszczał.

Oficjalna nazwa jego stanowiska brzmiała: *starszy ekspert ogniowego współdziałania.* Dlatego nikt nie mówił o nim inaczej jak *kanonier*.

– Czołem, Andre! Co u ciebie? – zapytał Fox Wernera. Powiedział to po francusku, żeby podkreślić poufałość i zwracanie się na *ty*. Ive uniosła brwi, nie przyszło jej do głowy, że ktoś na „Skoczku" może znać nowego technika długo i dobrze.

– Dzięki, Michael, w porządku – rzucił ten przez ramię. – A czemu ciągle nosisz tego siniaka?

– Noszę go jak medal – z dumą odpowiedział Fox. – Co tam ze zwierciadłem u starego „Paula"?

– Wygląda mi na fabryczną usterkę w jednym bloku. Nic poważnego. I co to ciebie obchodzi? My kierujemy, ty bombardujesz… Jak wolniej lecimy, celność się poprawia.

– Mnie wszystko obchodzi – oświadczył kanonier. – Kocham starego „Paula" całym sercem. Interesują mnie wszystkie drobiazgi. Nawet to, że nasza Linda przechodzi psychozę seksualną. Cukiereczku, załapałaś się kiedyś na psychozę seksualną? Przy okazji, z was, dzieci, to by wyszła wspaniała para! Andy i Candy!

Ive skinęła na Foxa, a kiedy ten się pochylił, chwyciła go za nos dwoma palcami.

– Daj, nie czeba! – zawył grubas. – Wincej nie byndę!

– Dobrze ci tak – zaaprobował egzekucję Werner – plotkarzu!

Candy puściła nos kanoniera i chwyciła go za kołnierz, żeby nie uciekł.

– Skąd go znasz, Michael? – syknęła mu do ucha.

– Bo co? – szeptem zdziwił się Fox, rozmasowując zarumieniony nochal. – Andy służył na „von Reyu". Obaj jesteśmy z pierwszej załogi Raszyna. Tyle że ja przed samym Jowiszem zostałem wysłany na trening. A Andy… Widziałaś jego baretkę Serca? No, to już wiesz.

– Aaa… – przeciągnęła Ive wieloznacznie, niczego nie rozumiejąc.

Grubas włożył cygaro do ust i wziął się pod boki.

– Na „Skoczku" mamy obecnie wręcz unikatową społeczność – powiedział na cały głos. – Całe cztery Purpurowe Serca, a w tym dwoje Rosjan. Jeszcze będziecie o nas pieśni układać. I legendy.

– A kto jest tym drugim Ruskim? – zdziwiła się kapitan-porucznik.

– No przecież on! – Kanonier wskazał cygarem Wernera.

– Czekaj, Andrew, czy on to mówi poważnie?

Technik czymś szczęknął, z zadowoloną miną podrzucił zdefektowany blok i wsunął na miejsce panel kontrolny. Zepsuty moduł cisnął niedbale do torby z narzędziami, usiadł okrakiem na krześle, ułożył ręce na oparciu i oparł na nich brodę. I popatrzył Ive w oczy tak, że dziewczyna zmieszała się ostatecznie.

– A dlaczego nie? – zapytał.

– Aaa… – powiedziała znowu Candy.

– Nazwisko służy maskowaniu – wyjaśnił Fox. – Żeby się nie czepiali.

– Papla – rzucił z uśmiechem Werner. – Proszę nie słuchać Mike'a, pani kapitan. To moje prawdziwe nazwisko. Moi przodkowie byli zrusyfikowanymi Niemcami. Wernerowie mieszkali w Rosji od siedemnastego wieku aż do Kotłowaniny. I potem też krzyżowali się wyłącznie z czystej krwi Rosjanami. Tak więc jestem Rosjaninem w stu procentach. Tak jak admirał Raszyn.

– Ale Raszyn ma imię… – bąknęła Ive.

– No, i nazwisko! Dokładnie rosyjskie – zgodził się z nią kanonier. – Aleks Uspien. Co jest nie tak?

Werner nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Co jest? – obruszył się grubas. – Dlaczego, u licha, dziś się wszyscy ze mnie natrząsają? Jedna nienormalna łapie mnie za jaja, druga za nos, teraz jeszcze ty…

– Admirał Raszyn naprawdę nazywa się Oleg Uspienski – powiedział technik.

– Nie może być! – machnął cygarem Fox. – Wszystkie nazwiska na *– ski* są żydowskie. Tak jak naszego Jean Paula.

– Popatrzmy do wykazu załogi – zaproponowała Ive, kładąc dłoń na kontakcie swojego terminala. – Chwila moment. Póki Michael i panu nosa nie złamał. Z nim trzeba ostrożnie, Andrew, lubi prowokować.

– Grunt, że nosa nie pozwoli sobie utrzeć – prychnął kanonier i znowu owinął się kłębami dymu. – Dobra, nie przeciągaj, zapytaj. Tylko o co się zakładamy?

– Nie będzie pytania – powiedziała Candy, patrząc na monitor. Lewą ręką zagrała na kontaktach niczym na małej perkusji, a prawą wsunęła pod pulpit i wyciągnęła stamtąd obuwie.

– O mamo! – zawołał grubas. – Gdzie moje buty? Czy ktoś widział moje buty? Gdzie ja je… – I wypadł jak burza na korytarz, niemal zwalając na podłogę pierwszego oficera Borowskiego.

Ive pośpiesznie wkładała buty. Werner ze spokojnym uśmiechem na ustach patrzył, jak na ekranie rośnie zbliżający się admiralski kuter.

– O, Jean Paul! – ucieszył się na korytarzu kanonier. – Jesteś Żydem?

– No… – posępnie odparł Borowski.

– Nazwiska kończące się na – *ski* są nazwiskami żydowskimi, prawda?

– Słuchaj, bucu – powiedział pierwszy oficer. – Gdzie masz swoje buty?

– Przepraszam – wymamrotał Fox i pobiegł korytarzem.

Borowski wszedł na SDO. Założywszy ręce za plecy, stanął na środku pomieszczenia, kiwając się z pięt na czubki palców.

– Bur-r-rdel! – ryknął, nie kierując tego do nikogo w szczególności.

Werner podniósł torbę i przyjął postawę prawie że zasadniczą.

– Kontrola zwierciadeł w normie – zameldował.

– A! – powiedział Borowski, jakby dopiero co zauważył master-technika. – Dzień dobry, Andrew. Jest przynajmniej jedna osoba, która chce i może za coś odpowiadać. I co tam było?

– Najprawdopodobniej zdefektowany blok. Zaraz go przetestuję na swojej maszynie, wtedy będę mógł precyzyjnie odpowiedzieć.

– Dywersja wykluczona? – zadał zaskakujące pytanie pierwszy oficer.

Ive, słysząc to, podskoczyła w fotelu i odwróciła się.

– Nie wygląda mi na to. – Werner wyraźnie ściszył głos. – Bo co?

– Nic, tak pytam. – Jean Paul poruszył brwią, ale pewnie nawet etatowy psycholog Linda nie potrafiłaby zinterpretować tego ruchu. – Z dołu przyszło memorandum o profilaktyce ewentualnego sabotażu. To oczywiście nie moja sprawa, ale gdyby mnie ktoś zapytał… Taa… No więc pytam: czy to nie wygląda na sabotaż?

– Wie pan co, commanderze – powiedział technik bez cienia uśmiechu – moim zdaniem w admiralicji komuś palma odbija. A pan od razu chce się wykazać.

– Kiedy cię wypuścili z psychiatryka?! – prawie wrzasnął rozjuszony pierwszy oficer.

– A jest pan pewien, że tam byłem… – wymamrotał wyraźnie skonfundowany Werner.

– Jestem pewien, że ja tam byłem – poważnie oznajmił Borowski. – I nauczyłem się tam wiele. Na przykład pamiętam, że na *setkach* znajduje się półtora tysiąca elementów, których awaria prowadzi do utraty zdolności bojowej statku. Pamiętam też, że na „Skoczku" jest stu członków załogi. I wszyscy mocno popieprzeni. Na czele z psychologiem, która dopiero co chwyciła mnie za jaja. Zatem pytam: co jej przeszkadza odkręcić jakąś pierdołę na pokładzie bojowym i wsunąć sobie w…? Może „Skoczek" bez tej pierdoły nie rozsypie się, ale…

– Skoro taki pan zatroskany, to proszę jej podarować wibrator – poradził technik.

– Ależ ona ma dwie skrzynie wibratorów. Nie o to chodzi. Zrozum mnie dobrze, Andrew. Ty i ja odpowiadamy tu za zdolność bojową. Tylko my. Dobra, jeszcze piątka twoich schizoli, ale od nich niczego nie można wymagać. A poza nami nikt. Ani Candy, ani tym bardziej ten tłustodupy Fox. Nawet admirał Raszyn za nic na „Skoczku" nie odpowiada. Ale wymagać zdolności bojowej może. Od kogo? Od nas. Kapujesz? No to ruszaj mózgiem. Zwłaszcza żeś Rosjanin.

Ive przyglądała się, jak admiralski kuter cumuje, słuchała debilnego dialogu za plecami i kiwała głową. Nie zgadzała się z Wernerem. Nie tylko urzędasy z admiralicji świrowali. Na „Skoczku" powoli dostawali fisia wszyscy. Nie wyłączając pierwszego oficera Borowskiego.

– Niech pan posłucha – właśnie mówił do niego technik. – Rozumiem pana. Wszystko będzie OK i proszę się niepotrzebnie nie denerwować.

– Nawet nie widziałem twoich akt – powiedział niespodziewanie Jean Paul z jakimś dziwnym smutkiem w głosie.

– Bo i nie powinien pan – dziwnie twardo rzucił Werner.

– No właśnie… – westchnął pierwszy oficer. – Dyżurny! – ryknął nagle w kołnierzyk, z którego sterczał mikrofon. – Nie słyszę meldunku!

– Przecież nie ma pan słuchawki – cicho zauważył technik.

Borowski przeszył go szalonym spojrzeniem i zaczął poklepywać się po kieszeniach.

– Proszę. – Werner podał oficerowi małą czarną kapsułkę. – Moja zapasowa słuchawka.

Jean Paul wymruczał coś, chwycił kapsułkę i wcisnął sobie w lewe ucho.

– Dyżurny! – ryknął.

– Coś się stało? – padło z korytarza zadane spokojnym głosem pytanie.

Pierwszy oficer odskoczył z przejścia i stanął w postawie zasadniczej.

– W żadnym wypadku! – zameldował.

– To dobrze – powiedział admirał Raszyn. – Dzień dobry, Ivetto. *Zdrastwuj, Andriej.*

– *Zdrastwujtie, Oleg Igoriewicz!* – Werner pochylił z szacunkiem głowę.

– Jak się tu czujesz? – zapytał dowódca, przechodząc na francuski i podając Wernerowi dłoń. – Przyzwyczajasz się? Nikt cię tu nie krzywdzi?

– Akurat da się skrzywdzić – odpowiedział za technika Borowski.

– To raczej on skrzywdzi człowieka, do łez.

– Wszystko w porządku, *driver*. – Werner z uśmiechem uścisnął dłoń admirała.

– Zwierciadła naprawione?

– Nic tam nie było, *driver*. Banalny brak kontaktu.

– Masz rozebrać starego „Paula" na śrubki i skręcić z powrotem. Jasne?

– Tak jest, sir.

– Commander Borowski zaopatrzy cię we wszystko, czego potrzebujesz.

– Tak jest! – odparł duet pierwszy oficer – technik.

– Pytania są?

– Tak, sir – powiedział Werner. – Commander Borowski jest zaniepokojony tym, że nie widział moich akt osobowych.

– Wcale nie jestem zaniepokojony… – wymamrotał ten, spuszczając oczy.

– Niech się lepiej niepokoi tym, że po jego statku łażą gołe baby! – powiedział Raszyn.

– Zastrzelę tę psychopatkę… – syknął Borowski. – Zastrzelę i wydymam w dupę.

Admirał wykonał żuchwą ruch, jakby coś przeżuwał, i przyjrzał się bardzo uważnie pierwszemu oficerowi.

– A może w odwrotnej kolejności? – zapytał.

– Przepraszam, sir – wydukał Jean Paul, patrząc w podłogę. – Czy mogę odejść?

– Za pół godziny proszę do mnie – polecił Raszyn. – I nie ruszaj Lindy. Już z nią sam rozmawiałem. Ma dość. Dobra, *Andriej,* pracuj według swojego grafiku, potem sam cię znajdę. Na stanowiska, astronauci! Nie rozwalcie tu wszystkiego do końca.

Werner i Borowski strzelili obcasami, a po chwili zniknęli w korytarzu. Admirał podszedł do pulpitu Ive i zwalił się w fotel po lewej stronie.

Candy ukradkiem przyglądała się dowódcy. Zawsze podobała jej się jego mądra i zdecydowana twarz. Ale teraz pod oczami Raszyna widziała głębokie cienie. I oczy, zawsze ostre, żywe, często nawet złe, teraz były martwe. A siwy czub i srebrzyste skronie ostatecznie zmieniały go w starca. Wcześniej Ive miała zawsze chęć choćby dotknąć admirała, powiedzieć mu coś miłego. Ale ta ruina, która siedziała obok niej, nie wzbudzała już takich odruchów.

– Proszę, wywołaj Tyłka, Ivetto – mruknął Raszyn, przecierając dłonią oczy.

– Tak jest, sir. – Candy wystukała kod, szybko dogadała się z dyżurnym na „Gordonie" i już po minucie zobaczyli na monitorze kościste oblicze kontradmirała Esseksa.

– Witaj, Phil – powiedział dowódca „Skoczka”. – Jesteś mi potrzebny. Możesz wpaść na siódmą?

– Sam? – zapytał Tyłek.

– Tak. Weź tylko butelkę. Mamy do przemyślenia co nieco.

– A może ty do mnie byś wpadł? Moja ochrona nie zmieści się u ciebie na pokładzie.

– To nie bierz wszystkich.

– Ale, Aleks, co ci szkodzi…

– Phil, przestań jęczeć. Stara pierdoła z ciebie, a mendzisz jak nie wiem co… Powiedziałem: *wpadnij,* znaczy wpadnij.

– Sam jesteś pierdoła. Dobra, będę. – I Essex rozłączył się.

– Mimo wszystko to naprawdę Tyłek – skonkludował Raszyn. – Wyobraź sobie, Ivetto, że latalibyśmy teraz na „Starku”. Albo na pobliskim „Gordonie”. Basen dwudziestopięciometrowy! Kort tenisowy. Strefa psychologicznego relaksu… Sanatorium. Nie dziw, że Tyłek się nie kwapi na dół. Tam mu też dobrze. – Zerknął spod oka na Candy. – Posłuchaj, duszko, nie chcesz mi czegoś szepnąć na uszko?

– Co niby mam zameldować, sir? – zdziwiła się Ive.

– Żołnierz, co pełni służbę z poważaniem, czyta regulaminy przed spaniem – zadeklamował admirał. – A rankiem, oczy przecierając, zaczynasz dzień, regulamin czytając… Chyba że jesteś admirałem…

– Można pytanie, *driver* – zapytała Candy, ignorując aluzję.

– Nawet osiem. Ale najpierw mi powiesz co trzeba. Szkoda ci czy co? Nie możesz ukoić starca?

– Panie admirale, w czasie pańskiej nieobecności nic szczególnego nie wydarzyło się. Dyżurny nawigator kapitan-porucznik Kendall, sir – leniwie odbębniła Ive. – I wcale nie jest pan starcem.

– Jeśli mówię, że jestem stary, to znaczy, że jestem. Dobra, co u ciebie?

– Sir, czy nikt panu nie powiedział, że jeszcze kilka miesięcy takiego burdla, jak mamy teraz, i już nie będziemy w stanie walczyć?

– Wiesz co, Candy, chyba naprawdę zapomniałaś, że jestem admirałem.

– Sir, ludzie nie chcą już dłużej służyć. Nawet gorzej – nie mogą. I nie mają alternatywy. Ja, kiedy byłam ostatni raz na dole, nie zaryzykowałam i nawet nie wychyliłam nosa poza bramę bazy. Bałam się, że Ziemianie zrobią mi jakieś ziaziu. Słyszał pan, że jedna dziewczyna z desantu została zgwałcona i zabita?

– Potem ją bardzo zręcznie nadziali na piorunochron – przypomniał Raszyn. – A na brzuchu miała wypalone *murderer*. Widziałem to. A czego oczekiwałaś? Że ją wykąpią w szampanie? Morderca to morderca.

– Sir, ja pana nie rozumiem – powiedziała pozbawionym nadziei głosem.

– Przecież mówię ci, dziecko, że jestem tylko admirałem.

– Proszę mi to wyjaśnić, sir.

– Wiem sto razy więcej niż ty. Ze szczegółami. Poza tym nie tylko wiem, co się dzieje, ale domyślam się po co. Nas, ciebie i mnie, chcą usunąć z tego świata. Rozkładają flotę od wewnątrz i, jak widać, to jest bardzo efektywna metoda. Jesteśmy już niepotrzebni, rozumiesz?

– Och… – westchnęła Ive. – To co możemy zrobić, sir?

– Czekać – powiedział twardo admirał. – Siedzieć i czekać mojego rozkazu.

– A ja czuję – wymamrotała – że długo tak nie wysiedzimy.

* * *

– No co, *Andriej*. – rzucił Raszyn zamiast powitania. – Jak się czuje nasz „Mahdi”?

– Kto? – zdziwił się Werner.

– Trzeba znać klasykę – powiedział z wyrzutem admirał. – Siadaj.

– Dziękuję. – Technik usiadł naprzeciwko dowódcy i zmrużył jedno oko, usiłując coś sobie przypomnieć. – Mahdi to Paul Atrydes, tak?

– Uhum – przytaknął Raszyn. – Nasza wspaniała Grupa F bardzo szanuje folklor ludowy. Też sobie dobrałem pomocników, żebym ich tak jeszcze przez wiek nie widział! Szukałem mądrych i oczytanych, a teraz czasem łapię się na myśli, że może lepiej, gdyby wszyscy tu byli tępi i niewykształceni. Szczególnie sztab – to jeden wielki stres. Codziennie jakiś młody talent zaczyna wyrafinowanie dowcipkować. Powie ci taki kilka słów z mądrą miną i mruży gały, jak – nie przymierzając – ty w tej chwili. Pozostali zaś pośmialiby się chętnie, ale trochę im niezręcznie ze starego człowieka…

– *Oleg Igoriewicz,* kto panu powiedział, że jest pan stary? – zdziwił się szczerze Werner.

– Nie musi mi nikt mówić, mam takie poczucie – powiedział admirał i pomachał dłonią w powietrzu, jakby pospiesznie lepił niewidzialną abstrakcyjną rzeźbę. – Wiesz, po tej paskudnej sytuacji przy Jowiszu… Przez pierwsze dni, kiedyśmy wrócili do bazy, wychodziłem dopiero z szoku i nawet czułem się jakiś podminowany. A potem… Jakoś wymiękłem. Wykończyłem się, Andy, rozumiesz? I tak ciągnę dziesięć lat w tym stanie. Dobra, co tam u ciebie? Jakie nowiny?

– Wysłałem wszystko. – Technik wskazał podbródkiem terminal.

– Tak? Jakoś nie zauważyłem. – Raszyn przysunął się do

monitora, ale nim zdążył dotknąć kontaktów, Werner pochylił się i położył na pulpicie kawałek białej tkaniny. Admirał opuścił wzrok i zmarszczył czoło.

Werner potrafił pisać ręcznie. Właśnie pisać, a nie podpisywać się. Dość rzadka umiejętność, spotykana raczej u naukowców czy reprezentantów małych narodów z gasnącą kulturą. W załodze „Skoczka" było troje alfabetów. Raszyn dobrze pisał po francusku i po rosyjsku, Linda też dość znośnie smarowała angielskie słowa, a Borowski zapewniał, że spokojnie pisze w pięciu językach, ale ani razu nie został na tym przyłapany. Generalnie sztuka kaligrafii wymierała, bo nie istniała już potrzeba pisania odręcznie. Uczniowie młodszych klas na standardowym pulpicie kontaktowym sypali po trzysta znaków na minutę, a technik na poziomie Wernera – nawet sześćset. Ale Werner był Rosjaninem i potrafił trzymać pióro w ręku. I właśnie wysmarował takie coś, że…

– Zobaczmy – powiedział Raszyn, na wszelki wypadek wywoławszy na ekran sprawozdanie z wynikami pierwszego przeglądu technicznego statku. Prawą dłonią wygładził białą szmatę, która była kawałkiem mundurowego podkoszulka. Im dalej przesuwało się jego spojrzenie po szeregu drukowanych liter, starannie wykreślonych grafitowym trzpieniem, tym mocniej marszczyło się czoło admirała.

System powiadamiania – w trybie mikrofonu – napisał Werner. – *Sygnał idzie na dół stale, na kodowanej fali. Nadajnik jest zaszyty pod pokryciem na pokładzie technicznym.*

Raszyn odruchowo zerknął na sufit. Głośniki systemu komunikacji znajdowały się na całym statku. Przez jakąś mizerną sekundę admirał miał wrażenie, że jest całkiem goły, może nawet oskórowany. Musiał zamknąć oczy i policzyć do dziesięciu. A potem – otworzyć je i czytać dalej:

Blokader głównego rdzenia kierowania ogniem wszczepiony na stałe. Odbiornika jak na razie nie udało mi się znaleźć.

– Jesteś wspaniałym specjalistą, *Andriej* – raczej wykrztusił, niż powiedział, admirał. – Bardzo się cieszę, że wziąłem cię do załogi.

– Mistrzostwa nie da się przepić – zauważył niewesoło technik. – Proszę patrzeć dalej, *Oleg Igoriewicz.*

– Dalej już nie warto – uśmiechnął się ironicznie Raszyn. Wiedział dobrze, że przez główny rdzeń sterowania ogniem przechodziła większa część pomiarów telemetrycznych pokładu ogniowego. W tym również te rozkazy, które sterują działami z jądrowym farszem. Wielkimi impulsowymi laserami rozpuszczającymi w ognistej plwocinie fightery i smażącymi destroyery. Gdyby miał takie działa na „von Reyu" dziesięć lat temu, za cholerę nie nurkowałby w Jowisza, udając łódź podwodną.

Niezależny inicjujący układ awaryjnego dławienia stosu. Odbiornika też na razie nie znalazłem.

Admirał opadł na oparcie i skrzyżował ręce na piersi. To koniec. Statek flagowy Grupy F już do niego nie należał. Wystarczy, że ktoś, kto miał dość władzy i woli, by wszczepić w system statku te urządzenia, wciśnie przycisk i „Paul Atrydes" stanie się kupą metalu, która nie będzie w stanie ani walczyć, ani nawet sensownie lecieć. Będzie mógł tylko odstrzelić moduły awaryjne i pozwolić załodze wylądować. A tam, na dole, przyszykują im już powitanie…

Raszyn wyciągnął rękę i Werner włożył mu w palce kawałek grafitu. Admirał odwrócił szmatkę, wyrysował w rogu pytajnik, po czym oddał zaimprowizowany ołówek i papier technikowi.

– Co do interesujących pana punktów – powiedział ten obojętnym tonem – to będę potrzebował około miesiąca. Pierwszą rzecz uda mi się załatwić może w tydzień, co do dwu pozostałych, będę musiał pogłówkować.

Jeśli się nie wyrobię, urządzimy pożar na pokładzie technicznym i uruchomimy zestaw awaryjny – napisał i podał szmatę dowódcy.

Reakcja Raszyna nieco zdziwiła astronautę – kiedy admirał przeczytał te słowa, zmiął raport i wcisnął go do utylizatora. Technik rzucił się ratować szmatkę, ale było na to za późno. Dowódca popatrzył na niego i pokręcił palcem przy skroni. Werner rozłożył ręce.

– Ta-ak… – powiedział Raszyn. – No to cóż, *Andriej,* wykonałeś niezłą robotę. Mam nadzieję, że z resztą uporasz się w podanych terminach. Muszę przyznać, że nie spodziewałem się tak poważnych problemów. Ale miło słyszeć, że damy sobie radę z ich usunięciem bez pomocy z zewnątrz.

– Mam przecież pięciu ludzi – przypomniał mu technik.

Admirał natychmiast pogroził mu pięścią i Andrew skinął głową ze zrozumieniem.

– Dobra – rzucił Raszyn. – Dziękuję w imieniu służby. Są pytania?

– Nie mam, sir. – Werner zerknął na sufit, potem wyraziście dźgnął palcem w stronę utylizatora, gdzie zniknęła szmata, i tym samym palcem pogroził dowódcy.

Pewnie pytania były, ale technik wolał zachować je dla siebie. Widział, jak admirał wystraszył się, kiedy przeczytał o pożarze. Nawet na łodzi podwodnej coś takiego jest mniej niebezpieczne niż na statku kosmicznym. Wolał więc nie wyprowadzać Raszyna z równowagi.

Dowódca prychnął, po czym rozpiął klapę na piersi speckostiumu, demonstrując śnieżnobiały podkoszulek. Werner machnął ręką: *nie trzeba,* i wstał.

– Proszę o pozwolenie odejścia – powiedział.

– Pozwalam ci wpadać o dowolnej porze – rzekł admirał. – I nie

zapomnij, że ZDO Borowski ma ci okazywać wszelką pomoc w zakresie, jaki go dotyczy. Na razie, *Andriej*.

– Do widzenia. – Technik puścił oko do Raszyna i wyszedł na korytarz.

Dowódca odwrócił się razem z fotelem, wystukał rozkaz na zamku sejfu, wsunął doń rękę i chwycił butelkę samogonu… tak jak tonący chwyta koło ratunkowe.

* * *

Odrzucając duchową spuściznę przodków jako tę rzecz, która się nie sprawdziła i omal nie doprowadziła do zniszczenia Ziemi, ludzkość nie pogrzebała dobrych technicznych pomysłów. Dlatego też „Skoczek" był skonstruowany na zasadzie rosyjskiej matrioszki i mógł sobie pozwolić na taki komfort jak sztuczna grawitacja kosztem wirowania jednej z powłok. Inżynierowie preferowaliby pewnie jakieś mniej skomplikowane rozwiązanie problemu – im prostsza budowa statku, tym mniejsza awaryjność. Grawigenerator, lekki i kompaktowy, pasowałby do schematu cruisera serii 100 znakomicie. Niestety, w chwili kiedy stępka „Paula Atrydy" legła na pochylni, takie generatory jeszcze nie istniały. Statek był napędzany tradycyjnie, jądrowo, a rozkazy z mostka bojowego szły nie do jakichś dziwacznych zakrzywiaczy przestrzeni, a do zwyczajnych laserów impulsowych. Tak więc jedyną rewolucyjną innowacją różniącą go od innych okrętów Grupy F był falliczny rysunek na dnie basenu rekreacyjnego.

Oczywiście wszyscy doświadczali krótkotrwałej nieważkości w drodze od śluz cumowniczych do strefy roboczej, ale kompensowały ją elektromagnesy w podeszwach mundurowych butów. Poza tym namagnesowana podłoga znakomicie zbierała niczyje żelastwo. Pełną nieważkość uważano za zbyt nieobliczalną siłę, by można było pozwolić jej rządzić na okręcie wojennym. Jako przykład Raszyn często przytaczał anegdotę o tym, jak pięćset lat temu rosyjscy kosmonauci szukali na swojej mikroskopijnej stacji klucza do śrub, żeby zamknąć pokrywę śluzy i móc polecieć do domu. Klucz oczywiście był na uwięzi i teoretycznie nie mógł się nigdzie zgubić, ale wziął i wyparował. Mniej więcej po dobie poszukiwań zobaczyli jakiś sznurek, pociągnęli za niego i wyciągnęli klucz spod pokrywy na pulpicie zasilania, zamocowanej specjalnie po to, by nic metalowego nie mogło się dostać do wewnątrz.

Admirał wspominał też, jak w młodości wpadł na pomysł, żeby na

„von Reyu” zarządzić trening w warunkach nieważkości. Na szczęście wystarczyło mu rozumu, by nie wyłączać strefy roboczej – widocznie przeczuwał efekt. Raszyn jedynie wyprowadził ludzi, by polatali sobie w centralnym rdzeniu. Wszyscy wrócili obrzygani, a rdzeń długo był przedmuchiwany sprężonym powietrzem z dużą dawką emulsji dezynfekującej.

A więc życie na „Skoczku” toczyło się w całkowitej zgodzie z ziemską fizyką. Dlatego piątego dnia przebywania wśród załogi okrętu flagowego porucznikowi Wernerowi udało się dosłownie zwalić na głowę kapitan-porucznik Kendall.

Według czasu pokładowego był już późny wieczór. Ive właśnie wyszła spod prysznica i kierowała się do swojej kajuty – różowy szlafroczek na gołe ciałko, głowa owinięta ręcznikiem, spojrzenie rozmarzone, humor wyśmienity, wszystkie odruchy wyzerowane. Nagle nad jej głową coś zaskrzypiało przeciągle i w czasie kiedy Candy zastanawiała się, co też to może znaczyć, z sufitu spadł grad nakrętek. Następnie coś lekkiego i plastikowego uderzyło ją w głowę. W tym momencie Ive podniosła wzrok i jednocześnie osiemdziesiąt kilo żywej wagi runęło na nią, emitując na dodatek niezrozumiałe francuskie przekleństwo.

– Tysięczne sorki, pani kapitan – wymamrotał Andrew, odpełzając od niej na czworakach. – Nawet nie wiem, co mam powiedzieć. Nic się pani nie stało? Czy nie za bardzo panią… ten… tego…

Candy usiadła, oparła się o ścianę i podniosła ręcznik.

– Odwróć się! – rozkazała, od nowa wiążąc go na głowie.

– Nie chciałem – wyjaśnił Werner, patrząc w górę. – Wypadł panel. Jakiś mądrala wcale go nie zamocował. Pełzam sobie, nikogo nie ruszam… Naprawdę nie uderzyłem pani?

– A ty żyjesz? – zapytała Ive.

– Chyba tak – Andrew wstał i pochylił się nad kapitan-porucznik. Był ubrany w roboczą bluzę z podwiniętymi do łokci rękawami, Candy dojrzała też długą, krętą bliznę na lewym przedramieniu. Miał szczupłe ramiona, takież nadgarstki i długie, ładne palce. Podniósł Ive z podłogi z łatwością, jakby była puszkiem.

– Gdzie się tego nabawiłeś? – zapytała, wskazując oczami szramę. – Na „von Reyu”?

– Tak. Ale to nie było nic heroicznego. Trauma zawodowa. Pełzałem po magistrali jak dzisiaj i zaczepiłem…

– Aha – skinęła głową, ale nie uwierzyła. Spojrzała mu w oczy i odwróciła wzrok. Werner nie był szczególnie wielkim mężczyzną, ale w tej chwili wydawał jej się po prostu olbrzymem. Silnym i niezawodnym. Otaczał ją sobą, bronił i ciągle jeszcze delikatnie trzymał za ramiona. Widać było, że podobało mu się, że tak sobie stoją. Obok siebie. I pożerał ją oczami.

– Naprawdę nie uderzyłem pani? – zapytał znowu.

– Naprawdę – wykrztusiła Ive, zastanawiając się, czy pocałuje ją teraz, zaraz, czy górę weźmie wstyd i odłoży to na później. Nigdy wcześniej nie pragnęła, by pocałował ją mężczyzna, z którym rozmawia ledwie drugi raz w życiu. W czasie relaksu na dole zdarzały jej się pijackie przygody z zupełnie obcymi facetami, ale tu wszyscy byli astronautami, swoi ludzie, czyści duchem i ciałem, jak podłoga na „Skoczku" niemal sterylni. Tyle że Werner, chociaż też astronauta, nie zaliczał się do grona *swoich* chłopaków. Jednocześnie działał na nią tak, że nie miała wcale ochoty na jakieś prymitywne kuszenia ciałem czy ruchem. Raczej wolała skromnie spuścić wzrok, opuścić ręce i mieć nadzieję, że jest wystarczająco ponętna… Ive drgnęła, z trudem opanowała się i znowu popatrzyła Wernerowi w oczy, tym razem prosto i odważnie.

– Kim ty jesteś? – zapytała.

Odsunął się nieco i odruchowo skrzyżował ręce na piersi.

– Nazywam się Andrew Werner – powiedział z lekkim uśmiechem. – Wiek trzydzieści sześć, wzrost sto osiemdziesiąt, waga siedemdziesiąt dziewięć. Mam kilka państwowych odznaczeń. Jestem niezłym technikiem. Skromnym i nieśmiałym człowiekiem. Może nawet przesadnie nieśmiałym…

– Widzę – potwierdziła Candy. – Ale kim jesteś? Co tu robisz?

– Spadam na głowy pięknym kobietom.

– Nie rób sobie jaj… Andy.

– Ale naprawdę, pani jest piękną kobietą, pani kapitan. W każdym razie moim zdaniem.

– Zwłaszcza teraz. – Ivetta odruchowo poprawiła na głowie turban z ręcznika. – Nie chcesz odpowiedzieć?

– Żałuję, ale nie mam nic do powiedzenia – rzekł Andrew delikatnie, niemal czule. – Pani mnie bierze za kogoś innego… Za jakiegoś bohatera. Z romansidła. A ja po prostu zwaliłem się pani na głowę. Najpierw się przestraszyłem, a teraz… Nawet nie wiem, co odczuwam. Chyba radość. Tęskniłem za panią przecież…

– Jeśli nie możesz mówić do mnie *ty,* to przejdźmy na angielski – zaproponowała. – Czy może u was, Rosjan, należy najpierw wypić bruderszaft?

Werner wyraźnie się zawstydził. To było czarujące.

– Nie wiem, jak to rozwiązują Rosjanie – powiedział. – Ale wypić z panią… z tobą mogę w każdej chwili.

– Czy może hamuje cię to – nie ustawała – że mam wyższy stopień?

– Tfu! – Andrew udał, że spluwa przez lewe ramię, a kiedy jego twarz znowu była przed jej oczami, znikło z niej skrępowanie, a pojawił się zaraźliwy uśmiech. – Nic mnie nie hamuje! Po prostu

odkąd cię zobaczyłem, myślę tylko o tobie.

– Nnoo! – pochwaliła go Ive, mocno trzasnęła w ramię i odwróciwszy się plecami, królewskim krokiem odpłynęła korytarzem.

Technik z zachwytem patrzył za kapitan-porucznik.

* * *

Adiutant kontradmirała Tyłka uginał się pod ciężarem ogromnego kufra ze sprzętem.

– Dobry! – Odetchnął, upuszczając go na podłogę. – Wszystko jak w zamówieniu. Z gorącym pozdrowieniem od szefa.

– Coś mi się wydaje, że on cię nie lubi, Issiah – powiedział Raszyn. – Nie oszczędza cię.

– Co prawda, to prawda – zgodził się adiutant, otwierając wieko i wyciągając z kufra przezroczysty cylinder z burą cieczą.

– Naczynie na stół, technika do kąta! – zarządził Essex, pojawiwszy się w progu. – Witaj, Aleks. Gdzie szklanki?

– Tu są szklanki, nie denerwuj się. Może rzeczywiście zabierz ze stołu tę skrzynię, Issiah.

– Zaraz – powiedział adiutant, włożył ręce do kufra i zaczął manipulować dźwigniami układu zakłócania. – Nie wszystko naraz. Niech tylko włączę maszynę.

– Aj! – skrzywił się Raszyn. Jego zęby przeszył prąd i nieprzyjemnie łupnęło go w krzyżu. Issiah włączył coś w kufrze. – Nie szalej!

– Skoro sami nie potraficie… – zrzędził adiutant, wpatrując się w aparaturę i krzywiąc twarz. – Przepraszam. Cały ten dupersznyt trzyma się na słowo honoru… Moment.

Essex otarł łzy i usiadł naprzeciwko Raszyna.

– No ile? – zapytał z niezadowoleniem. – Długo jeszcze będziesz nas katował?

– Zaraz! – obraził się Issiah. – Czy ja jestem technikiem? Ja w ogóle w całej tej elektronice ni dudu…

– No właśnie, do du-du to ci wychodzi – zauważył admirał. – Zaraz mi zęby wylecą. Niezadowolony adiutant Tyłka przekręcił coś w kufrze i wypełniająca kajutę elektryczność rozmyła się. Układ zakłócania w końcu zaczął działać.

– Już – powiedział Issiah, wyjmując czarne pudełko i podając je Raszynowi. – Niech pan lepiej umieści zagłuszacz gdzie trzeba.

– Wiesz co, zbezczelniałeś! – powiedział z zachwytem w głosie admirał, ale zagłuszacz wziął, odsunął na bok butelkę i szklanki, wlazł

na stół. Sięgnął kratki, pod którą umieszczony był głośnik łączności pokładowej, i przykleił pudełko do sufitu obok niej.

– Dobrze?

– Bardziej w lewo. Jeszcze. O, dobrze! Dziękuję.

– Ależ nie ma za co. Proszę wpadać. – Raszyn zeskoczył ze stołu i usiadł w fotelu. – Jak tam dzieci, Issiah?

– Rosną – westchnął zapytany. – Chcą pieniędzy. Ja im mówię: *Po co wam tyle? Co wy je żrecie?* A one: Me, *wsadzamy sobie w dupę*…

– A czego oczekiwałeś? – zdziwił się admirał. – Rodzina, przyjacielu, to maszyna do mielenia forsy…

– Słuchajcie no, wy tam, Żydzi! – eksplodował Essex. – Może ja sobie już pójdę, co? Może dacie sobie radę beze mnie?!

– Nie, Phil – westchnął Raszyn. – Niestety, bez ciebie nie da rady. Jak tam, Issiah? Możemy już rozmawiać od serca?

– Yhy – skinął głową adiutant. Demonstracyjnie stękając, poderwał kufer ze stołu i postawił w kącie. – Proszę o pozwolenie odejścia.

– Spadaj stąd! – ryknął Tyłek.

– Jest pan wolny, kapitanie Meyer – oświadczył wielkodusznie Raszyn. – Medal wyślemy na adres domowy.

– Wolę mamonę – stwierdził Issiah i wyszedł.

– No to, Aleks, polewaj! – zarządził Essex. – *Na zdarowje!*

– *Na zdarowje!* – skinął głową admirał.

Przez kilka minut dowództwo Grupy F siedziało w nabożnym milczeniu, smakując trunek.

– Trucizna – orzekł w końcu Raszyn. – Berbelucha.

– Według mnie racja – zgodził się Tyłek. – No, ale po coś mnie wezwał? I po co to utajnienie?

– Ten okręt nie należy już do mnie – oświadczył admirał.

– To znaczy? – zaniepokoił się Essex.

– Łączność pokładowa pracuje jako mikrofon, zbiera wszystko – wyjaśnił Raszyn. – Każdy pierd z mojego kibla jest zakonotowany przez jakąś sukę na dole.

– Też mi odkrycie! – powiedział Tyłek z widoczną ulgą. – U mnie na „Gordonie" jest to samo.

– A blokadę na reaktorze też masz? – zapytał ze złością w głosie Raszyn. – A blokader głównego rdzenia kierowania ogniem?! Co?

– Ale numer… – wymamrotał oszołomiony Essex. – To ci gówno… Znalazłeś odbiorniki?

– Na razie jeszcze nie. Znajdę, nie martw się. Ale co mamy teraz robić, Phil?

– Nalać i wypić – powiedział rozsądnie Tyłek. – Przekleństwo! Ale już jutro każę swoim technikom… Tfu!

– No właśnie – skinął głową admirał, rozlewając *truciznę* do

szklanek. – Ja wymieniłem już starszego technika, tobie radzę to samo. A wcześniej ani ruchu!

– Ach, to dlatego nie ruszyłeś Foksa! – domyślił się Essex. – Przyznaję, to było cwane.

– Fox nie ma pojęcia, po co to zostało zrobione. On się tylko poskarżył, że Schacci za wiele sobie pozwala. A ja powiedziałem: *No to daj mu w ryj.* Fox mówi: *Poważnie?* A ja na to: *Uważaj, że to rozkaz.* No i mu przyłożył.

– Jaka ta załoga… posłuszna.

– Nie mają wyjścia. Na dół? Kto tam na nich czeka?

– E tam, przesada! – sprzeciwił się Tyłek. – Na dole jest cała masa takich, co chcieliby im obić pyski. Słyszałem, że nawet cywilni astronauci czasem obrywają.

– Schacci pełzał przede mną na kolanach – westchnął Raszyn i przyssał się do szklanki.

– Teraz dadzą mu w dupę! – Essex z okrutnym uśmiechem też łyknął *trucizny*.

– Z czego ty to pędzisz? – zapytał dowódca Grupy F, podnosząc szklankę i przyglądając się trunkowi pod światło.

– Tajemnica służbowej produkcji – uchylił się od odpowiedzi szef sztabu. – Przecież zwykłej wódeczki nie ma…

– I takie coś piją dwaj admirałowie – podsumował Raszyn.

– No to co zrobimy? – przeszedł do konkretów Tyłek, wychylając się w kierunku kolegi i patrząc mu uważnie w oczy. – Sytuacja patowa. Ludzkość jest nam przeciwna, wiesz to przecież. Na dole szaleje propaganda mająca na celu likwidację armii jako takiej. Co trzeci Ziemianin miał rodzinę albo przyjaciół na Marsie i Wenus. Wszyscy bez wyjątku ciężko zapłacili za tę wojnę. Rozwiążą nas, Aleks, w pizdu!

– A co na to twoi analitycy?

– Właśnie to mówią. Nawet jeśli Zebranie Akcjonariuszy zadecydowałoby, że na razie wszystko będzie jak dotychczas. Rada Dyrektorów tak podbechtała opinię publiczną, że po prostu nie mogą się wycofać. Przypuśćmy, że siły policyjne na razie nie będą ruszone. Piraci, kontrabanda… Ale Grupa F na pewno jest skończona. Szykuj się na emeryturę, stary. Oto co radzą moi analitycy.

– Wiesz, Phil – zaczął Raszyn – ja przecież się zapieram dla zasady. Mam gdzieś tę armię. Ja w ogóle nie jestem żołnierzem. Z moralnego punktu widzenia naprawdę nie mamy racji.

– Nie gadaj. Wypełnialiśmy rozkazy. Kropka. A teraz z nas właśnie robi się kozły ofiarne.

– Poczekaj, Phil. Ilu ludzi załatwiliśmy na Marsie?

– To nie my, Aleks. Bez przesady. To crushery i desant. Grupa F przyciskała okręty separatystów do powierzchni globu. I koniec. OK,

rozwaliliśmy ileś tam tych pudeł, ale one co? Startowały, żeby pospacerować? Nie bombardowaliśmy. Nie paliliśmy. I na marginesie, nie my wymyśliliśmy, że Mars i Wenus mają się uniezależnić. I nie my, że nie wolno im tego robić. Tak więc ja cię…

– Ależ ja mam co innego na myśli, Phil. Powiedz mi, jakie masz argumenty na korzyść tezy, że nie warto jeszcze rozwiązywać armii?

Essex nalał sobie berbeluchy, podniósł szklankę do ust i zamyślił się.

– Masz kogoś na dole… – mruknął.

– Raczej nie – westchnął Raszyn. – Ostatnia moja rozmowa z synem trwała minutę i mówił przede wszystkim Igor. Tak więc na dole też nikomu nie jestem potrzebny. Ale do rzeczy, Phil. Po co teraz Ziemi wojenno-kosmiczne siły?

– Ziemia ma w dupie wojenno-kosmiczne siły.

– Dokładnie – skinął głową admirał. – Grupa F jest potrzebna tylko tym, co w niej służą. Bo nie mają gdzie się podziać. Tak sądzą wszystkie trzy zamieszkane planety Słonecznego. Trzy suwerenne państwa. Trzy potężne firmy. I nie tylko sądzą, ale i mówią o tym. Krzyczą. A my co?

– A my co? – tępo powtórzył Tyłek.

– Według mnie, i Ziemi, i Wenus, i Marsowi Grupa F jest potrzebna jak cholera – skromnie rzucił Raszyn. – Flotę desantową i bombardującą można rzeczywiście rozwiązać, ale my z naszym ogromnym doświadczeniem walki w otwartej przestrzeni…

– Tak? – ożywił się Essex.

– Phil, stary dureń z ciebie. Kto niby będzie ich bronił przed zewnętrznym niebezpieczeństwem, jeśli nie my?

– Przed zewnętrznym niebezpieczeństwem? – powtórzył jak echo Tyłek.

– Dlaczego milczy stacja na Cerberze? – zapytał admirał. – Wyjaśniłeś to?

– Badamy… – bąknął Essex. – Telemetria… Wiesz… Niedługo będziemy wiedzieć.

– Poślij tam scouta, Phil.

– Po co? – ten zdziwił się szczerze.

– Żeby było jasne, dlaczego zamilkła stacja.

– No wiesz co! – Tyłek wybuchnął śmiechem. – Przecież tam się leci dwa miesiące! A sygnał może pojawić się jutro, może pojutrze. Coś się tam pewnie zacięło.

– A co niby miało się tam zaciąć?

– Nie wiem – przyznał Essex. – Niby nie ma co. Wszystko proste jak świński ogon. Superdokładne.

– Właśnie. – Raszyn pokiwał głową. – Poślij tam scouta, Phil. Poślij „Ripley”. Jutro. A na Cerbera niech lecą nie dwa miesiące, a trzy

tygodnie.

– Pieniądze, Aleks… – Do Tyłka w końcu dotarło, że admirał nie żartuje. – Z jakiego funduszu mam za to zapłacić? Trzy tygodnie na Cerbera – coś ty?! Policz to – trzeba będzie boostera z „Gordona", żeby się tak rozpędzić…

– Ile zostało czasu do Zebrania Akcjonariuszy? Trzy miesiące, Phil. Policz to sobie sam – trzy tygodnie tam, tyle samo na zwiad. I jeszcze miesiąc będziemy przekonywali tych kretynów, że stacja została zniszczona przez Obcych. A booster ja opłacę, skoro jesteś taki skąpy. Z funduszu rezerwowego.

Przez długą chwilę Essex wytrzeszczał gały na Raszyna.

– Aleks, zwariowałeś? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Chciałbym – odparł poważnie admirał.

* * *

Scout „Ripley" był małym, zwinnym stateczkiem, którego siedemdziesiąt procent objętości zajmowała sekcja silnika, a kolejne dwadzieścia – skanery optyczne i radarowe. Załoga liczyła pięć osób i na czas lotu musiała zakładać ogromne i nieporęczne skafandry przeciwprzeciążeniowe wyposażone w systemy odżywiania, uzupełniania płynów i kanalizacji.

Scout porusza się z przeciążeniem, przy którym człowiekowi w zwyczajnym speckostiumie wypłynęłyby oczy. Życie miesiącami w skafandrze nie jest łatwe, ale za to „Ripley" zaliczyła dwie wojny z zerowym kontem przestrzelin. Można było próbować do niej celować, trafiać – nie.

Wyposażenie scouta cechowało się spartańskim duchem, żeby nie powiedzieć gorzej. Jego najbardziej komfortowym elementem była muszla z pasami przystosowana do użytkowania w nieważkości. Na klapie ktoś wydrapał nie srać!

– Po co to? – zapytał Raszyn, wisząc głową w dół nad klozetem.

– Żart – wyjaśnił commander Fein. – I tak nigdy z niej nie korzystaliśmy. Nie było czasu. Walczyliśmy.

– Dobra – rzucił admirał. – Będziemy utrzymywali, że nie zauważyłem uszkodzenia mienia służbowego. Posłuchaj, Abe. Widzisz, przyszedłem tu sam… – zamilkł lekko zmieszany.

– Widzę – skinął głową Fein. – No i jak się tu panu podoba? Nie uwiera?

– Ale za to kiedy ostatni raz ta pchła była trafiona?

– Nie umieją strzelać – odparował commander. Piętnasty rok latał

na scoutach i co sezon składał doniesienia o tym, że Tyłek nie pozwala mu awansować. Raszyn przekazywał raporty Essexowi, a ten czytał je z przyjemnością i wrzucał do utylizatora. Tak naprawdę, to właśnie Raszyn unieruchomił Abrahama Feina, jako że ten był urodzonym zwiadowcą. Po prawdzie sam świetnie to rozumiał, pysznił się swoimi kwalifikacjami, a składał skargi tylko dlatego, że był zwyczajnie wredny. Poza tym jeśli jesteś dobrym specem, to im mocniej się miotasz, tym szybciej zatkają ci gębę jakimś niespodziewanym bonusem.

– Dobrze – skinął głową admirał. – Miejmy nadzieję, że jeśli ktoś się teraz kręci dokoła Cerbera i czeka na was, Abe… Miejmy nadzieję, że ten ktoś też kiepsko strzela.

– Hm – mruknął Fein. – Ciekawe. Czyli badanie stacji to kit. Tak myślałem.

– Co myśleliście?

– Przepraszam, sir.

– Nie, proszę mówić. Poważnie.

– No… Przecież ktoś ją rozwalił, prawda? Bo to jest całkowicie autonomiczny automat, nie ma się co psuć. Czyli ktoś w nią puknął. Tak, sir?

– Jak sądzisz, Abe, kto by to mógł być?

– Noo… sir… W sumie to nie moja sprawa. Tyłek… Pardon, jego świątobliwość kontradmirał Essex ma ogromny sztab. Setka obijaków. Niech oni proponują wersje. A naszym zadaniem jest skoczyć, obwąchać wszystko i zameldować.

– Fein, niech pan skończy z tymi swoimi żydowskimi numerami.

– Sir, proszę pomyśleć. Ja panu powiem, komu na moje oko stacja przeszkadzała, a pan mnie tego… Na dół.

Raszyn trącił nogą muszlę, przeleciał przez SDO i chwyciwszy się za jeden z foteli, zawisł przed ekranem czołowym.

– Obcy? – zapytał.

– Oczywiście, rozwalili stację i czekają na brygadę remontową. Chcą wziąć języka.

– To za bardzo ludzkie.

– Dlaczego nie? – zapytał Fein. – Nie ma nikogo innego, kto by chciał napadać na stację. Cała strefa wewnątrz orbity Saturna jest pod kontrolą. Gdyby szmuglerzy wyściubili nos z Pasa, policja by to zauważyła. Poza tym do Cerbera i tak nie dopełzną. Zresztą po co im to?

– Po nic. Przez cały czas siedzą w Pasie i wyciągają z niego surowce Wenus i Marsa. Policja też ich goni. Czyli co, Obcy?

– Tak jest, sir.

– Jakoś lekko ci to przechodzi przez gardło, Abe…

– Mi??! – obruszył się Fein. – Przecież to ja pierwszy w ogóle

otworzyłem gębę. I pierwszy za takie gadanie oberwałem. A Tyłek…

– Czy pan zrozumiał zadanie? – przerwał mu Raszyn.

– Tak, sir – odparł posępnie dowódca scouta.

– Sądzę, że mimo wszystko nikogo tam nie zastaniecie. Ale na stację wejdźcie na samym końcu, kiedy przekonacie się, że przestrzeń dokoła jest czysta. Macie tylko oszacować zniszczenia, ich charakter, przerzucić dane do dalekiej łączności i od razu z powrotem.

– To nierealne, żeby można było zlokalizować Obcego naszymi środkami – mruknął Fein. – Jeśli dotarli do Słonecznego, to mam nadzieję, że wiem, jak się poruszają. A skoro załatwili stację, to mogę sobie wyobrazić, z czego strzelają.

– Masz pomysły? – zapytał admirał, odwracając się do niego.

– Pomysły niech generuje Tyłek – odparł zwiadowca. – On ma od tego specjalistów. Przy okazji niech wymyślą, co mamy zrobić, jak nam Grupę F rozwiążą.

– Jeśli znajdziecie przekonujące ślady Obcych, Grupy F nie rozwiążą.

– No nie wiem… – pokręcił głową Abe. – Za taką cenę? To już wolę pracować jako asenizator. Będę pompował gówno, pobrzękując medalami.

– To prawda – zgodził się Raszyn. – I to powiedział oficer bojowy. Prawdziwy z was żołnierz, Fein. To co, lecicie na Cerbera? Wątpliwości?

– Tak jest, sir! – wyskandował dowódca „Ripley”.

– W sztabie przygotowywany jest raport o wszystkich niewyjaśnionych zjawiskach, jakie obserwowano w ostatnich latach. Proszę się z nim zapoznać przed odlotem. Opracujcie strategię poszukiwań. W tej dziedzinie nie potrafię udzielić dobrych rad.

– Wiem wszystko, sir – uśmiechnął się Fein. – Zapomniał pan, że już sto lat temu mówiłem… no, po tej historii ze „Skywalkerem”… że w Słonecznym niedługo nie da się ruszyć bez Obcych… W wywiadzie wielu zbiera dane o Alienach. Nieoficjalnie oczywiście. Dowództwo nie chce nawet o tym słyszeć.

– A ja chcę – powiedział admirał. – I chcę usłyszeć o Obcych właśnie od pana, commanderze. Wróćcie tu i opowiedzcie mi, że ich nie ma i nie było.

– Oni są, sir. Po prostu jak dotąd nie mieliśmy na nich czasu.

– Dobrze by było, żeby za naszego życia nic się w tym względzie nie zmieniło.

– Nie ma pan racji, sir – nie zgodził się zwiadowca.

– Dlaczego? – Raszyn uniósł brwi.

– Bo jeśli nic się nie stanie, za kilka lat nie będzie w Słonecznym okrętów bojowych. Czyli co, ci Obcy zgarną nas bez jednego wystrzału?

Admirał przetarł oczy zmęczonym gestem.

– Biedni z nas ludzie… – wymamrotał.

– Co prawda, to prawda, sir – skinął głową Fein.

* * *

Zazwyczaj booster jest przypinany do statku specjalnymi uchwytami. Ale w przypadku „Ripley" stało się odwrotnie. Malutki stateczek został przyczepiony do ogromnej beczki, po czym ktoś wcisnął guzik. Booster przez sekundę wisiał, jakby się namyślając, potem z ogona trysnął snop płomienia i beczka runęła w przestrzeń z takim przyspieszeniem, że commander Fein poczuł, jak oczy wypływają mu z oczodołów. W takim stanie mieli pozostawać aż do Pasa, gdzie booster, już z pustym brzuchem, kopniakiem odrzuci „Ripley" i odda się w stalowe łapy holowników.

– Chyba ma niestabilny wydech – zauważył Werner wpatrzony ponad ramieniem Raszyna w ekran główny. – Albo mi się wydaje…

– Wydech jest dobry – mruknął Borowski. – Wszystkie teraz takie mają, nasze łódeczki już się zużyły. Na szóstym zwierciadle jest niezła dziura, a kto nam ją teraz załata? Nikt. Główne działo ma w rezerwie przed kapitalnym remontem tylko trzy impulsy, a remont za co? W basenie ktoś narysował niezłego wała, a okręt w końcu wojenny…

– Jak myślisz, kto to zrobił? – zapytał Raszyn, ciągle patrząc na oddalający się booster, widoczny już tylko w postaci małego punktu.

– Jakiś wał, bo kto jeszcze?

– Przestań w końcu jęczeć.

– Tak jest, sir. Proszę o pozwolenie zadania pytania. Posłuchaj, *driver,* może ja bym tym razem nie jechał na dół? Popracuję sobie tutaj.

– Nie wolno.

– W głównej śluzie trzeba wymienić uszczelki. Dopilnowałbym osobiście.

– Nie wolno – powtórzył zmęczonym tonem admirał. – Rozumiem cię, Jean Paul. Nikt nie chce na dół. Ale taki jest porządek. Logiczny porządek. Trzeba co jakiś czas odpocząć od kosmosu. Zachowuj się jak przyjaciel i mnie nie wkurzaj.

Borowski westchnął ciężko i zgarbił się.

– Wymiany uszczelek dopilnuje Andy – zarządził stanowczo Raszyn. – Wszystko będzie OK. Prawda, *Andriej?*

– Oczywiście, *driver.* Zero problem.

Pierwszy oficer znowu westchnął, tym razem zupełnie

rozdzierająco i rozpaczliwie, i zmrużył oczy, wpatrując się w ginący w mroku punkcik.

– Biedny Abraham – powiedział. – To oczywiście nie moja sprawa, ale… nie chciałbym teraz być na jego miejscu.

– Przede wszystkim byś nie mógł – uśmiechnął się Raszyn. – Nawet w speckostiumie nie wytrzymasz dziesięciu G. A Fein w tym momencie wali dwadzieścia. Jak wróci cały i żywy, wezmę go do siebie na flagowy jako szefa zwiadu. Już czas, żeby facet porządnie odpoczął. Polatasz z nim, Jean Paul?

– Zgodzi się? – zapytał niepewnie Borowski.

– Jak nie, to przynajmniej damy mu Medal za Bezczelność – wzruszył ramionami admirał. – Medalu nie odmówi. Aż się do nich trzęsie. Ciekawe, co on z nimi robi? Ma już tego żelastwa z dziesięć kilo.

– Dzieci się tym bawią. Widziałem.

– Ile on ich ma, troje?

– No.

– Co to za jakiś głupi zwyczaj rozmnażać się jak… nie wiem co!

– Kwestia przetrwania. No bo my, Żydzi, byliśmy bici! – z dumą orzekł Borowski.

– Bici, ale niedobici. Inna sprawa z nami: łupnęli raz a dobrze i po kłopocie. – Raszyn roześmiał się niewesoło. Ciągle stał plecami do technika i pierwszego oficera tuż przy ekranie.

– A ilu was zostało? – zapytał Borowski. – Milion?

– Gdzie tam! Najwyżej pięćset tysięcy. Bez Metysów.

– No to mogą was teraz uratować tylko międzyrasowe małżeństwa – bezapelacyjnie oświadczył pierwszy oficer. – Nie rozumiem, po co się tak upieracie przy czystości rasowej? Wymrzecie!

Admirał milczał.

– Karaluchy, szczury, gołębie i dmuchawce – odpowiedział za niego Werner. – Oto co nie wymarło i nie wymrze.

– Ludzie też się jakoś adaptują – zauważył Borowski.

– Nie wszyscy. Jesteśmy zmęczonym narodem, Jean Paul. Nie mamy kompleksu ludu przez Boga wybranego. Nie mamy bodźców do rozmnażania, rozumie pan? Nam się już znudziło. Ile można zasłaniać sobą Europę przed Mongoło-Tatarami, Arabami albo Chińczykami…

– Jakoś mało szczelnie ją przed Arabami zasłoniliście. To my ich przecież załatwiliśmy.

– Guza tam wy! – wtrącił się Raszyn. – Arabów umoczyli Niemcy i Francuzi. Chińczyków dziobał cały świat. A wy, Żydzi parchaci, tylkoście poodcinali kupony z tej afery. Iłu waszych przemknęło się do Rady Dyrektorów, co?

– A gdzie jest państwo Izrael? – odparował pierwszy oficer.

– Tam gdzie i Rosja – uśmiechnął się Werner. – Ale was jakoś

zrobiło się dużo, a Rosjan odwrotnie.

– Sami sobie jesteście winni. Mogliście się skumać z Chińczykami i podzielić świat między siebie. Albo przeciwnie – wstąpić do NATO.

– Nie zdążyliśmy! – rzucił zdenerwowany admirał. – W Rosji dopiero przed samą Kotłowaniną zaczęło się normalne życie. I nagle… Wiesz co, Jean Paul, był taki naród, Ukraińcy. I był też taki niezły dowcip o tym, jak Ukrainiec złapał złotą rybkę. Ona mówi do niego: *Proś, o co tylko chcesz. Trzy życzenia.* A on na to: *Chcę, żeby Turcja napadła na Szwecję. A potem, żeby Szwecja napadła na Turcję. I jeszcze raz Turcja na Szwecję.* Rybka pyta: *A na cholerę ci* to? A Ukrainiec odpowiada: *Uśmieję się, jak będą przez Moskwę latali tam i z powrotem.*

– Proroczy dowcip – zauważył technik.

– Ta uwaga nie oddaje całości zagadnienia, Andy. Rzeczywiście, cały glob w marzeniach sennych widział, że się od nas uwolni. Rosja była bardzo niewygodnym państwem. Taki drugi Izrael, tyle że większy i z jądrowym arsenałem. I proszę bardzo – nie ma nas. Jaki z tego zysk? Pustynia. Powiadają, że jakieś plemiona żyją na wybrzeżu Morza Arktycznego. Mutują sobie powoli i po cichutku. Do bałwanów się modlą, kretyni.

– Mają tam co jeść? – zdziwił się Borowski.

– Siebie nawzajem. Bardzo niekoszernie.

– Ciężki przypadek.

– Nie wiem. – Raszyn odwrócił się od ekranu z uśmiechem w kąciku ust. – Mam po pradziadku pamiętnik. Prawdziwy, na papierze. Opisał w nim przepięknie, jak w Paryżu piekli szczury na rożnach. Jak się skończyły gołębie. Czy to jest życie? Które to pokolenie na Ziemi je do syta? Piąte? Szóste?

– Dobra, dobra, ludziska na Marsie i Wenus też się nie obżerają czekoladą – wtrącił pierwszy oficer. – Wcinają tę samą syntetykę co my.

– Nie rozumiem. Do czego pijesz? – zapytał admirał.

– Do tego, że wojna wcale nie jest piękna.

– Trzeba to było powiedzieć wierzącym. Sto lat temu albo lepiej pięćset. Wszystkim fanatykom religijnym.

– *Pardon, driver,* pan naprawdę sądzi, że bez religii życie jest lepsze?

– Religia to opium dla ludu – rzucił Raszyn. – Kule dla moralnie beznogich. Dobry sposób na życie jak zombie.

Borowski przygryzł wargę.

– Jest takie rosyjskie powiedzenie: *Jak się zmusi durnia modlić, to sobie rozwali łeb* – poparł admirała Werner. – No i rozwalił.

– No i był też taki mędrzec, papież – przypomniał Raszyn.

– Jesteście niedobrzy – powiedział pierwszy oficer. – Po prostu Rosjanie.

– *Synagoga – bezpłodna i bez pożytku – znajdzie ojczyznę miedzy niewiernymi…* – zacytował Nostradamusa dowódca. – I co, Jean Paul, Babilon podciął wam skrzydła, nie?

– Uważajcie, żeby nas teraz wszystkich nie oskubali – oświadczył proroczym tonem Borowski. – Dokoła pułapki. Albo Abraham natknie się na Obcych, albo Zebranie Akcjonariuszy rozpieprzy flotę. Z Alienami moglibyśmy jeszcze powalczyć, ale…

– Nie mówmy o Obcych – poprosił admirał. – Nie damy im rady.

– Dlaczego? *Grupa eF, Grupa eF już poczuła wojny zew. Cruiser tam, scouty tu – wroga wszyscy mamy w dul* – wyskandował pierwszy oficer.

– O, właśnie! – zgodził się Raszyn. – Jesteśmy bandą psychopatów, Jean Paul. Nawet w basenie mamy narysowanego chuja. A co wiesz o Obcych? Wiesz o tym, że teoria względności ich nie dotyczy? Że ekranizują się niemal idealnie, masz pojęcie? Widziałeś, jak wypatroszyli Plutona?

– Coście się tego członka w basenie czepili… – wymamrotał Borowski. – Przecież nie na drzwiach waszych kajut…

– Wiesz co… – Admirał odruchowo zerknął na głośnik interkomu i wstrząsnął nim dreszcz. Ciągle pamiętał o tym, że system komunikacji przez cały rok łykał każde jego słowo. Werner nie wyłączał całkowicie szpiegowskich funkcji głośników, odciął tylko kajuty starszych oficerów i sekcje sterowania. Teraz w tych pomieszczeniach można było mówić swobodnie, ale Raszyn i tak nie pozbył się poczucia, że ktoś mu opluł duszę.

– Wiesz… – powtórzył. – Najpierw sprzyjałem tym gnojom z dołu, kiedy zaczęli rozkładać armię. Myślałem, że podenerwowane i zestresowane wojsko w razie czego chętniej posłucha mnie niż admiralicji. Przez jakiś czas tak zresztą było. A teraz… Nie wiem. Na okrętach panuje straszliwy burdel. Potworny. Tracimy zdolność bojową nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę. Potrzebujemy wojny jak powietrza, Jean Paul. Z kimkolwiek, byle tylko była robota. Tyle że co do Alienów… w porównaniu z nimi… słabo stoimy.

– No to postawmy Ziemię na głowie – zaproponował pierwszy oficer. – Pieprznijmy kilka bomb dla postrachu… Czy to by było złe, gdyby pan został Przewodniczącym Zarządu?

– A Tyłek Dyrektorem Generalnym! – roześmiał się Werner.

– Tyłek jest gotów na wszystko – oświadczył Raszyn, zupełnie się nie uśmiechając. – Od roku nie zjeżdżał na dół. Boi się.

– Przecież mówię – skinął głową Borowski. – Przejmiemy władzę, zakażemy monopoli, zbudujemy demokrację, damy jej silną flotę, Obcych spacyfikujemy. Piratów i przemytników przyciśniemy. I będziemy sobie w końcu żyli jak ludzie. Szczególnie że z Marsem i Wenus już mamy stosunki jako tako ustawione. Będzie dobrze, bylebyśmy ich nie straszyli więcej.

– Jakie to wszystko proste… – powiedział Raszyn z dziwnym rozmarzeniem. – Jakie to okazuje się proste!

– Bo może wszystko naprawdę jest proste? – ostrożnie zapytał technik.

– Pytałem Tyłka, ilu ludzi żeśmy utrupili – przypomniał sobie admirał – a on wszystko zwala na crushery i desant. Że niby Grupa F przez całą wojnę transportowała tylko złom. Panowie, jesteście gotowi znowu zabijać? I to nie jakichś tam Obcych, ale swoich, prawdziwych swoich, co? Zabijać tylko dlatego, że się z nami nie zgadzają…

– Niech pan przestanie z tymi rosyjskimi sztuczkami! – zdenerwował się Borowski. – Jest pan żołnierzem czy nie?

– Chyba jednak nie. – Raszyn westchnął z goryczą. – Jak byłem nawigatorem, tak nawigatorem zostałem.

– Szkoda.

– Lepiej popatrz na siebie, znalazł się masowy zabójca. Boisz się jechać na dół, uszczelki musisz zmieniać…

– Krótko rzecz ujmując – podsumował pierwszy oficer – niczego pan jeszcze nie postanowił.

– Nie bój się – powiedział admirał. – Jak przyjdzie co do czego, to szybko postanowię. I tak musimy walić na profilaktykę za miesiąc.

– Akurat! Co będzie, jak „Skoczkowi" odbiorą działa? W celu profilaktycznym, że tak powiem?

– Nie odbiorą. Jeszcze sobie polatamy.

– Chciałbym to widzieć! – ryknął Borowski wyzywająco.

* * *

Był środek nocy czasu pokładowego, kiedy ciszę zmiażdżył głośny gong. „Skoczek" drgnął – reaktor cisnął energię do zasobników. To obudziło nawet tych, których sygnał *Do boju!* zmusił ledwie do rozklejenia powiek. Cruiser szykował się do salwy.

Ive wpadła na SDO druga, zaraz po Foksie. Kanonier już siedział w fotelu i jedną ręką ciągnął pasy, drugą nerwowymi uderzeniami traktował swój pulpit kontaktowy, wprowadzając działa w tryb namierzania.

– Co jest?! – krzyknęła Candy, wskakując w swój fotel, włączając jednym ruchem całą automatykę poruszania i wpijając się spojrzeniem w monitor. – Gdzie?!

– DN! – warknął Fox. – NES! Skur-r-r! – Teraz już walił w pulpit obiema rękami. Okręt wibrował – główny laser sygnalizował pełny ładunek. Cichy syk towarzyszył hermetyzacji luków między sekcjami.

– Bojowy! – rozległ się w głośnikach głos Raszyna.

– NES! – zameldował Fox. W języku komend oznaczało to *no enemy spotted.* Rzucone wcześniej DN było jego własnym wynalazkiem i znaczyło *I don't know.*

– RM – Ive z pewnym rozleniwieniem dodała swoje regulaminowe *ready to move.* Dotarło do niej nagle, że fotel dowódcy jest pusty. To znaczyło, że Borowski razem z Raszynem właśnie patrzyli w monitor kontroli gotowości i drapali się po głowach, odnotowując spóźnialskich.

– To ćwiczenia, Mike – powiedziała Candy. – Luz.

– Alarm ćwiczebny. Pełna gotowość dwie minuty trzydzieści jeden sekund – w tej samej chwili usłyszeli głos admirała. – Alarm odwołany. I co ja mam teraz z wami robić, astronauci?

– Niemożliwe! – sapnął Fox, gapiąc się w głośnik, jakby sądził, że wyjrzy z niego głowa admirała. – Jaki… jaki to czas?

– Wszyscy słyszeli? – zapytał Raszyn. – Dwie trzydzieści jeden. Zuchy! Do odwołania rozkazu pozostać na posterunkach. Zaraz przejdziemy się do was i wysłuchamy pytań. Czekać!

– Fffuch! Oj-joj! – Kanonier zmalał w fotelu i ścisnął skronie rękami. Ive opadła na oparcie i zaczęła głęboko oddychać, mając nadzieję, że podniecenie opadnie samo, nie zmuszając kończyn do widocznego drżenia. „Skoczek" kilka razy zadygotał konwulsyjnie, jakby również cierpiał na bóle głowy.

– „Stary Paul" też luzuje – zauważył Fox, wyjmując z kieszeni środki przeciwbólowe. – Chcesz tabletkę, Candy?

– Nie, dzięki. Która godzina? – zapytała kapitan-porucznik, odpinając pasy. Szybko zerknęła na wmontowany w mankiet speckostiumu cyferblat. – Hmm, prawie czwarta… Słuchaj, Mike, jak to możliwe? Przecież poprawiliśmy rekord floty o pół minuty.

– O dwadzieścia dziewięć sekund – kanonier skorygował ją niewyraźnie z powodu ust wypełnionych pigułkami. Również uwalniał się z pasów. – No i Raszyn ściągnął sobie problem na głowę. Będzie nas musiał wynagrodzić. Pamiętasz, kiedy mieliśmy ostatni ćwiczebny alarm?

– Nie-e.

– Właśnie. Jedno ci powiem: żadnych alarmów nie było od końca kampanii. Już rok. Jak tylko wszystko się uspokoiło, Rada Dyrektorów wysunęła wniosek likwidacji floty. Komu potrzebny jest ćwiczebny alarm na okręcie, który ma iść na żyletki?

– No to co, że na żyletki? – zapytała Ive, luzując zapięcia speckostiumu. Zdążyła się ubrać w pełny uniform. Dały o sobie znać miesiące treningów, podczas których wszystkie działania w warunkach alarmu doprowadzono do odruchów. Przy tym pierwszy raz speckostium Candy nałożyła, mając szesnaście lat. A pierwsze

odznaczenie bojowe otrzymała w wieku lat dwudziestu.

– Jakoś zacząłem się tym wszystkim przejmować – poskarżył się Fox. – Widziałaś?

– Mike, byłeś wspaniały jak zawsze. Kiedy jesteś w uderzeniu, to… to jest fantastyka! Masz prawdziwy talent.

Kanonier chrząknął zadowolony i wyciągnął z kieszeni ogryzek cygara.

– E! – obruszyła się kapitan-porucznik.

Fox popatrzył na trzymany w ręku ogarek i szybko go schował. Przypadki palenia na pokładzie w ogóle nie były uwzględnione w regulaminie z powodu swojej zupełnej absurdalności.

– Moja wina – przyznał. – Powiedziałaś, żebym wyluzował, to wyluzowałem.

– Zaraz przyjdzie Raszyn, on cię wyluzuje – obiecała Ive.

– Te, kot! – rzucił kanonier przez ramię. – Kursant Kendall, zdjąć spodnie, pokazać stan posiadania majtek.

– Akurat mam na sobie. A ty bez wazeliny już się nie wpakujesz w kostium.

– Yhy – westchnął Fox. – Tak mi się coś wydaje, to z nerwów.

– To się tak nie przejmuj – poradziła Candy. – Zjedziemy na dół, pójdziemy do knajpy, wypijemy, potańczymy, znajdziesz sobie odpowiednią dziewczynę i cały stres jak ręką odjął.

– Nie chcę na dół – powiedział kanonier z determinacją. – Nie chcę i już. Znowu nie wyjdziemy do miasta, będziemy siedzieli w bazie.

– A w bazie nie można się zabawić?

– Wkurza mnie ten tłum przy bramie. Przez cały czas o nim pamiętam, wiesz? A kto w tłumie? Zwyczajni ludzie. Normalni ludzie. Tak w zasadzie dobrzy ludzie, oto w czym problem. Nie źli. Stoją z plakatami Mordercy w kosmos; Stąd też można ich zobaczyć, tylko trzeba dostroić optykę. Ale stąd nie będę się gapił, na cholerę mi to…

Fox nie zdążył dokończyć swojej przydługiej skargi – pokrywa śluzy wsunęła się w ścianę, a na mostek wszedł Raszyn z mobilnym terminalem w ręku. Astronauci poderwali się na równe nogi.

– Spocznij, spocznij – zezwolił admirał. Popatrzył na swój monitor. – Czyli tak, Michael, byłeś na posterunku w dwie jedenaście, a ty, Ivetto, w dwie osiemnaście. Wspaniały wynik. Pytania, prośby, propozycje?

– Nie, panie admirale! – chórem odpowiedzieli Fox i Ive.

– Nie będę wam dziękował w imieniu dowództwa, panie i panowie – powiedział Raszyn – ponieważ dowództwu zwisają i trzepocą wasze sukcesy. Ale osobiście… Postawię na dole butelczynę. Koniec, wyłączamy urządzenia i idziemy spać. Dziś możecie kimać godzinę dłużej. I jeszcze raz dziękuję za służbę. Gratulacje.

– A kto był pierwszy? – zapytał kanonier.

Admirał już stał w progu.

– Najlepsze wyniki mają technicy – rzucił przez ramię.

– Ciekawe – zdziwił się Fox. – Przecież oni mają najwięcej biegania.

– Właśnie – skinął głową Raszyn i wyszedł.

– Andy też ma dryg do pracy – powiedział kanonier. – Jak ja.

– A ja? – obruszyła się scenicznie kapitan-porucznik.

– Ty masz bardzo ładne oczy i wspaniały tyłeczek – pocieszył ją grubas.

– Jesteś dupa wołowa, Mickey – uśmiechnęła się Ive, wyłączając zasilanie sektora napędowego. – Nie wierzysz, że kobieta też coś może w życiu osiągnąć, zająć jakieś godne miejsce…

– Miejsce kobiety jest w sercu mężczyzny. – Kanonier znów wydobył z kieszeni swój niedopałek. – Kobieta, dopiero kiedy jest nic niewarta i nikt jej nie kocha, zaczyna się drzeć o dyskryminacji płciowej.

– Taki jesteś mądry? A co z tymi, co same siebie nie kochają?

– One jeszcze mają czas – oświadczył Fox z taką pewnością w głosie, że Ive roześmiała się głośno.

– Idziemy… filozofie – powiedziała i przestąpiła próg grodzi.

Grubas włożył niedopałek do ust i ruszył za nią.

W strefie roboczej panował tłok i łatwo było zauważyć, że astronauci po raz pierwszy od bardzo dawna czuli się komfortowo. Oczy im płonęły, wymachiwali rękami, rozmawiali głośno. Ive i Fox odpowiedzieli na powitania, zadowoleni wymienili uprzejmości i stopniowo także poddali się radosnemu podnieceniu.

– Akurat zaśniemy! – zauważył kanonier. – Euforia bojowa w czystej formie. Palnąłbym sobie teraz! Bezpośrednie trafienie! A ty? Nie pomanewrowałabyś sobie? Co, siostrzyczko?

– Nie tylko pomanewrowała, ale i postrzelała – powiedziała Kendall. – Ale przecież nie pozwalasz.

– Nie wolno. Strzelanie – męska sprawa. Kobieca – kierowanie.

– I kto to mówił coś o dyskryminacji płciowej?

Teraz roześmiał się Fox.

Przy wejściu do sekcji mieszkalnej spotkali dwóch spoconych techników wlokących po podłodze korytarza jakiś ogromny przyrząd. Na pytanie kanoniera, czy to nowa bimbrownica, nerwowo zarechotali, znikając za rogiem. Ive odprowadziła ich spojrzeniem i nagle poczuła lekkie ukłucie rozczarowania. Zrozumiała, że ucieszyłoby ją, gdyby jednym z techników był Werner.

– Nie rozumiem jednak ciągle, po cholerę to komuś było – wyznał Fox, kiedy Candy zatrzymała się przed drzwiami swojej kajuty.

– Co masz na myśli? – zapytała zdziwiona, obracając w myślach

inne tematy.

– Nie rozumiem, po co Raszyn urządził alarm właśnie teraz – wyjaśnił kanonier. – Wkrótce walimy na profilaktyczny remont. Alarm pod kurtynę byłby logicz-V ny, tak żebyśmy pamiętali, co to służba. A dziś… Może jakaś wojenka dojrzewa? Przecież wiesz, że Raszyn ma w tym temacie fenomenalny węch.

– Jeśli o mnie chodzi, może być wojna, bylebym nie musiała lecieć na dół! – prawie krzyknęła Ive i sama zdumiała się własną szczerością.

Popatrzyła na oszołomionego Foxa, mruknęła: *No, narazicho* i zniknęła w kajucie.

– A ja sobie pójdę potrenować – powiedział kanonier sam do siebie i skierował się w stronę pokładu strzeleckiego.

* * *

Pod prysznicami szalała wachta nawigacyjna, czyli trzecia, czyli *wachta Kendall.*

Starając się nie patrzeć w dół, skąd bił w oczy dwumetrowy fallus, Ive kilka razy przepłynęła pod wodą basen. Wreszcie dokładnie na samym środku, mniej więcej nad prawym jądrem, położyła się na wodzie i rozrzuciwszy ręce, zamarła w nieruchomej rozkoszy. Nasycona leczniczymi solami woda była znacznie gęstsza od zwyczajnej i łatwo utrzymywała na powierzchni szczupłe dziewczęce ciało. Candy przymknęła powieki, po czym zgodnie z instrukcją zmusiła się do myślenia o czymś przyjemnym i niezobowiązującym. Nie wiadomo dlaczego, od razu przyszło jej do głowy, że klawo by było znów walić na pełnym ciągu, słuchając z głośników zniekształconych rozkazów i tego, jak Fox bębni palcami po kontaktach. Obserwować na wprost kursu ogniste kule wybuchów. Delikatnie dotykając pulpitu, wyczuwać, jak najlżejszy ruch ręki odzywa się w posłusznych trzewiach okrętu…

– Po tysiąckroć przepraszam, pani kapitan! – usłyszała nagle, jak młody, dźwięczny głos woła do niej ze słupka startowego na brzegu basenu. – Proszę się nie martwić, stoję do pani plecami… Chłopaki mają pewien pomysł, a ja jestem coś jakby parlamentariusz…

– Co się stało, Christoff? – zapytała Ive, leniwie otwierając oczy.

– Wymyśliliśmy, że możemy w czasie wolnym wymodelować ćwiczenia ciągowe… Jutro wieczorem. Nie takie zwyczajne, a na dwa okręty. Skok przez Pas, tylko na prędkość, nasza wachta przeciwko chłopakom Falzfein. Pani Falzfein chyba nie ma nic przeciwko, ale

zmaga się z jakimiś problemami osobistymi, a my byśmy chcieli, żeby to obserwował jakiś doświadczony pośrednik. Sędzia. Może pani by się zgodziła? Zrobimy to w trybie przyspieszonym, się uwiniemy w godzinkę…

– Coś takiego, powiedziałabym, że wybuch entuzjazmu! – uśmiechnęła się kapitan-porucznik. – Nudzi się wam, chłopaki, bez zajęcia, co? Dobra, ja się zgadzam. Tylko przypomnijcie mi godzinkę przed. Wszystko?

– Raczej nie… Pani kapitan, usiądziemy sobie w bibliotece, dobrze by było mieć połączenie z procesorem napędowym. Żeby zrobić wszystko jak w prawdziwych okolicznościach.

– Aha. Czyli ja mam iść do techników się umawiać?

– No… Dobrze by było.

– Dlaczego sam nie pójdziesz do starszego technika i nie powiesz, że to na moją odpowiedzialność?

– No… – Christoff zająknął się. Słychać było, jak przestępuje z nogi na nogę na mokrym słupku.

– Nieśmiały jesteś, boisz się zwrócić do technika, do mnie odwracasz się plecami…

– Do pani plecami, bo nie chcę przeszkadzać – wyjaśnił chłopak. – A porucznik Werner… to taki… No, jeszcze go nie znamy. Ciągle siedzi gdzieś w głównym rdzeniu. Jak go wywołam? Kim ja dla niego jestem?

Zapomniawszy, że jest w basenie, Ive przekręciła się na bok i poszła pod wodę. Pokasłując, dopłynęła do brzegu, chwyciła za poręcz i odrzuciwszy włosy z czoła, popatrzyła z dołu na onieśmielonego Christoffa. Naprawdę stał tyłem!

Ive odnotowała w myślach, że chłopak jest całkiem nieźle umięśniony i przypomniała sobie, że sama w siłowni nie była już chyba z pół roku.

– Przecież jesteś też porucznikiem, Christoff – powiedziała, wysuwając się na brzeg, i usiadła na krawędzi z nogami w wodzie.

– Niby tak, ale drugiego stopnia. Krępuję się… przepraszam.

Ive odruchowo spojrzała na swoją bliznę pod piersią. Takie bojowe szramy astronauci zostawiali bez kosmetyki. Nosili je z dumą niczym medale. Przypomniała sobie podobne poszarpane pasmo na przedramieniu Wernera i pomyślała, że opowiadanie o tym, jak się *czołgał i zaczepił,* to bujda na resorach.

: – Pani nie wie? Przecież on tonął na „von Reyu”. Potem palił się na „Dekardzie”. On i Raszyn są… po imieniu, po prostu. A chłopacy mówią, że z załogi „Gorbowskiego” został wyprowadzony w ostatniej chwili. Że niby Raszyn o to poprosił.

– Dobra – westchnęła Candy. – O której jutro?

– O dziewiętnastej pokładowego. O ile będzie połączenie, rzecz

jasna. No bo na zwyczajnych procesorach to niepowaga, pani rozumie, pani kapitan. Przepraszam, że zawracam głowę, ale nie bardzo miałem kogo poprosić… A chcielibyśmy poganiać się tak sensownie!

– Będziesz miał, co trzeba, Christoff – obiecała Candy, wstając. – Będziesz miał kompletny model w realnym czasie. Dobrze to wymyśliłeś. Szukaj mnie jutro około osiemnastej. – Klepnęła chłopaka w plecy i ruszyła pod prysznic, ale w połowie drogi odwróciła się.

On szybko opuścił wzrok, ale już zdążył ogarnąć spojrzeniem całą jej postać, od stóp do głów. Powietrze w sali było wilgotne, niewielkie piersi Candy ze sterczącymi do góry sutkami, mocne, zgrabne nogi w kroplach wody, proste, silne ramiona – całe to jędrne ciało było w tym momencie lekko wyprężone i wyglądało jak odlane z metalu. Christoff wolno zalał się rumieńcem. Ive omal nie wybuchnęła śmiechem, widząc, jak mężczyzna nie potrafi zapanować nad emocjami.

– Zapomniałam na śmierć – powiedziała. – Kto z waszej wachty będzie podczas wyścigu robił za starszego nawigatora?

– Ja… – wykrztusił chłopak, wpatrując się w podłogę.

– Świetnie. No więc, poruczniku, rzeczywiście nie jesteś jeszcze masterem, ale masz na to przyzwoite zadatki. Za dziesięć lat i do ciebie admirałowie będą się zwracać po imieniu, ale mi chodzi o co innego. Jeśli po tym, co dla was zrobię, nie wyprzedzicie wachty Falzfein…

– Zrolujemy ich! – pośpieszył z zapewnieniem Christoff.

– …to ja sama cię poganiam – dokończyła Candy. Odwróciła się i poszła pod prysznice. Chłopak odprowadził ją szalonym spojrzeniem, z cichym jękiem odciągnął kąpielówki, uwolnił wyprężony do bólu członek i zaczął go gładzić. To było silniejsze od niego – przed oczami Christoffa niczym dręczące widmo widniały kropelki wody na kręconych złotych włosach i za to, by móc przylgnąć do nich ustami, gotów byłby oddać wszystko na świecie. A już o przeniknięciu tam, pod to połyskujące złoto, w tajemną głębinę młodego, wspaniałego ciała…

Spod prysznica wysunął głowę jeden z młodszych nawigatorów wachty Kendall, rzucił spojrzenie w kierunku basenu i od razu zanurzył się z powrotem.

– Nasz Christoff się sypnął z miłości – oświadczył. – Stoi i struga konika.

– Też mi nowina… – usłyszał w odpowiedzi. – Wszyscy to robią. A ty byś jej nie chciał?

– Pewnie, że tak. Ale nie do takiego stopnia, żeby tratatata! To nieprzyzwoite.

– Mnie tam raczej interesuje, czy on struga z radości, czy z rozpaczy.

– Że niby jak?

– Że niby tak, czy ona pogada z Wernerem, czy nie? Ganiać na zwyczajnych kompach to bezsens, ale gdybyśmy mieli procesor marszowy…

– Nie bój żaby. Wszystko OK. Ona ma na tego Wernera ochotę. Na sto pro.

– Czyli wynika z tego, że myśmy jej nawet pomogli? – A jak! Willi, nalejesz kolegom po szklaneczce za powodzenie kapitan-porucznik Kendall? Nam i tak nie da, to niech przynajmniej jemu…

– W takiej intencji, to oczywiście. Zbierajcie się, idziemy. Co do Wernera, fajny chłop… Wyczuwam w nim dobrą rasę. Chciałbym zobaczyć, jak on ją albo ona jego.

– Fuj, Willi! Nie wstyd ci?

– Ależ ja tylko tak, teoretycznie. Czysto estetycznie. Bo to cholernie seksowna babka. Powinna w zasadzie walić się na prawo i lewo. A wcale tak nie jest. To mnie intryguje: dlaczego? No dobra, chodźmy.

– Czekaj, a Christoff?

– Też prawda. Zasłużył sobie na szklaneczkę, bardziej od co poniektórych. Luknij, Alen, nie skończył aby już?

– Zgłupiałeś? Mam wysunąć pysk i zapytać: *Christoff, skarbie, skończyłeś już?*

Drzwi otworzyły się i do szatni wszedł młody porucznik.

Z wyglądu sądząc, jeszcze nie całkiem doszedł do siebie.

Wachta Kendall, porzuciwszy tak charakterystyczną dla astronautów delikatność, przywitała kolegę burzliwymi oklaskami.

* * *

Wystrój kajuty starszego nawigatora zdominował wielki, solidny fotel z masą regulatorów i kontaktów w podłokietnikach. Na ścianie przed nim umieszczony był multifunkcyjny terminal. W ekstremalnej sytuacji Ive mogłaby włączyć się do boju, znajdując się niemal dosłownie jedną nogą w łóżku.

Zrzuciła szlafrok, wyjęła z szafy lekki dres i nałożyła go na gołe ciało. Potem usiadła w fotelu, żeby wezwać kapitan Falzfein. Ta była u siebie i odezwała się natychmiast. Ciemne włosy master-nawigator Falzfein były nieco rozczochrane, spojrzenie lekko zmysłowe. Albo coś piła, albo przytrafiło jej się co innego.

– Witaj, Margo – powiedziała Ive. – Nie przeszkadzam?

– Coś ty! – Ta machnęła ręką. – Ciekawe, co musiałabym robić, żebyś przeszkodziła? Tu nie ma warunków.

– Będziesz jutro zajęta?

– Aaa… – uśmiechnęła się Falzfein. – Szczerze mówiąc, nie. Ale ja te wszystkie wyścigi… Zabawa. I tak nas rozwiążą za kilka dni. Po co się tylko rozdrażniać?

– Nie pamiętasz już, jak waliliśmy przez Pas?

– No to co, że waliliśmy? Nie tylko tam. Ive, nie myśl o mnie źle, ale ja naprawdę nie chcę. Mogę nie chcieć? Tobie też radzę, olej to. Patrz na życie trzeźwo. To nie ma sensu. Ja w myślach już dawno jestem na dole.

– Ale twoje ciało jest na górze. Jeszcze nie wiadomo, co i jak się potoczy.

– Powiem ci, siostro, jak się potoczy. Jeszcze kilka razy przelecimy się tam i nazad, a potem nasz „Muad'Dib" pójdzie na remont kapitalny. I nie łudź się, nie pójdzie do doków orbitalnych. Nie, kochaniutka, poleci na dół. A tam zdemontują działa i resztę puszczą na złomowisko. Albo przerobią na holownik. I koniec. Co wtedy zrobisz? Przepraszam, ale mnie po prostu dziwi, że się tak wczepiłaś w ten swój mundur. Przecież zawsze dobrze wszystko kumałaś, kochana. Lepiej przygotuj się na ciche, spokojne życie na dole.

– Jesteś szczęściara, Margo – bez cienia ironii powiedziała Ive. Margaret von Falzfein za dwa miesiące miała odejść do rezerwy i wyjść za mąż. Już wszystko było zaplanowane. Narzeczony, referent jednego z Dyrektorów, miał do niej tylko jedną prośbę – aby zapomniała, że jest wojskowym astronautą. Przygotował już dla małżonki przyzwoitą legendę – historię o dziewczynie z obsługi kosmodromu, którą poznał podczas delegacji na Marsa.

– Pewnie jestem – przyznała Margo po chwili zastanowienia. – Nie wiem, jak mi się uda tam na dole, ale postaram się nie zmarnować swojej szansy. Urodzę dziecko, to na pewno. Najlepszy środek na zapomnienie. Przez najbliższe dziesięć lat będę miała zajęć powyżej uszu.

– Dobra – westchnęła Ive. – Ale ja mimo wszystko urządzę swoim chłopakom święto. Popatrzę sobie, jak załatwiają te twoje lebiegi.

– Proszę bardzo – uśmiechnęła się Falzfein. – Możesz się masturbować. Słowo honoru, nie rozumiem cię. Co zrobisz, kiedy rozwiążą Grupę F?

– Nie mam pojęcia – przyznała się Kendall. – Pewnie złożę podanie do komercyjnej floty.

– Akurat cię wezmą! Wystarczająco dużo ciężarówek spaliliśmy.

– Och, Margo, nie jątrz i nie wkurzaj!

– Przepraszam, nie pcham się więcej z radami. Może tak powinno być: ty się będziesz kotłowała z młodymi w bibliotece, a ja w tym czasie wyciągnę wibrator i wpakuję go sobie serdecznie. I będę się z

tobą łączyła w rozkoszy. Cholernie miłe zajęcie: gapić się na dwanaście ekranów jednocześnie i wprowadzać dane. To jest taka masturbacja produkcyjna. Znacznie lepsza niż zwyczajny seks, nie?

– Głupia cipa z ciebie – powiedziała Ive z przekonaniem i się rozłączyła.

Przez jakiś czas siedziała, przygryzając wargi ze złości, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i usiłowała nie wybuchnąć płaczem. Cholerna Falzfein miała cholernie dużo racji.

Uspokoiwszy się lekko, Candy wywołała starszego technika. Werner odezwał się dopiero po chwili, ekran pozostał ciemny. Koordynaty rozmówcy wskazywały na to, że znajduje się w tej chwili gdzieś w centralnym rdzeniu „Skoczka", w strefie odciążonej.

– Tak – powiedział. – Słucham, pani kapitan.

– Czy jest pan bardzo zajęty? – zapytała nieśmiało Ive.

– Cholerna robota – odparł master-technik. Jego głos przedzierał się przez syki i trzaski wyładowań. Gdzieś daleko, na granicy słyszalności, zgrzytnął metal i ktoś spokojnie rzucił: *Osiem. Świetnie. Teraz bardziej w lewo.* – Uważaj! – zawołał do niego Werner. – Dlaczego osiem? Powinno być co najmniej jedenaście! Powtórz!

– Może zgłoszę się później? – zapytała Candy.

– Sekunda – poprosił technik. Najprawdopodobniej nie miał na sobie speckostiumu i rozmawiał z jakiegoś stacjonarnego terminala w centralnym rdzeniu. Około minuty Ive słuchała z zainteresowaniem, jak spokojnie, ale ostro opieprza swoich podwładnych, którym znowu wyszło osiem, choć miało wyjść jedenaście. Potem rozległo się ciężkie sapanie i coś mocno huknęło w mikrofon.

– Kurr…! – westchnął nieznajomy głos.

– Astro-nau-to! – powiedział z pewnej odległości Werner, wyraźnie się z kogoś natrząsając.

– Aye-aye, sir! – odrzekł mu ten ktoś nie mniej ironicznie. – To ja. Obcych tu nie ma.

– Przepraszam, pani kapitan. – Technik znowu był przy mikrofonie. W strefie zero-G poruszał się najwidoczniej bez najmniejszych kłopotów. – W czym pomóc?

– Może później pana złapię?

– Szczerze mówiąc, dobrze by było, pani kapitan. Mamy tu lekki alarmik. Wie pani co? Wrócę do strefy roboczej za jakieś sześćdziesiąt minut. Gdzie mogę panią znaleźć?

– Zapraszam do mnie – zaproponowała Candy i od razu wystraszyła się naturalnego brzmienia własnego głosu.

– Nie ma sprawy – oświadczył Werner. – A teraz przepraszam. Do zobaczenia.

– Do widzenia – powiedziała Ive, rozłączając się i omdlewając ze wstydu. Głos Andrew rozbrzmiewał jeszcze gdzieś w jej wnętrzu.

Nigdy wcześniej nie przeżywała niczego podobnego. To było niezwykłe, to denerwowało, podniecało i Candy pragnęła się tego pozbyć. A jednocześnie nie chciała utracić tego dziwnego uczucia, tego wewnętrznego bałaganu, nie posmakowawszy go do końca. Chciała zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Obróciła się z fotelem i zlustrowała swoją ciasną kajutę, usiłując zaczepić o coś wzrokiem, uspokoić myśli.

Czyżbym się zakochała? – przemknęło jej przez głowę. – *Co za bzdury! Może to jakaś psychoza seksualna? Margo w tej sytuacji wyjęłaby z szafki wibrator. A ja? Ależ tu burdel… A on ma zaraz przyjść…*

Master-nawigator kapitan-porucznik Ivetta Kendall poderwała się i zaczęła sprzątać porozrzucane po kajucie rzeczy.

* * *

Andy Werner stał się astronautą z głodu. Nigdy nie ciągnęło go w kosmos, a tym bardziej na okręty wojenne. Wernerowie byli lekarzami z dziada pradziada i Andy od zawsze wiedział, że zostanie neurochirurgiem jak ojciec. To była jego namiętność – precyzyjne przyrządy, wysokie technologie, praca w marginesie mikronu, kiedy najmniejszy błąd oznacza śmierć pacjenta. Ojciec pozwalał mu trenować na manekinach i przymykał oczy na fakt, że chłopiec ucieka z lekcji do kliniki. Zresztą w szkole na chroniczne wagary Wernera też patrzono przez palce. Egzaminy zdawał, i to całkiem przyzwoicie, a rachunki za naukę zawsze były płacone w terminie. Nawet koledzy z klasy nigdy nie zbili tak na serio tego bezczelnego cwaniaka.

Później Werner nie wracał już we wspomnieniach do tego okresu – tych wspaniałych dni, kiedy życie na Ziemi stopniowo wracało do normy, pojawiała się żywność w większych ilościach i ładne przedmioty, a ludzie byli szczęśliwi z samego poczucia, że najgorsze już za nimi, a przyszłość będzie coraz lepsza i lepsza. Koszmarna Północ, która tak potwornie wstrząsnęła Ziemią, cofała się. Nawet w proroctwach Nostradamusa na najbliższe półtora tysiąca lat nie dawało się dostrzec nic niedobrego. Na ulicach Paryża otwierano kafejki, odbudowywano Rzym, a w dalekiej, sytej Ameryce w ogóle prognozowano ziemski *paradise*.

Do tej Ameryki rodzice Wernera wybrali się na wakacje. Chcieli zobaczyć kraj, którego większa część została taka jak w odległych, legendarnych czasach – zieleń, błękit wód, nawet – podobno – dzikie zwierzęta. Andy też marzył, że zobaczy jakieś dzikie zwierzę, i strasznie się cieszył z wyprawy. Wraz z setką innych europejskich

turystów rodzina przekroczyła La Manche i tym samym granicę USA, przebyła kontrolę sanitarną i załadowała się na podwodny liniowiec, który pod biegunem północnym kursował do osławionego raju.

Andy stał na mostku i nabożnie przyglądał się pracy załogi, kiedy łódź z prędkością marszową wyrżnęła w nieznany obiekt. Sekcja pasażerska została zatopiona w kilkanaście sekund, nikt nie zdążył się z niej wydostać. Piętnaście osób cudem wypłynęło na powierzchnię, dziesięć z nich zmarło z hipotermii. Pozostałych uratowano. Dwa tygodnie później wychudzony Andy wyszedł ze szpitala na ulice Vancouver, rozejrzał się i zrozumiał, że nie wie, dokąd ma pójść.

Miał jakieś pieniądze, w kieszeni leżał powrotny bilet. Ale paryskie mieszkanie nieoczekiwanie zostało zlicytowane w trybie pilnym za jakieś poważne długi ojca, a wypłacone ubezpieczenie okazało się co najmniej mizerne. Jak większość europejskich rodzin, Wernerowie żyli na kredyt. Po powrocie do ojczyzny Andy'ego czekałaby wizyta u inspektora do spraw niepełnoletnich i cała masa co najmniej tak samo mało przyjemnych spraw.

– Co do wyżywienia, nie ma problemu – powiedział mu ordynator szpitala. – Ale co do pracy, wybacz. Po pierwsze, nie mamy miejsc dla swoich. A po drugie, kontrola imigracyjna cię znajdzie. Wracaj do domu.

Przez kilka tygodni łaził bez celu po mieście. W nocy zalewał się łzami w małym pokoiku taniutkiego pensjonatu, a w dzień szukał sposobów na przeżycie. Nie mógł pojechać do Paryża. Sama myśl, że będzie chodził po ulicach, gdzie wszystko przypominało mu szczęśliwe dziecięce spacery z uwielbianymi rodzicami, sprawiała, że dostawał mdłości. No i za nic w świecie nie chciał trafić do przytułku.

Potem skończyły się pieniądze, więc uprzejmie wykopano go z pensjonatu oraz ze szpitalnej kuchni. Nikomu nie był potrzebny w Paryżu, nikt go nie chciał w Ameryce. Miał piętnaście lat i był zupełnie sam. Andy usiadł na ławce niezwykle zielonego bulwaru i zaczął szlochać.

– Hej, bracie, jakieś problemy? – zapytał go ktoś wesołym głosem.

– Spadaj… – powiedział chłopak po rosyjsku, nie podnosząc oczu.

– Jakiś ty nieuprzejmy, rodaku! – roześmiał się nieznajomy. – Nie rycz. *Mo-oskwa nie wierzy łzo-om…* – zanucił.

Andy popatrzył na rozmówcę. Stał przed nim może dwudziestopięcioletni mężczyzna o twardej, mężnej twarzy i z zaskakująco ironicznymi oczami. Miał na sobie mundur wojskowego astronauty z naszywkami porucznika.

– *Jołki-połki!* – zawołał, uderzając się w czoło. – Znam cię! To ty zatopiłeś amerykańską łódź podwodną. Aleś ty, rodaku, fartowny! A im się należało.

Andy uśmiechnął się mimo woli. Porucznik miał w sobie coś

takiego, co zmuszało do traktowania go poważnie.

– Słuchaj – powiedział astronauta, przysiadając się i podając mu dłoń. – Miło mi, nawigator pierwszego stopnia porucznik *Uspienski) Oleg Igoriewicz.* A ty, przyjacielu…

– *Andriej Werner* – powiedział Andy, jedną ręką ocierając łzy, drugą ściskając silną dłoń.

– Czytałem o tobie w wiadomościach – skinął głową porucznik. – I chyba wszystko o tobie wiem. Poza jednym: dokąd się teraz wybierasz i co w ogóle zamierzasz?

– Nie wiem – przyznał się Werner i opowiedział Uspienskiemu całą krótką, lecz treściwą historię swojego życia zakończoną zderzeniem z ekranowaną przed sygnałami radarowymi wojskową łodzią podwodną, której załoga przegapiła płynący z boku cywilny liniowiec.

– No tak – mruknął młody oficer, wysłuchawszy Andy'ego. – Wiesz, kolego, na czym polega istota drugiego prawa termodynamiki? Jak byś się nie zapierał, to burdel rośnie i rośnie. I im mocniej się starasz, tym jest większy. W kosmosie, przyznaję, to samo. Ale są tacy farciarze, których to nie dotyczy. Na przykład ty. Usiadłeś sobie na ławce i od razu podszedł do ciebie gość, który może coś tutaj naprawić, w dodatku nie mam pojęcia, jak się tu znalazłem. Zazwyczaj chodzę inną drogą, zresztą krótszą. Dobra, dość gadania, idziemy!

– Dokąd? – zapytał chłopak.

– Masz piętnaście lat – powiedział porucznik. – Wierzę ci, że mając odpowiednie narzędzia, możesz przekroić mi czachę, co sprawi, że stanę się jeszcze mądrzejszy. Ale nie dostaniesz się do kliniki nawet jako sanitariusz. Kapujesz?

– Jeszcze jak! – uśmiechnął się niewesoło Andy.

– Czyli musisz jakoś przetrwać kilka lat gdzieś na krzywkę. Gdzieś, gdzie dają żreć i spać – ciągnął astronauta. – Nie przeszkadza ci, że ja tak walę z mostu, bez żadnych ceremonii? Powinieneś patrzeć realnie na życie.

– Tak, rozumiem – skinął głową Werner.

– W Paryżu dostaniesz żebraczy zasiłek i zapędzą cię do taniej szkoły. Potem pójdziesz do fabryki i będziesz tam naprawiał mózgi robotów, a po nocach przygotowywał się do egzaminu na uniwersytet. Będzie ci ciężko, ale się przebijesz i otrzymasz stypendium. Kolejne pięć lat o pustym brzuchu i z niezłym zasuwem, bo w dzień będziesz się uczył, a w nocy pracował jako sanitariusz. Uczył się będziesz dobrze, żeby nie stracić stypendium, i pracować też będziesz musiał wzorowo, żeby cię nie pogonili. To jest wariant najlepszy, najprzychylniejszy. Sprawdzi się tylko w przypadku, jeśli nadal będziesz miał fart. Ale może też być tak, że do końca swoich dni

będziesz harował w fabryce. Na jakiejś hydroponicznej uprawie… Jak sądzisz, czy to dobre miejsce dla ciebie?

– Panie poruczniku – powiedział Andy – nie musi mnie pan przekonywać. Sam rozumiem, w jakim jestem położeniu. Dokąd mnie pan ciągnie? Proszę powiedzieć, a ja się zgodzę. Wierzę panu.

– Zuch! – poklepał go po ramieniu Uspienski. – Słusznie robisz. Powinieneś mi wierzyć, to moja profesja. Wyobrażasz sobie, mówię do kapitana: *Sir, wysiadł procesor napędowy. Nie mam sterowania.* A on mi nie wierzy… Taa… No więc, *Andriej,* skoro kumasz w technice leczniczej, to cała nasza aparatura wyda ci się prostsza od młotka. Przed osiemnastką będziesz miał już fajny zawód, a jako wojskowy do tego kupę ulg. I tak między nami, będziesz mógł się przenieść na medycynę lekko i łatwo. O ile zechcesz, rzecz jasna. Więc decyduj się. Do szkoły mamy stąd dziesięć minut marszu.

– Nie wiem… – wymamrotał Werner. – Szkoła… *Noga wyżej, kursancie…*

– Ale co ty! – roześmiał się porucznik. – Przecież to kosmiczna! Tam działa druga zasada termodynamiki, i to na całego! Świetne chłopaki, to ci gwarantuję!

– Ale ja nie mam wieku… – nieśmiało zauważył Andy.

– To się zrobi – machnął ręką astronauta.

– A pan tam wykłada?

– W życiu! Ja dobieram sobie załogę z absolwentów. Zapędzili mnie do bazy szkoleniowej, ale tymczasowo. Że tak powiem, w celu wychowawczym. Za brutalność i nietaktowne zachowanie. Ale bardzo dobrze znam tę uczelnię. Uwierz mi, da się tam żyć. Dają jeść do oporu, pokoje pojedyncze i – powtarzam – bardzo fajni ludzie. W sumie twój wybór, ale, moim zdaniem, to jest jakaś szansa.

– Chciałbym trochę pomyśleć – powiedział Werner.

– Trzy dni. Potem wyjeżdżam. Masz pieniądze? Kiedy ostatnio jadłeś?

– Zaraz, panie poruczniku – poprosił Andy. Ukrył twarz w dłoniach i przez kilka minut, posapując, siedział nieruchomo.

Porucznik czekał cierpliwie.

– Zgadzam się – zdecydował w końcu chłopak, odsuwając dłonie od twarzy. Jego policzki były zarumienione i grasował po nich lekki tik. – Zgadzam się. Idę z panem.

– Szybko łapiesz jak na swoje lata – zauważył Uspienski. Wstał, Andy podniósł się również. – Zapamiętaj moje słowa, nic nie będzie za darmo.

– Czyli?

– Nie będziesz admirałem – powiedział porucznik. – Jak i ja zresztą.

Pod bramą uczelni Werner nagle się zatrzymał.

– No, co jest? – zapytał astronauta. – Będzie spoko.

– To nie to – powiedział Andy. – Chciałem zapytać… Pan chce mi pomóc, bo jestem Rosjaninem?

– A jak? – Uśmiech porucznika rozciągnął mu usta od ucha do ucha. – A komu mam jeszcze na tej śmierdzącej planecie pomagać? Ale nie świruj, *Andriej*. Co to za różnica, jaka jest twoja narodowość. Ważne, że nie było ci dobrze. Jak mogłem przejść obok?

– Przepraszam – wymamrotał chłopak.

– Nie ma sprawy – powiedział astronauta. – W całym swoim życiu ze dwadzieścia razy tak samo siedziałem i tonąłem w rozpaczy jak ty dzisiaj… – i urwał.

Andy czekał na ciąg dalszy, ale po chwili milczenia sam zapytał:

– Podchodzili do pana dobrzy ludzie?

– A-ni-ra-zu! – roześmiał się Uspienski lekko dumny ze swoich słów.

Postawił stopę na stopniu i puścił do chłopaka oko.

– Wyżej nogę, kursancie Werner – powiedział. – I wyżej nos. Zaczęła się podróż. *Pajechali?*

– *Pajechali!* – odpowiedział Andy.

Werner w następnych latach wpadał w rozpacz nie dwadzieścia, jak porucznik Uspienski, ale raczej około tysiąca razy. Szalenie tęsknił za rodzicami i nie potrafił zrozumieć, dlaczego to jemu los zafundował tak okrutną rzeczywistość. Ale już nigdy więcej nie stracił panowania nad sobą przy obcych.

Nie udało mu się zostać nawigatorem z powodu nadpobudliwości. Nie przyjęto go również do systemu nadzoru ogniem – słaby refleks. Już siedział zdenerwowany na parapecie i gapił się na swój bilet do Europy, gdy nagabnął go starszy wykładowca wydziału wsparcia technicznego. Podniósł abiturienta za kołnierz i rozmawiał z nim przez pięć minut.

– Skąd się tu w ogóle wziąłeś? – zapytał.

– Przyprowadził mnie porucznik Uspienski – odparł Andy.

– Serio? – roześmiał się wykładowca. – Dlaczego nie powiedziałeś od razu? Cały Aleks. Naszemu rektorowi do dziś drży głos, kiedy go wspomina. Idziemy, astronauto! Możesz uważać, że przyjąłem cię bez egzaminów. A jeśli za rok nie będziesz prymusem na roku, to oderwę ci łeb i nawrzucam w otwór wiesz czego.

Na czwartym roku Werner miał już opinię wspaniałego speca. Wraz z upływem czasu coraz bardziej kochał swoje zajęcie – praca z aparaturą i elektroniką okrętu bojowego okazała się co najmniej tak samo fascynującym zajęciem jak neurochirurgia. Statki kosmiczne były w pewnym sensie żywymi istotami, wymagały niezawodnej diagnostyki, a tu z Andym nikt nie mógł się równać. Mimo to nie przeszedł na piąty rok – przyjechał po niego słynny kapitan Uspienski,

na powitanie którego wypadła na dziedziniec połowa uczelni.

– *Pajechali?* – zapytał kapitan Wernera.

– *Pajechali!* – odpowiedział ten.

Otrzymał poza kolejnością naszywki ensigna i Uspienski zabrał go na swój destroyer „Han Solo". Dwa sezony patrolowania Pasa zaliczono Andy'emu jako praktykę dyplomową. Podobnie zresztą jak innym, bo niemal połowę załogi tworzyły szczeniaki z oficerskimi naszywkami, ale bez oficjalnego certyfikatu. Werner nie dowiedział się nigdy, jak Uspienskiemu udawało się wciągnąć ich wszystkich na pokład okrętu. Ale właśnie ta szczeniacka załoga, nieobciążona przesadną miłością do życia z powodu braku żon i dzieci, dokonywała dosłownie cudów. Ordery i medale sypały się na destroyer jak z rogu obfitości. Ganiając za piratami i przemytnikami, „Solo" wykonywał manewry niewykonalne dla jednostek takiego typu i mknął z takimi przyspieszeniami, w jakich inne załogi nie były w stanie poruszyć ręką.

Potem Andy tonął na „von Reyu". Później własnym ciałem zatykał przestrzelinę na scoucie „din Alt". Następnie wpakował się w spore kłopoty na desantowcu „Rick Dekard", na którym dwukrotnie był ranny i omal nie spłonął. Wreszcie przeżył eksplozję na „Andrew Wigginie" i ten incydent stał się końcem jego wspaniałej kariery. Porucznik Werner zdobył opinię farciarza. Człowieka, który wychodzi cało ze śmiertelnie niebezpiecznych sytuacji. I człowieka, którego takie sytuacje dopadają na każdym niemal kroku. Nikt go już nie chciał brać do załogi, nawet commander Uspienski, znany już powszechnie jako Raszyn. Po pierwsze, miał na „Skoczku" pełną obsadę, po drugie, Andy emu w wyniku wielu kontuzji psychicznych chyba schrzanił się charakter i po raz pierwszy nieźle napyskował admirałowi. Na straty spisał go osobiście Tyłek, będący jeszcze wtedy komandorem. Przejrzał jego papiery, pokręcił kościstym nosem, a gdy Werner zniknął mu z oczu, powiedział:

– Pozbędziemy się go przy pierwszej sprzyjającej okazji. Szkoda faceta, ale ściąga na siebie nieszczęścia. Niestety, są tacy ludzie.

Andrew nie przeszedł więc kolejnej komisji medycznej, która zdiagnozowała krytyczny poziom przeciążenia nerwowego.

W zasadzie komisja bardzo się nie myliła – wiedział to sam. Ale wściekł się, że nie otrzymał na pożegnanie kapitana. Nikt jednak nie pytał go o opinię i wyleciał do obsługi kosmodromu jako trzydziestoletni porucznik z Purpurowym Sercem i wspaniałą listą osiągnięć.

W pewnym sensie wyszło mu to na dobre. Po katastrofie na „Wigginie" Werner znienawidził kosmos, w którym panuje druga zasada termodynamiki, co oznacza, że możesz pęknąć, a zawsze się znajdzie jakiś kretyn, który zaweźmie się, żeby utrupić okręt z tobą na

pokładzie.

Z drugiej strony, znalazłszy się na dole, Adrew mógł z czystym sumieniem zanurkować w posępną i mroczną samotność.

Konserwował stację naprowadzania, zmieniał kobiety jak rękawiczki, galonami żłopał samogon pędzony przez mechaników z płynu hydraulicznego. Przesiedział tym sposobem na Ziemi całą straszliwą drugą kampanię marsjańską – pracował, pił, rżnął się, drwił ze starszych stopniem, dziwaczył i chodził do psychoanalityka. W końcu dowództwo bazy tak znienawidziło Wernera, że zaczęto szukać bardziej lub mniej legalnego sposobu pozbycia się go. W takim momencie bardzo na czasie pojawił się „Gorbowski", który potrzebował speca klasy ekstra. A Andy emu ręce jeszcze nie drżały…

„Gorbowski" był eksperymentalnym prototypem, okrętem nowej klasy, na którym planowano przetestować stary jak świat pomysł *zero-T*. Prognozowano, że wygenerowawszy dokoła siebie odpowiednie pole, pojazd ten będzie mógł przekłuć czy też zakrzywić przestrzeń, by zdematerializowawszy się gdzieś na skraju Słonecznego, wyskoczyć niby diabeł z pudełka nie wiadomo gdzie. Szczegóły budowy „Gorbowskiego" były utajnione, ale sama koncepcja otwierała wszystkie serwisy informacyjne, uznano również powszechnie, że jej realizacja należy do kategorii działań heroicznych i epokowych. Dziennikarze podkreślali fantastyczną odwagę załogi, rozwodząc się nad wspaniałymi detalami bojowej przeszłości badaczy-ochotników.

Niektórych z nich Andrew znał i uważał niekoniecznie za odważnych, ale za co najmniej szalonych. Dowództwo uważało z kolei, że to on jest szurnięty, stąd zaczęły się naciski, by stanął w szeregach badaczy. W odpowiedzi Werner przeklinał po rosyjsku i wykonywał nieprzyzwoite gesty. Po jakimś czasie naciski ustały, ale pewnego dnia, kiedy Andy, udręczony kacem, wlókł się na służbę, dogonili go mechanicy i zaczęli mu chóralnie gratulować. On mimo pękającej głowy rzucił się do najbliższego terminala Sieci, odnalazł blok wiadomości i zgłupiał. Z ekranu gapiła się nań jego własna posępna fizis, a czyjś obcy głos piał z zachwytu, opisując wspaniałego speca, który właśnie złożył podanie o przeniesienie na stanowisko starszego technika „Gorbowskiego". Pismacy tłoczyli się także przy bramie bazy.

Werner obrzucił mechaników niemiłym spojrzeniem, oni zrewanżowali się manierką z berbeluchą. Andrew mocno do niej przylgnął, zmarkotniał jeszcze bardziej i stracił nad sobą kontrolę.

Dziennikarzy uchroniła przed ciężkimi kontuzjami nienaruszalna reguła – żadnych speckostiumów poza murami bazy. Pomimo to Werner i tak pokruszył kilka żuchw. Nie miał wprawy w bójkach, więc bił z całej siły, żeby nie trzeba było poprawiać. Potem rozpędził zbliżający się do miejsca incydentu patrol policji, wpadł do gabinetu

dowódcy, urządził piekielną awanturę, wybił ząb, złamał żebro i wyszarpał garść włosów.

I trafił przed trybunał.

Potem śmiał się, opowiadając tę historię Raszynowi i Borowskiemu. Miał sporo szczęścia, mógł stanąć pod murem albo trafić na uranową katorgę, najprawdopodobniej z podobnym skutkiem. Ale Andrew albo coś ukrywał, albo jego szczęśliwa gwiazda świeciła wtedy mocnym blaskiem.

Z jego słów wynikało, że pierwszą osobą, która odwiedziła go w celi, był kapitan Reez, dowódca „Gorbowskiego". *Leć z nami, poruczniku* – miał ponoć powiedzieć. – *Jak nie, to cię załatwią te gnojki. Z nami masz jakąś szansę, bo my, skazańcy, mamy to w dupie.* – *Nie rozumiem* – odparł Andrew. *No, połowa załogi urwała się spod trybunału* – wyjaśnił kapitan. – *A pozostali są pieprznięci. Co ty, myślisz, że ktoś normalny zgodziłby się z własnej woli robić jako tester statku zero-T? Z twoimi zdolnościami i paluchami tak genialnie spieprzymy to gówno, że testy i badania nie skończę się przez sto lat.*

Werner ponoć podrapał się po głowie, bo dowódca „Gorbowskiego" zaczynał mu się podobać.

Będziemy się kręcili przy orbitalnym doku i sabotowali całą operację – ciągnął kapitan. – *Wiadomo, że ten zero-transport to majaki. Ja w to po prostu nie wierzę, a taki spec jak ty jest dla nas zbawieniem.* – *A jeśli mi się nie uda?* – zapytał Andrew. Dowódca eksperymentalnego statku wzruszył ramionami. *I tak nam jest wszystko jedno* – powiedział. – *I tak musimy odlecieć za Cerbera. A za granicami Słonecznego nikt nas nie zmusi do robienia czegoś, czego sami nie będziemy chcieli robić. Nie dręcz się. Oni sądzą, że jestem prawdziwym psycholem i tylko czekam, żeby wygrzać w podprzestrzeń. A ja jestem ledwie zwykłym alkoholikiem. Tchórz jestem i gnój. Służyłem na desantowcu, zrzucałem ludzi na powierzchnie planet. Ale raz schlałem się do utraty tętna i udusiłem swojego nawigatora, fajną taką kobitę. Wydawało mi się, że steruje nie tam, gdzie trzeba. Usiadłem sam za sterami, zacząłem skręcać i własnym odrzutem spaliłem trzy kutry desantowe. No i myślę sobie: „Brawo, nalatałeś się!". Wtedy coś mnie olśniło. Połączyłem się z dowództwem i zameldowałem, że mam taką sprawę: nie mogę dłużej wojować z cywilami, wolność dla Marsa i takie tam. I że na znak protestu spaliłem trzy setki bohaterskich desantowców, i dobrze im tak, krwiopijcom. A sam zacząłem rechotać. Trzaski – wpakowali mnie do świrowni na badania. No i – wyobraź sobie – wykryli jakieś porażenie czegoś tam we łbie. Pewnie z przepicia. Dlatego nie dali mi czapy. Ale trzy lata w szpitalnej izolatce też mogiła, tyle że ze światłem. Takiego właśnie dowódcę możesz mieć, poruczniku. Ale dowódcą jestem dobrym. Zwłaszcza że już nie biorę kropli do ust, wyleczyli mnie. To jak, zgadzasz się?*

Andrew, nie patrząc, podpisał jakieś papiery, zgodnie z którymi

wykonanie egzekucji przesunięto na czas nieokreślony. Wzmocniony konwój doprowadził go do zamkniętego ośrodka treningowego. Właśnie wbił się w komputer ochrony i szykował ucieczkę, gdy przyjechał po niego adiutant Moser z tajnymi rozkazami admiralicji. Wyrok skrócono do piętnastu lat w zawiasach, stopień i nagrody zostały przywrócone. Okazało się, że na statku flagowym Grupy F miała miejsce bójka i starszy technik, kapitan Schacci, zalany łzami i smarkami, na kolanach błagał admirała, by ten nie posyłał go na dół. A Raszyn przede wszystkim zwrócił się do kadr admiralicji z pytaniem, gdzie służy obecnie porucznik Werner.

Siedzi – padła odpowiedź. *Za co?* – zdziwił się Raszyn. *Napaść na starszego oficera. Chyba zamalował w pysk dowódcę bazy. – Za to powinno się nagradzać medalami* – rzucił niedbale Uspienski. – *Proszę mi go znaleźć. A ja przez ten czas pogadam z admirałem floty i załatwię formalności.*

Nie bardzo wiedząc, czy spalić się ze wstydu, czy skakać z radości, Andrew wszedł na pokład okrętu flagowego. Nie wiedział również, co powiedzieć Raszynowi i jak mu podziękować. Werner nadal nie lubił kosmosu, ale rozumiał, że jego jedynym ratunkiem jest praca. I na pewno miał dług wobec admirała. Admirałem, któremu z niewiadomego powodu nagle stał się potrzebny.

Już po dobie spędzonej na „Skoczku" Andrew rozkwitł. Ożywiło go tak niesamowicie skomplikowane zadanie, które dostał do wykonania. W zamian Raszyn nie gniewał się na niego, a dokoła Werner miał wspaniałych ludzi, elitę Grupy F. I była tu też piękna kobieta-nawigator, której Andrew chyba też przypadł do gustu. Życie nabrało sensu. A to, że znalazł się w jądrze najprawdziwszego antypaństwowego spisku, wcale go na razie nie dręczyło. Nie wierzył przecież, że opór może trwać długo i mieć tak ostry charakter. Myślał, że to wszystko jest rodzajem gry i Raszyn po prostu usiłuje przewidzieć nieprzewidywalne. Andrew nie był głupcem, tylko niepoprawnym romantykiem i szczerą duszą.

Akurat takim ludziom najbardziej ufał admirał. Tacy nie lubili umierać i dlatego starali się przejść przez życie bez błędów. Poza tym nie ciągnęło ich do bohaterskich czynów; Uspienski zaś jak ognia unikał bohaterów. Nieprzypadkowo szefem jego sztabu był znany mól książkowy, tyłek i sabotażysta kontradmirał Tyłek, najlepszym zwiadowcą powszechnie znany asekurant Abraham Fein, a stanu techniki pilnował menda Borowski. Tym częściowo można było wytłumaczyć sukcesy Grupy F w drugiej kampanii marsjańskiej. Opierając się na takich dziwacznych ludziach, admirał walczył z jubilerską precyzją. Tyłek gwarantował niepodważalną taktyczną doskonałość operacji, Fein ani razu nie odezwał się, nie mając absolutnie pewnych danych, a Borowski pędził do stoczni każdy

minimalnie ostrzelany okręt. Efekty były takie, że Tyłek otrzymał order, Fein nabawił się lekkiej postaci paranoi, Borowski wylądował w szpitalu, Raszyn miał furę kłopotów w admiralicji, ale wszystkie zadania zostały wykonane, a załogi Grupy F cieszyły się dobrym zdrowiem.

Andrew Werner, którego wszystkie wyczyny zostały przecież wymuszone przez okoliczności, znakomicie odnalazł się w tej sytuacji. Tu, pod skrzydłami Raszyna, czuł, że jest wreszcie człowiekiem, którego nikt nie opuści w biedzie. Żeby się odwdzięczyć, pracował jak szalony. A we śnie widział blondynkę z zielonymi oczami i czarującym uśmiechem: master-nawigator Kendall.

* * *

Werner wpadł po pracy pod prysznic i był już trochę spóźniony. Dlatego pędząc korytarzem i wylatując zza rogu, omal nie zwalił z nóg bardzo reprezentacyjnie wyglądającego dżentelmena w paradnym mundurze wojskowego astronauty – same guziki, wyłogi i inna biżuteria.

– Gdzie tak pędzisz? – pochmurnie zapytał go adiutant flagowy kapitan Moser. – Do kobitki czy jak?

– Przepraszam – powiedział Andrew i już miał poprawić ofierze zderzenia przekrzywiony akselbant, ale Moser nie pozwolił na to.

– Dlaczego masz nieprzyszyty aksel? – zapytał naraz zdziwiony Werner. – Szefostwo ci oderwie.

– Przyszyty nieładnie wygląda – z mocą oświadczył kapitan, doprowadzając się do porządku.

– Guzik też ci wisi na słowo honoru.

– Spadaj! 1 nie szarp tak! Andy, przecież cię proszę! Puszczaj!

– Przecież nic nie robię, tylko tak… próbowałem. Z jakiej okazji taki piękny jesteś?

– Walę z dołu – odparł niewesołym tonem Moser, opierając się o ścianę.

Widać było, że nigdzie się nie śpieszy i ma wielką ochotę pogadać.

– No i jak tam na dole?

– Nie oglądałeś wiadomości?

– Ja nie mam czasu bawić się Siecią – oświadczył Werner. – Ciągle sterczę w centralnym rdzeniu. Ciekaw jestem, jak ty byś tam wyglądał ze wszystkimi tymi swoimi… bambetlami.

– Jak Saturn z pierścieniami, ale szlag z tym! Wygląda na to, że na Zebraniu Akcjonariuszy wystarczy tylko sześć procent głosów, by przeforsować demobilizację floty wojennej.

– No to fest! – ucieszył się technik. – Przecież to po prostu wspaniale.

– Wcale nie wspaniale, a zwłaszcza nie fest, bo mojego sąsiada córka kurwą jest! – zaskakująco złym tonem zrymował Moser.

Andrew zgłupiał. Nie miał pojęcia o istnieniu tak głupiego bawarskiego wierszyka. Choć o mniej głupich też nie miał pojęcia, w końcu był Niemcem tylko z nazwiska.

– O co biega? – zapytał zaskoczony.

– O pół kilo śniega – warknął Moser. – Widzisz, stoję, plotę duperele, a tak naprawdę boję się iść dalej. Zaraz będę twojego tatula

wbijał w paradasa. Będę mu polerował blachy, czyścił glany i tak dalej…

– Coś się stało? – zapytał współczująco Werner. – Do Admiralicji lecicie? Do Wujka Gunnara na opeer?

– Żeby tylko… Słyszałeś, że „Ripley" został wysłany na Cerbera?

– Nawet to widziałem. Słusznie zrobili.

– Nie wiem, słusznie czy nie, ale kasę na booster Raszyn, którego tak uwielbiasz, capnął z funduszu rezerwowego. Nie zapytał nikogo, bez żadnego powodu. Naskrobał jakąś notatkę do sprawozdawczości… I jakiś gnój ze sztabu Tyłka bez namysłu zakapował na dół. A wiesz, co robią na dole za marnowanie środków? W najlepszym wypadku sypią samowolę. No więc Raszyn udaje się na opeer. Niechby tam, jemu nie pierwszyzna! Ale jeśli te dane wyjdą poza ściany admiralicji i trafią do Sieci… zaraz znajdzie się jakieś ścierwo i powiadomi cały Słoneczny. A Raszyn to już chyba ostatni soldier, który jeszcze nie został na Ziemi zmieszany z gównem. I już po twoich sześciu procentach. Przecież wyjdzie, że on tę kapuchę rąbnął! A co najważniejsze – po co?!

– Po pierwsze, nie moje sześć procent, a nasze – poprawił go Andrew. – Chyba że już nie jesteś nasz, co, sztabowy szczurze?

– Lepiej siebie pilnuj, ofiaro popromienna. Karaluch z reaktora!

– A po drugie, nic mu nie zrobią – ciągnął z przekonaniem Werner. – Przecież sam wiesz, po co Fein kopnął się na Cerbera. Przecież to jasne, że Raszyna należy chwalić. Facet działa, że tak powiem, z wyprzedzeniem. Broni świata przed wrogiem zewnętrznym.

– Przed kim? Może jeszcze powiesz, że przed Obcymi? – zapytał Moser, nie kryjąc ironii.

– A przed kim innym?

– Wiesz co, Andy? Chłop z ciebie porządny, ale głupi jak rzadko. Dam ci radę, o Obcych ani słowa.

– Czekaj… ty w nich w ogóle nie wierzysz?

– W Obcych nie wierzy nikt stamtąd. – Kapitan wskazał palcem podłogę, pobrzękując dyndającymi częściami swojego paradnego munduru. – Przyznaj, że w takim kontekście to zupełnie nieważne, co ja myślę. Jeśli tylko bąknie o swoich pomysłach, to całej flocie podłoży niezłą świnię. Mam ci mówić, jak psychiatrzy na dole traktują aktywnych poszukiwaczy Alienów? Czy może sam wiesz?

– Chorobowy niepokój – posępnie przyznał Andrew, spuszczając oczy. – Chociaż nie, aktywne działania to już symptom manii prześladowczej. Co za gówno!

– Zgoda, ci na dole świrują – powiedział Moser. – Ale ja ich rozumiem. Przed Radą Dyrektorów stoi wyraźne zadanie: rozebrać flotę i uwolnić pieniądze. I to zadanie jest realizowane. A jeśli przylecą Obcy i nam przypieprzą, to będzie inna rozmowa. I inna polityka.

– Ciekawe, jakiego bąka on im chce puścić – mruknął Werner, mając na myśli Raszyna, który oczywiście w admiralicji o Alienach nie puści pary z gęby. W pewnym sensie było mu przykro, że nie należy do grona wtajemniczonych w pomysły dowódcy.

– Coś wymyśli. Przecież to Ruski. Cwaniutek.

– Bo ci wpieprzę! – warknął technik. – Nie będę się obcyndalał, że jesteś kapitanem.

– Oj-joj-joj! – roześmiał się adiutant flagowy. – Ale się wystraszyłem! Pamiętaj, najważniejsze to nie tracić ducha. Przecież walisz do baby? No to myśl pozytywnie. Bo ci jeszcze nie stanie…

– Tfu! – skrzywił się z obrzydzeniem Werner. – Co za tekst, niegodny astronauty. Jakbyś całe życie pełzał na dole. Hańba!

– Pilnuj swego nosa – obraził się Moser. – Znalazł się bohaterski *gieroj,* cały w bliznach i bez siuraczka…

– A ja widzę, że masz pietra – nieoczekiwanie spokojnie zauważył Andrew. – Pewnie już sobie wypatrzyłeś miejsce w naziemnych służbach. Dałeś w łapę komu trzeba, co? I teraz jesteś spokojny: czy nas rozwiążą czy nie, twoje na wierzchu. Co najmniej na dziesięć lat. Ciekaw jestem, jaką będziesz miał minę, podpisując przekazanie „Skoczka" na złom. Co? Trafiony?

– Spad-daj! – niemal krzyknął kapitan. To było poważne oskarżenie. W przypadku rozwiązania floty naziemne służby automatycznie stawały się instytucjami prowadzącymi inwentaryzację wszystkiego, co po flocie pozostanie, potem – eksploatację tego, co jeszcze mogło latać pod banderą komercyjną, i na koniec – utylizację pozostałości. Niepisany kodeks honorowy zabraniał personelowi latającemu uczestniczyć w tego typu przedsięwzięciach. To byłaby zdrada.

– Jeśli Raszyna skasują na dół – kontynuował złowieszczym tonem Werner – i twoje akcje mocno spadną, prawda? Teraz jesteś mocny, adiutant najbardziej heroicznego admirała. A bez niego jesteś zero bez jedynki. Tym z dołu też nie będziesz potrzebny.

– Wiesz co, zaraz pieprznę cię w czerep – syknął Moser. – Też nie będę się szczypał, że jesteś poruczniczyną. Nie będę żałował sierocego biedactwa, psychicznie kontuzjowanego i warunkowo uwolnionego.

– Spróbuj – powiedział Andrew. – Ale pamiętaj, że ja nie chciałem cię urazić. Po prostu konstatuję fakty. I wiesz co? Żal mi cię.

Adiutant nieoczekiwanie spasował. Nie zaryzykowałby uderzenia Wernera. A w utarczce słownej nie miał szans, bo master-technik po prostu wszystko odgadł z dokładnością do trzeciego miejsca po przecinku.

– Nie do życia jesteś, facet – powiedział kapitan. – Za bardzo zadzierasz nosa. Pewnie dlatego, że ciągle jesteś faworytem Raszyna. Ale był też czas, kiedy zachowywałeś się inaczej. Zapamiętaj moje

słowa, on cię znowu wyciśnie jak cytrynę i wyrzuci. To jest taki rosyjski model zachowania, znam te numery. Dziś mu jesteś potrzebny, a jutro… I pamiętaj, Andrew, pamiętaj dobrze, gdzie cię widziałem i jak żałośnie wtedy wyglądałeś.

– Bo ja nie jestem bohaterem – ugodowo przyznał Werner. – Ja jestem… po prostu astronautą.

Odwrócił się i odszedł.

Moser już zamierzał rzucić jakąś obraźliwą puentę, ale się rozmyślił. Po każdej takiej odzywce Andrew mógł mu zaproponować, by zanurzył się w atmosferze Jowisza. Albo żeby posiedział w więzieniu. Ale nie zaproponował.

– Głupi jesteś – rzucił tylko smętnie adiutant flagowy.

Zresztą w więzieniu, do którego przed laty pojechał Moser, Werner wcale nie wyglądał żałośnie. Tkwił w nim jakiś zadziwiająco trwały rdzeń. Andrew w każdej kryzysowej sytuacji myślał szybko, działał kompetentnie i nigdy nie tracił głowy. Zdaniem Mosera był znakomitym zawodowcem i prawdziwym bohaterem. A to, że na co dzień zmieniał się w lebiegę i nosił haniebne jak na swój wiek porucznikowe epolety, nie dziwiło kapitana. To akurat była cecha charakterystyczna bohaterów. Adiutant flagowy szczerze zazdrościł koledze ze szkoły oficerskiej, którego inny bohater – Uspienski – od razu z czwartego roku zabrał w przestrzeń kosmiczną.

Kapitan westchnął ciężko, wsunął ręce w kieszenie i udał się wykonywać swoje mało bohaterskie obowiązki. Na tym polegała różnica między fartownym i majętnym Moserem a heroicznym gołodupcem Wernerem. Andrew co i rusz miał okazję się wykazać. Owszem, to było niebezpieczne dla życia, ale za to baretka Serca na roboczej kurtce Wernera zawsze będzie przyspieszała bicie niewieścich serc. A wszystkie naszywki i galony Mosera świadczyły jedynie o tym, że jest szanowanym i porządnym człowiekiem, ale nie, że potrafi wyżyć w sytuacji ekstremalnej i jeszcze ratować innych – co tak kochają kobiety…

Oczywiście, kapitan też miał nieraz okazję ładnie się zaprezentować. Jednak w innych okolicznościach – w sztabie. Tu, na górze, uważano to za rzecz szczególną i właściwą ludziom mądrym, ale niewytrzymującym dużych przeciążeń i niepotrafiącym podejmować błyskawicznych decyzji. Jedynym w Grupie F naprawdę szanowanym przez oficerów operacyjnych sztabowcem był kontradmirał Tyłek, który w młodości wykonał taki bohaterski numer, że już więcej nie był zdolny do prowadzenia okrętów.

A adiutant flagowy Moser marzył od dziecka o kosmosie i bardzo chciał gdzieś w Przestrzeni dokonać heroicznego czynu. Mógłby być nawet przy tym lekko kontuzjowany – fizycznie, a może nawet jeszcze lżej – psychicznie. Wykonać manewr ratunkowy, uratować kolegów,

rozwalić na strzępy wroga, doczołgać się do bazy z rozbitymi zwierciadłami i stanąwszy na twardym gruncie, z ulgą powiedzieć: *Zrobiłem wszystko, co mogłem.* Ale akurat to okazało się dla Mosera nieosiągalne. Miał z tego powodu nieustający kompleks niższości, zwłaszcza gdy sobie popił. Chociaż tak naprawdę nie było w tym jego winy.

Młodzieńcza odwaga flagowego adiutanta zanikła piętnaście lat temu. Moser, wtedy jeszcze porucznik, czekał na orbitalnej bazie na załadowanie na scouta „din Alt", gdzie miał pełnić funkcję drugiego nawigatora. Zobaczył cumujący legendarny krążownik „Lock von Rey", który dokonał fantastycznego zanurzenia w Jowiszu. Moser znał kilku chłopaków z „von Reya", w tym Wernera, i ruszył do śluzy, korzystając z tego, że jego oficerski stopień pozwalał mu łazić wszędzie i do wszystkiego pakować nos.

Tymczasem z okrętu zaczęły wypływać nieruchome ciała w zapieczętowanych speckostiumach, złączone ze sobą kablem elektrycznym, żeby nie pogubiły się wypchnięte powietrzem ze śluz. Jedno, drugie, trzecie… Kiedy Moser doliczył do pięćdziesięciu, chwyciły go mdłości. A gdy za tymi ciałami wyszło, z trudem przestawiając stopy w butach na magnetycznych podeszwach, dziesięciu stosunkowo żywych astronautów, młody porucznik nie ryzykował nawet zbliżenia się do nich.

Na czele szedł kapitan Uspienski, jeszcze nawet nie podejrzewając, że za miesiąc otrzyma swój osławiony przydomek *Raszyn.* Zresztą w tym momencie chyba go to nie obchodziło. Za nim pojawił się Werner, w oczach którego widniało nie do końca zamaskowane szaleństwo.

Moser cofnął się o krok, potem następny, aż wreszcie nie wytrzymał i zwiał. Z floty co prawda nie uciekł, ale wtedy, w tej przeklętej śluzie, coś na zawsze utracił. Może młodość czy skłonność do zaryzykowania i poniesienia ofiary? Czy, jak potem wciskał sam sobie – głupotę? Dla czystego sumienia dwukrotnie latał na „din Alcie" na Marsa i raz na Wenus, ale los jakoś strzegł stateczek przed wszelkimi nieprzyjemnościami. Pewnie dlatego, że dowodził nim Abraham Fein. Ale Moser czuł, że prawdopodobieństwo wypadku zwiększa się, dlatego złożył podanie o skierowanie na zmianę specjalizacji. Nie minął rok od rozpoczęcia przez niego kursu analityka sztabowego, jak „din Alt" został w Pasie poważnie uszkodzony. Miotającą się w kłębach dymu i ognia załogę uratowała wyłącznie smykałka technika, który podskoczył do przestrzeliny i z zimną krwią zatkał ją pięścią. Dowiedziawszy się o tym, Moser najpierw pił do upadłego, a potem wytrzeźwiał i na zawsze odzyskał spokój.

Spokojnie robił karierę w sztabie Tyłka, uczestniczył w planowaniu wielu udanych operacji, uważany był za zdolnego

analityka i miłego człowieka. Potem Essex polecił jego kandydaturę na stanowisko adiutanta flagowego. Raszyn nie znosił kłamstwa, więc na pytanie, dlaczego przeniósł się do sztabu, Moser opowiedział admirałowi o historii w śluzie. Ten wyraził swoje współczucie i rzekł: *Dobra, przejmujesz sprawy*. Kapitan najpierw był w siódmym niebie, pracował nie z obowiązku, ale z żarliwości, i nieoczekiwanie jego reputacja wzniosła się na wyżyny. W admiralicji zacierali ręce, obserwując rozsądnego i pracowitego Mosera. Ale potem ten obraz zaczęła psuć jego przesadna bliskość z kłopotliwym Rosjaninem. Będąc ogniwem pośrednim między dowódcą Grupy F a admirałem floty, kapitan stale balansował na ostrzu brzytwy, ryzykując, że podpadnie albo jednej, albo drugiej stronie. A gdy na twojego przełożonego usiłują naciskać za pośrednictwem ciebie samego…

W ostatnim czasie sytuacja stała się jeszcze poważniejsza. Idąc do admirała ze złymi wieściami, Moser odruchowo ciągle zwalniał i zwalniał. Zastanawiał się przez cały czas nad tym, kiedy będzie najrozsądniej poprosić Raszyna o przeniesienie na dół i jak właściwie to zrobić.

A był już najwyższy czas wiać. Afera z wysłaniem „Ripley" na Cerbera cuchnęła na kilometr. Adiutant był pewien, że jego dowódcy urwą niedługo jego sprytny rosyjski łeb.

* * *

Na drzwiach kajuty master-nawigator Kendall czerwonym flamastrem narysowano cukierek. Rysunek wykonany był w biegu, jednym ruchem, ale jaskrawa linia niedbale ciśnięta na biały plastyk zdradzała nietuzinkowy talent. Zamyślony Werner wdusił palcem przycisk wywołania, drzwi otworzyły się w tej samej chwili.

– Mamy na „Skoczku" maniaka – powiedział Andrew, odruchowo gapiąc się na wnikający w ścianę cukierek. – Dzień dobry, pani kapitan. Przepraszam za to spóźnienie… – Przeniósł wzrok na stojącą w progu dziewczynę i tylko dzięki nadludzkiej sile woli nie chwycił się za serce, które nagle zabolało. Werner nie sądził, że zatęsknił za Ive aż tak bardzo. Poza tym nie otrząsnął się jeszcze z bezsensownej paplaniny z Moserem. Przez całą drogę do kajuty Candy usiłował w myślach postawić się na miejscu adiutanta flagowego, a jego umieścić na swoim. Bez powodzenia.

– Dzień dobry – powiedziała Ive i cofnęła się, chyba też lekko speszona. – Nie stój tak, wchodź. Co do maniaków, połowa załogi to maniacy.

– Ależ nie! – machnął ręką Andrew. – Przecież widziałem, co jest namalowane u pani na drzwiach.

– Wydaje mi się, że byliśmy na *ty* – przypomniała Candy, potem zaintrygowana wyszła na korytarz i zamknęła drzwi. – O, masz! A to skąd?

– Nie mam pojęcia. – Technik jednak podniósł rękę i potarł klatkę piersiową, w której kołatało pokłute serce. Wcześniej nic takiego się z nim nie działo. Jakby całym ciałem coś przeczuwał. Coś wielkiego i przerażającego.

Ive stała o krok od niego, zupełnie blisko, i Andrew z czułością pomyślał, że jest taka wzruszająco mała, przytulna i taka domowa w lekkim dresie i na bosaka. Chętnie położyłby dziewczynie na ramieniu silną, pewną męską dłoń i obronił ją przed wszystkim, co tylko mogłoby jej zagrozić. Ale ręka nie słuchała.

– No ta-a-ak… – powiedziała Candy, przypatrując się cukierkowi. – Malarz. Zdarzają się utalentowani ludzie… Jeden ruch, a ile ekspresji. Żebym tak go, łajdaka, schwytała! Za karę musiałby namalować przyzwoity obraz do mesy.

– Nie poznaje pani stylu?

– Posłuchaj, Andy, zaraz coś mnie trafi – powiedziała Ive, odwracając się do niego twarzą. – Nie *pani,* a *ty*.

– Już więcej nie będę – obiecał potulnie Werner. – No to jak, poznajesz styl?

Kapitan-porucznik jeszcze raz przyjrzała się rysunkowi, pokręciła głową, otworzyła drzwi i gestem zaprosiła Andrew do wnętrza.

– Ma skłonności do czerwieni – powiedział ten, przekraczając wysoki próg z próżniowym uszczelniaczem. – Przecież to ta sama ręka co w basenie.

– Może – skinęła głową Ive, jednocześnie zamykając drzwi. – Nawet bardzo prawdopodobne.

– To wykazuje analiza grafologiczna na podstawowym poziomie – upierał się Werner. Ciągle czuł się skrępowany, choć kłucie serca ustało. – Przecież mamy wzorce pisma całej załogi. Wystarczyłoby zeskanować ten cukierek i zadać komputerowi analizę. W Sieci na pewno znajdzie się odpowiedni soft. Trzeba to znaleźć i ściągnąć na górę. Nasze komputery wspomagające są słabe, ale to nic. Procesor nadzorczy poradzi sobie z tym w pięć sekund.

– Ty to masz pomysły! – roześmiała się Kendall. – Nie powinieneś się znać na takich numerach.

– Niby dlaczego?! – Andrew dumnie wypiął pierś. – Zero roboty. I tak procesor leży teraz bykiem. Nikt się nawet nie dowie, co robił… Ludzie są pomysłowi, jeden mój koleś ze zwyczajnej muszli klozetowej zrobił aparat destylacyjny. Na scoucie. I tak nikt go tam nie używa. Jak chłopaki dolecą do Cerbera… – urwał i zrobił wielkie oczy.

– Ja milczę! – uśmiechnęła się Ive. – Usiądź. I opowiedz coś jeszcze.

– Reszta nie jest interesująca. Technicy wiodą swoje życie, mają swój folklor. Nawigatorzy pewnie też. Każda profesja ma swoją składnicę bajek. Popatrz, dopiero co w centralnym rdzeniu tak rechotaliśmy, że hej! A gdyby znalazł się tam Borowski, uznałby, że wszyscy powariowaliśmy. Bo on zna tylko legendy załogi bojowej. A pan-n-n… A ty po co mnie wezwałaś?

– No! Łapiesz. Posłuchaj, jest taka sprawa… Dobrze, że przypomniałeś, zapomniałabym!

– Ja też – nieoczekiwanie przyznał się Andrew. Nic nie mógł na to poradzić, po prostu palnął.

– O czym zapomniałeś? – zdziwiła się Candy.

Werner mocno zacisnął powieki i wypalił:

– Bo już pomyślałem, że mamy randkę!

A kiedy otworzył oczy, Ive była zupełnie blisko i patrzyła z dołu do góry ufnie i uważnie.

– Kim ty jesteś, Andrew? – zapytała dokładnie tak jak poprzednio.

– Albo cię pocałuję, albo umrę – odpowiedział nie na temat Werner.

Tak po prostu, bez wstępnych gierek. *Zaraz oberwę po ryju…* – przemknęło mu przez głowę. – *A ja uklęknę. Koniec, po mnie. To miłość. Nieźle.*

Ale czułe ręce już obejmowały jego szyję, a miękkie usta przylgnęły do jego ust.

Andy ostrożnie, ale mocno objął Ive i przesunął koniuszkiem nosa po jej policzku. Pocałował w szyję, niemal jej nie dotykając, samym oddechem. I popatrzył w przymknięte oczy. I znowu pocałował, namiętnie, ale bez nacisku, bez agresywnej męskiej żądzy. I w tym momencie przed Ive stał inny Andrew Werner, nie ten, którego znało wiele innych kobiet tam na dole. Nie poznawał siebie.

– Poczekaj – powiedziała Candy, delikatnie go odsuwając. Posłusznie cofnął się o pół kroku, ale nie wypuścił jej z objęć, pozwolił tylko nieco zwiększyć dystans. Oczy Ive nadal były półprzymknięte i wcale nie zamierzała się wyrywać. Jakiś szósty zmysł podpowiedział Andy'emu, że dziewczyna czuje się dobrze w jego objęciach. Chciała tylko coś powiedzieć.

– Bo naprawdę zapomnę – niemal wyszeptała i zbierając myśli, oparła się palcem o pierś Wernera. – Posłuchaj, my… Och, wszystko mi się miesza. Umówiliśmy się na ponadplanowy trening. Ale w SDO się nie uda. Mamy dwie drużyny, rozumiesz? Zawody. Zasiądziemy w bibliotece i dane wejściowe wprowadzimy do komputerów pomocniczych, ale sam mówiłeś, że one są słabiutkie…

– O co wam chodzi? – zapytał rzeczowo Andrew.

Ive odzyskała świadomość. Otworzyła szeroko oczy, ale nie odsunęła się, objęła Wernera w pasie.

– Rajd do orbity Jupitera, kto szybciej – wyjaśniła. – Kapujesz?

– Yhy. Monitory przeglądowe… dobrze, że idziecie do biblioteki. Ale co ja?

– Właśnie, co ty… Możesz nam rzucić kabel do procesora liniowego?

– Borowski wie, co jest grane? – błyskawicznie zareagował Andrew.

– A musi? – chytrze zmrużyła oczy Ive.

– Jak by ci to powiedzieć… Kiedy to ma się odbyć?

– Jutro o osiemnastej pokładowego. Niech będzie osiemnasta trzydzieści…

– Rozumiesz, kochanie, nie zdążę przepchnąć kabla przez system wentylacyjny, jak to się zazwyczaj robi. Kabel będzie musiał iść po korytarzu, jawnie. Jak się Borowski o niego potknie… Dobra, nie będziemy się nim martwić. Będziesz miała wszystko, co tylko zechcesz.

– Co powiedziałeś?

– Słucham?

– Jak do mnie powiedziałeś?

– Kochanie…

– Jeszcze raz – poprosiła Candy.

– Kochanie – powtórzył Andrew, rozkoszując się dźwiękiem tego słowa.

Ive przylgnęła do niego, przycisnęła twarz do piersi Wernera. Zerknąwszy w dół, odnotowała kolejny raz, że Andy ma ładne dłonie i że strasznie jej się to podoba. A potem wpadła jej w oko blizna. Technik wedle mody uczelni w Vancouver podwijał do łokcia rękawy swojej roboczej kurtki. Długa zygzakowata linia rzucała się więc w oczy. Ive ostrożnie dotknęła jej czubkiem palca.

– Powiadasz, że czołgałeś się i zahaczyłeś? – zapytała.

– Można tak to interpretować. – Andrew przycisnął ją do siebie i zmrużył oczy w zachwycie.

– Kłamiesz – zarzuciła mu Candy.

– Nie łżę! Kretyńska sprawa. To był „Jason din Alt". Pierwszy scout Abrahama Feina. Latałem na nim około roku, byłem młody, miałem jakieś dwadzieścia pięć lat czy coś koło tego. Pewnego razu wysłano nas w Pas, mieliśmy odnaleźć bazę przemytników. Jako wsparcie policji. Abraham, choć nigdy tak nie działał, rozpędził się za mocno. Dokoła asteroidy, już czas wkładać skafandry, a on ciągle coś kombinuje. Myślę sobie: *Głupia sprawa, coś trzeba przedsięwziąć.* Pulpit technika na scoucie znajduje się na rufie, za plecami wszystkich. No więc zaczynam po cichu pakować się w skafander. Nagle Abe mówi:

Dobra, chłopaki, włazimy w skafandry. I w tej dokładnie chwili jak nie dupnie! Potem okazało się, że tę strefę patrolował piracki destroyer. Tam wachta pewnie też się zagapiła. Albo się upili, wiadomo, piraci… W każdym razie nie zauważyli nas. Dopiero w ostatniej chwili ich olśniło i huknęli biednego „din Alta" w tyłek. Zewnętrzne poszycie na wylot, a wewnętrzne… tylko trochę.

– Pożar? – domyśliła się Ive.

– Żeby tylko! Czarny dym, ludzie polewają się nawzajem z gaśnic, wrzask jak cholera… Powietrze się wypala. A tu jeszcze syrena się drze, że nieszczelność. Za cholerę nie widać, gdzie dziurka, no bo wszędzie dym. Ja walnąłem o coś głową, nie bardzo kojarzę, potrząsam łbem, hełm mi się zamknął, wszystkie dane idą bezpośrednio na pokrywę. Patrzę, jest dziurka na wyciągnięcie ręki, cud, że mnie od razu nie zabiło. Miałem fart z tym skafandrem… Widzę, że dziurka powoli się zaciąga, ale za wolno. Wariant raczej śmiertelny, do punktu krytycznego zostało jakieś dziesięć sekund. Pompy pracują na całego, ale ciśnienie i tak spada. No to się odpiąłem, zrobiłem krok i – ponieważ to było na wyciągnięcie ręki – wyciągnąłem ją. Jakoś tak… odruchowo. No i to jest cała opowieść. Podczas powrotu, wyskoku z Pasa, stałem tak z ręką w dziurze. Skafander się zespawał z poszyciem. No i…

– Musieli cię wycinać – dokończyła Candy.

– No! – przytaknął Andrew.

– Co za łgarz z ciebie! – powiedziała zachwycona dziewczyna.

– Trochę tak… – skromnie przyznał Werner.

– Fantastyczny! – Wolno pociągnęła w dół zapięcie jego kurtki i niemal straciła oddech ze zdziwienia.

Wojenni astronauci zazwyczaj byli dobrze zbudowani, Andrew nie wyróżniał się pod tym względem niczym szczególnym, może był nieco masywniejszy. Ale jego pierś przecinały takie blizny, jakich Ive w życiu nie widziała.

– Nie zagoiły się dobrze – przepraszająco powiedział Werner.

– Biedny – szepnęła dziewczyna, ostrożnie całując jego zniekształconą pierś. Kurtka upadła na podłogę. -

Biedny mój Andy…

Pokochała mnie za cierpienie – przypomniał sobie Werner kretyński wierszyk – *a ja ją za przepiękne siedzenie*…

Omal nie parsknął nerwowym śmieszkiem. Ale zaraz uznał, że w jej głosie nie słyszał litości, tylko coś między zachwytem a zdumieniem.

– A wiesz, że ja mam z kolei dziurkę pod piersią? – zapytała Ive w przerwie między pocałunkami.

– Zaraz popatrzę – powiedział Andrew, ostrożnie ją rozbierając. – O-o… Czy to jest pani serce, pani kapitan?

– Tak. A to… – Candy sprecyzowała pytanie dotknięciem warg. - …pana, poruczniku?

– Tak.

– Opowiesz mi kiedyś?

– Przysięgam – tchnął Andy tak szczerze, że niemal sam się nie rozpłakał. Dygotał z czułości i zachwytu.

– Tak na ciebie czekałam… – szepnęła Ive, odchylając się, żeby wygodniej mu było całować jej stwardniałe sutki.

– A ja tak marzyłem o tobie…

– Robiłeś to kiedyś na górze? Na okręcie?

– Nie. Jesteśmy dla siebie pierwsi?

– Tak… To wspaniałe, prawda?

– To wspaniałe…

– Chodź do mnie…

– Kochana…

Andrew nie przypuszczał, że wszystko się właśnie tak potoczy. Nie oczekiwał na dzisiejszym spotkaniu niczego szczególnego. Niemłody już i doświadczony mężczyzna po raz pierwszy naprawdę był zakochany. Do utraty zmysłów. Był gotów dla Ive na wszystko, nawet na rycerskie uwielbienie na odległość. Nastawił się na poważny, niespiesznie rozwijający się romans. Nie chciał poganiać wydarzeń.

Zapewne się bał.

Ale Ive nie miała już siły czekać. Werner, oszałamiający facet z tajemnicą w przeszłości, wspaniałym ogonem włosów i brakiem umiejętności ukrywania nadspodziewanie dużej wiedzy na różne tematy… Był jej potrzebny. Candy po prostu wcześniej nie spotykała takich ludzi, naprawdę dojrzałych i naprawdę silnych wewnętrzną mocą, która przebija w każdym ruchu. Tak magnetyczną. Ive jeszcze nie znalazła swojego mężczyzny. A potrzebowała właśnie takiego.

Z tego też powodu chciała dotknąć admirała i powiedzieć mu coś miłego. Ale nie udało jej się pokochać Raszyna, był zbyt odległy wiekiem i stopniem. Za to Andy…

Jakby przez całe życie czekała właśnie na niego. On jeszcze przynudzał o miejscowym malarzu, miłośniku czerwonej farby, a ona już wyobrażała sobie ich wspólną przyszłość. Nie da się powstrzymać wzajemnego przyciągania drżących serc, można mu tylko ulec. W ciasnej kajucie nagle zrobiło się potwornie gorąco, a potem cały ten żar rozpalił piersi i dół brzucha Ive. Mogłaby w tym momencie umrzeć, gdyby nie oczekiwała czegoś jeszcze większego. Dla dwojga.

W wichrze emocji bijących od kochanej kobiety Andrew całkowicie się zagubił. Najpierw chciał pokazać Candy swoją czułość, doprowadzić ją do ekstazy tylko pieszczotami. A dopiero potem…

Ale Ive otworzyła się przed nim i skierowała go w siebie.

I bardzo szybko sufit kajuty odbił jej zachwycony krzyk.

* * *

Kontradmirał Essex otrzymał medal w żargonie nazywany *Gwiazdą Zagrzebu* na samym początku pierwszej kampanii marsjańskiej. Latał na destroyerze w składzie Drugiej Eskadry Osłony Grupy F i uważany był za dzielnego dowódcę, za prawdziwego *drivera.* Pewnego pechowego dnia, który zakończył się bohaterskim czynem, kapitan Essex dostał polecenie odbycia patrolu. Jego „Rocannon" miał penetrować pustynną okolicę marsjańskiej powierzchni, takie tam miejscowe zadupie, na którym nikt i nigdy nie odnotował żadnego ruchu – same porzucone sztolnie. Zostały przeskalowane na okoliczność metalu działowego i pól elektromagnetycznych. Odnotowano, że sztolnie są puste, i tylko dla spokoju sumienia podwieszono nad okolicą patrolowy stateczek. Żeby wrogowi nic głupiego do głowy nie przyszło.

Essex zaklął ciężko i ruszył na wyznaczony patrol. Po przybyciu do punktu przeznaczenia zameldował się przez komunikator, polecił załodze wykonać rutynowe czynności zgodnie z regulaminem – w końcu astronauta bez zajęcia to potencjalny dywersant – a sam oparty łokciami na pulpicie oddał się tęsknicy. Reszta Drugiej Eskadry Osłony miała tego dnia wyruszyć w najprawdziwsze piekło, zetrzeć się z hordami zręcznych marsjańskich fighterów, osłaniając zrzut desantu na Red City. A on, Essex, obijał się nad drugą półkulą Czerwonej Planety, praktycznie niezasiedloną z powodu braku zasobów. Nie było tu też żadnych godnych uwagi widoków. Pod „Rocannonem" rozpościerała się pustynna równina. Sterczała z niej tylko jedna samotna skała, pod którą w niepamiętnych czasach zbudowano kopalnie, wydrążono głębokie sztolnie, a następnie je porzucono. Przynajmniej tak zdawało się dowództwu.

Dowódca niefortunnego patrolu urządził później w sztabie taką awanturę, że trzech zwiadowców zostało przerzuconych na dół. Głównie za to, że nie wpadli na pomysł, aby wycelować skaner w samotną skałę, pod którą właśnie zagrzebali się Marsjanie. Jedyne, co zwiadowcy powinni byli zrobić, to obniżyć pułap, a wtedy odkryliby, że sztolnie są znacznie głębsze, niż to było oznaczone na starych mapach. Ale im nie chciało się manewrować – w wyniku tego niechlujstwa Essex dokonał czynu godnego medalu, rozwalił dobry statek, stracił zdrowie i niemal całą załogę.

Nim to się jednak stało, siedział sobie pogrążony w tęsknicy, gdy nagle spod skały nieoczekiwanie wystrzeliły kłęby pyłu, sztolnie stały

się lufami startowymi i wyskoczyły z nich czarne, podłużne obiekty. Potem się okazało, że to dziewięć marsjańskich destroyerów. Trzy ogniwa. Ale w chwili ich startu, chwała gwiazdom, Essex myślał, że było ich mniej. Ryknął wtedy tak, że niemal sam ogłuchł, i walnął obiema rękami w styczniki. „Rocannon" zawył, przekoziołkował i runął na spotkanie wroga.

Od skały do pobojowiska nad Red City było co najwyżej dziesięć megametrów, Marsjanie sądzili, że w decydującym momencie uderzą w ziemski desant z flanki. Samotnym patrolowym destroyerem się nie przejmowali, takie okręty łatwo rozwalali przy wznoszeniu. Ich planiści dobrze znali taktykę Ziemian, więc byli w stanie wyliczać z wyprzedzeniem możliwe posunięcia spanikowanego dowódcy. Destroyery separatystów otworzyły ogień zaraz po oderwaniu się od powierzchni, odcinając „Rocannonowi" drogę ucieczki. Jakikolwiek manewr odwrotowy Essex by wybrał, i tak czekała go przestrzelina w burcie.

Ale on nie zdążył ani się wystraszyć, ani nawet dokładnie oszacować siły przeciwnika. Po prostu wątrobą poczuł, że znalazł się w niestandardowej sytuacji i że jeśli nie zadziała odpowiednio, to choć jego rodzima Druga Eskadra niewiele na tym straci, ale nieruchawe desantowe okręty zostaną mocno przetrzebione. A poza tym „Rocannon" oberwie i zginie on sam, ukochany kapitan Essex. Dlatego podporządkował się instynktom. Nie wykonał żadnych standardowych manewrów, po prostu spikował pionowo w dół, przebił się przez wraży szyk i cudem wyhamował nad samą powierzchnią. W czasie kiedy Marsjanie ostrzeliwali niebo, oczekując, że gdzieś nad ich głowami nagle rozbłyśnie miła oku eksplozja, Essex wzbijał gigantyczny słup burego pyłu, zawracał falujący na spoinach destroyer i histerycznie rechotał. Jego wisielczy humor potęgował wysokościomierz, który nad powierzchnią miał zbyt wielki błąd i wskazywał z uporem maniaka, że „Rocannon" na sto metrów wbił się w Marsa.

Walka w przestrzeni jest skomplikowana, a dla niedoświadczonego obserwatora odbywa się chaotycznie i bez planu. Okręty bojowe są naszpikowane zakłócaczami, w dodatku przez cały czas zrzucają fałszywe cele. Karbonowoczarne poszycie okrętów z kolei skutecznie pochłania promienie radarów. Odnalezienie prawdziwej pozycji statku przeciwnika to najtrudniejsze zadanie. Trafienie osiąga się poprzez analizę trajektorii mimet, fałszywych celów oraz dobrą pracę optyki, bo nawet absolutnie czarny obcy okręt ma gdzieniegdzie jaśniejsze punkty, na przykład po uderzeniu mikrometeorytów. Poza tym, cokolwiek by robił, zasłania gwiazdy.

Każdy okręt ma też słaby punkt – rufę z kruchymi zwierciadłami. Na statkach komercyjnych jest zazwyczaj jedno zwierciadło, nie mają

się przecież czego obawiać. Na destroyerach są cztery, a między nimi baterie rufowe. Gdyby Marsjanie wpadli na pomysł, żeby huknąć z rufowych w chmurę pyłu na dole… Ale albo uznali, że sami ją wznieśli, albo nie zdążyli pomyśleć. Ich okręty biły w niebo, zużywając w ten sposób część energii i tracąc tym samym ważne przyspieszenie. „Rocannon" zaś ustawił się na niemal równym kilu, wysunął z chmury dziób, dostrzegł idealną dla siebie sytuację i zaczął młócić wszystkimi czterema laserami.

Trzy zamykające szyk okręty zostały zdmuchnięte jak na strzelnicy. Pierwsze dwa straciły ciąg i opadły na powierzchnię, niemal na głowę Essexa. Kolejny destroyer trochę się uchylił i zaczął iść bokiem, całą mocą silników wspomagających ratując się przed siłą ciążenia Czerwonej Planety. Innemu, który zdołał wzlecieć nieco wyżej, Essex tak rozwalił rufę, że ten ugrzązł na niskiej orbicie, z której musiał zrzucać moduły ratunkowe. Ale pozostała piątka Marsjan, zorientowawszy się, że popełnili błąd, rzuciła się w różne strony i zaczęła ustawiać szyk bojowy. Ale wszystkie ich okręty były już zakodowane w celownikach „Rocannona" i żadne mimety nie dałyby rady oszukać Esseksa.

Ale on też był dla Marsjan jak na dłoni. Czarna plama na burym tle globu. Minuta do uroczystego pogrzebu. Najpierw pół minuty na bojowy zwrot separatystów. Potem tyleż samo, by zgromadzić energię na impuls. I mogiła.

„Rocannon" wznosił się z potwornym wysiłkiem. Za wolno. Reaktor nie dawał rady – cała moc przed chwilą poszła na salwy, nie mogło więc teraz być mowy o odpowiednim przyspieszeniu. Marsjanie zmieniali szyk. Niespiesznie. To byli na swój sposób uczciwi chłopcy. Uczyli się latać na Ziemi i teraz dali Esseksowi czas do namysłu – rozbić się wraz z okrętem czy zrzucić załogę w modułach awaryjnych. Tak czy owak, mieliby sukces – z zamaskowanej bazy ratownicy pobiegną na wyścigi. Jeszcze ani razu buntownicze Red City nie brało do niewoli astronautów Grupy F. Może nawet ich nie zabiją.

– Mamy potwierdzenie – nienaturalnie spokojnym głosem zameldował ZDO. Essex skinął głową. Druga Eskadra otrzymała sygnał alarmowy i przyjęła go do wiadomości. Może Uspienski na wspaniałym „von Reyu" gna już na pomoc. Chociaż racjonalniej byłoby wpisać „Rocannona" od razu do rubryki strat i nie ganiać okrętów tam i z powrotem. Regulamin na to pozwala.

– Za ile pełny ciąg? – wypuszczając z rąk styczniki, zapytał Essex. Po prostu tak, żeby o coś zapytać.

– Nie zdążymy – odparł ZDO. Oczekiwał, że dowódca każe huknąć w któregoś z Marsjan na pożegnanie i pędzić do modułów ratunkowych. Ale on zdecydował inaczej. Wykonał ruch, przez który „Rocannon" na kilka sekund stracił zdolność bojową, zaskakując tym

całą załogę. Essex twierdził później, że doznał olśnienia. Rzadki przypadek intuicji.

– Uwaga! Wszyscy baczność! – zakomenderował. – Za trzydzieści sekund zrzucam moduły. Puste! Jasne?! I posuwam po balistycznej. Jeśli ktoś łaknie niewoli, serdecznie zapraszamy. Myśleć!

Zapanowała pełna napięcia cisza. Astronauci myśleli. Ktoś chwycił się za głowę. Ale nikt nie wstał z miejsca.

– Wyłączyć ciąg! Energia do akumulatora! – z ulgą w głosie rozkazał Essex. – Kiedy się zbliżą, walimy z rufowych.

– Świetnie! – radośnie potwierdził kanonier. Załoga ruszyła wykonywać polecenia dowódcy. Nikt nie skorzystał z modułów awaryjnych.

Nim Marsjanie zakończyli manewr zwarcia szyku, „Rocannon" wykorzystał najprawdopodobniej jedyną szansę – udał porzucony okręt i ściągnął wroga do siebie. Essex zerwał zawleczkę i wdusił przycisk odrzucenia modułów. Destroyer ciężko majtnął się na boki. Jego korpus pękł w kilku miejscach. Niewielkie sekcje, rozjarzywszy się płomieniem silników hamujących, poszybowały w dół.

Kapitan wprowadził okręt na trajektorię balistyczną. „Rocannon", na oko niekierowany już ludzką ręką, wolno oddalał się od Marsa po stycznej.

Następne minuty były dla załogi testem, który zniesie tylko wariat. Albo wojskowy astronauta, co daje mniej więcej to samo. Marsjańskie destroyery jak węszące bestie pokręciły dziobami, wodząc za modułami otworami strzelniczymi głównych laserów.

– Co za suczesyny! – obruszył się ZDO. – Przecież oni nas…

I w tym momencie Marsjanie zaczęli strzelać.

Na „Rocannonie" rozległ się krzyk. To było niewyobrażalne, straszne, wskrzeszało w pamięci opowieści o potwornościach Kotłowaniny i Północy. Czegoś takiego astronauci nigdy nie widzieli.

Moduły awaryjne rozjarzyły się i zmieniły w obłoki pary.

– Zabili nas – skonstatował ZDO. – Co za gnidy…

– Co tu dużo gadać: czerwonodupki – dołożył się kanonier.

– Nie przeklinać, myśleć, co robimy, jeśli nie będą chcieli wziąć nas na abordaż – zarządził Essex. – Powinni raczej pędzić do Red City, a nie zatrzymywać się tu.

– Pełna moc na dochodzenie i walimy z czołowych – powiedział kanonier. – Jeszcze ze dwa rozwalimy. Wielka sztuka?

– A pozostali trzej rozwalą nas – rzucił z tyłu któryś z nawigatorów.

– To tylko pięciu – zauważył ZDO. – Było, do cholery, dziewięciu.

– Rzeczywiście! – zdziwił się Essex. – Słuchajcie, naprawdę było ich dziewięć? Nie zdążyłem nawet policzyć.

Marsjanie znowu przeformowali szyk i wzięli kurs na Red City. W

SDO „Rocannona” rozległo się chóralne westchnienie ulgi.

– Nie rozumiem – powiedział kapitan. – Idzie do nas katafalk czy nie?

– Oczywiście! Powiedzieli: *Wysyłamy wsparcie.*

– Jak sądzisz – zapytał Essex swojego ZDO. – Czy pięć to dużo?

Zastępca zamyślił się. W tym momencie każdy z załogi miał prawo głosu. Zrzuciwszy puste moduły, kapitan pozbawił tych ludzi jedynej realnej szansy ujścia z życiem z walki. Była co prawda jeszcze jedna możliwość, ale z gatunku bardzo wątpliwych – opuścić na orbicie uszkodzony destroyer w speckostiumach. A tu już wszystko zależało od tego, czy uda się wyłączyć i katapultować reaktor, czy eksplozja będzie silna i czy szybko pojawi się katafalk, jak zazwyczaj nazywano okręt podążający z misją ratunkową. Czyli całe trzy *czy*. Jeśli reaktor nie sypnie, skażając przestrzeń radioaktywną chmurą, jeśli okręt nie rozpadnie się na strzępy, na które załoga zostanie nadziana jak na rożny, jeśli kapitan przybywającego statku będzie wystarczająco doświadczony w takich misjach…

A fakt, że Marsjanie rozwalili moduły – więc wyszło na to, że Essex już co najmniej raz wszystkich uratował – teraz się nie liczył.

– Pięć to do cholery – zdecydował ZDO. – Aktualnie nad Red City mamy minimalną przewagę. No i jeszcze katafalk wysłali. A ci nagle pojawią się tam… Oczywiście Red City będzie nasze, ale przy dużych stratach…

Essex popatrzył w stronę oddalających się Marsjan.

– Wszyscy tak myślą? – zapytał. – Tak? No to daję ciąg. Przygotujcie się, panowie. Zaraz komuś tu damy w jego czerwone dupsko…

Dwadzieścia minut później kapitan przez wyłom w poszyciu wyskoczył w kosmos, złożył się wpół, zacisnął między kolanami pistolet manewrowy i wdusił spust. „Rocannon” wyglądał jak prawdziwe sito i Essex, oddalając się od swojego okrętu, płakał ze złości. Na jego oczach impuls z kalibru głównego uderzył dokładnie w SDO, a wybuch rozwalił na mikrony dwóch ludzi nie wiadomo dlaczego jeszcze tam pozostających. Dowódca patrolu najpierw krzyczał i przeklinał, a potem zapadł w jakiś dziwny niebyt, zaczęła się poststresowa apatia. Na pokład „von Reya” został wzięty w stanie głębokiej niepoczytalności i jakoś nie cieszył się, że mimo wszystko zniszczył jeszcze jeden destroyer oraz mocno uszkodził drugi. Kolejnego Marsjanina rozwalił na podejściu Uspienski, a pozostali dwaj nie odważyli się już ruszyć do Red City, wzięli kurs na Pas i zaginęli w nim.

To był czysty triumf i prawdziwe bohaterstwo. Zdjęcie kapitana widniało we wszystkich newsach i na wieki znalazło się w annałach Sieci. Ziemia była dumna ze swojego syna i obsypała go honorami. Ale

Essex na marsjańskiej orbicie wśród odłamków „Rocannona” zostawił coś bardzo ważnego.

W ciągu dwu miesięcy odbył psychiczną odnowę, po czym uznano, że jest zdolny do służby. „Rocannon-2” już szykował się do prób w przestrzeni. Ale kapitan zmienił się nie do poznania. Zrobił się powolny i zadumany. W jego duszy zapanował smutek. Essex nie chciał dokonywać heroicznych czynów. Przypomniał sobie i wreszcie zrozumiał, dlaczego już na uczelni wyjaśniano mu, że ludzie o typie osobowości bohatera nie powinni pchać się w kosmos. Okręty bojowe są zbyt drogie, by dokonywać na nich cudów odwagi. Grupa F w najlepszym okresie nie liczyła więcej niż pięćdziesiąt jednostek, a służyli na nich ludzie odpowiedzialni, wojskowi w najlepszym tego słowa znaczeniu. Zdolni do ryzyka, ale zawsze dokładnie obliczający jego dopuszczalną granicę. Oraz starający się jej nie przekraczać.

Ziemia walczyła ze swoimi byłymi koloniami metodycznie i starannie. Wyszukiwała luki w strategii przeciwnika i uderzała w nie. Ale jak mawiał kapitan Uspienski (za co był wielokrotnie karany): Me *da się napierdalać z drugą zasadą termodynamiki.* Setki razy Essex widział, jak inni oficerowie płacą za cudze błędy. I miał nadzieję, że jemu nic takiego się nie przydarzy. Ale się przydarzyło. Kapitan, pozbierawszy psychikę, zrozumiał też, że drugi raz taki numer mu nie wyjdzie.

Co najważniejsze – stracił wiarę w mądrość swoich kolegów. Oglądając się wstecz, widział tu i tam koszmarne luki w strategicznym planowaniu operacji, haniebne błędy taktyczne i chroniczną niedbałość o szczegóły. Wszystkich dookoła oskarżał o niedbalstwo i niekompetencję, a jego podejrzliwość zaczęła przybierać maniakalne rozmiary.

Nadludzkim wysiłkiem woli sprowadził „Rocannona-2” z ziemskiej orbity i poprowadził go do Marsa. Ale w szyku Drugiej Eskadry Osłony umieścił destroyer jego zastępca. Essex zamknął się w kajucie, wywołał Uspienskiego i jąkając się i unikając spojrzenia, opowiedział mu o swoim problemie.

– Nie denerwuj się, Phil – poradził z monitora Uspienski. – Po pierwsze, wojna praktycznie się skończyła. A po drugie… Nie dotarły jeszcze do ciebie plotki? Nasza eskadra potrzebuje młodego i sensownego szefa sztabu. Są dwie kandydatury. Ja bronię się przed tym tak jak mogę. A ty się zgódź. I kropka. Stanowisko w sam raz dla ciebie. Zagnieździsz się na battleshipie i zero problemów. Najważniejsze, to nie mów nic psychologom, bo na sto procent zwalą cię na dół.

– Nie wiem… – wymamrotał skonsternowany Essex. – Zrozum, Aleks, ja potwornie boję się błędów. Wszystkich. Swoich też.

– Najważniejsze, to nie mów nic psychologom.

– Słuchaj, czy ja naprawdę jestem chory?

Uspienski roześmiał się.

– Według mnie, Phil, po prostu dorosłeś – powiedział. – Ale to nic, przyzwyczaisz się. A za radę będziesz mi musiał postawić kolejkę.

Po tygodniu Essex przeniósł się do sztabu i od tej chwili nigdy już nie dowodził okrętem. I odzyskał spokój. Potem awansował na dowódcę Drugiej Eskadry, później został szefem sztabu Grupy F. Na tym stanowisku przeżył jeszcze jedną wojnę, właściwie półtorej, jeśli doliczyć do niej straszny rajd na Wenus. Stał się doświadczonym oficerem sztabowym i rzadkim egzemplarzem bydlęcia. Ale to Grupa F zmusiła go do tego. W końcu admirał Raszyn, gdyby chciał, mógłby być taką świnią, że Essex zginąłby na jego tle. I wszyscy uznawali, że ci dwaj nietuzinkowi ludzie mają prawo zachowywać się tak, jak im się chce. W zamian dają człowiekowi szansę przeżycia.

W tej chwili te nietuzinkowe postacie maszerowały po obszernym betonowym placu w kierunku budynku admiralicji. Raszyn wykonał lekki ruch ręką i strażnicy odsunęli się z szacunkiem. Po plecach Essexa przebiegł dreszcz, bez ochrony dopadały go lęki. Raszyn odwrotnie, nie znosił goryli. Zawsze mówił, że żyją oni podejrzanie długo, a chronione przez nich osoby – nie.

– A was co, rozkaz nie dotyczy? – rzucił Raszyn przez ramię do adiutantów. – Spadać mi stąd!

Meyer i Moser skrzywili się podobnie jak bliźniacy i nieco zostali w tyle za przełożonymi.

– I co? – zapytał Essex. – Masz pomysły?

– Wyczyściłeś buchalterię?

– Zdążyłem.

– Czyli o niczym nie masz pojęcia. Wszystko zwalaj na mnie. Czy to nie ja wybrałem się na „Ripley”? Wybrałem. Odbyłem z Abrahamem konfidencjonalną rozmowę? Tak, odbyłem. A co do reszty, nie masz o niczym pojęcia.

– Jak chcesz, Aleks.

– I pamiętaj. Jest tylko jeden typ broni, którą można zestrzelić nasze jednostki z Ziemi. To decyzje Zebrania Akcjonariuszy. Póki nie odbyło się Zebranie, jesteśmy najsilniejsi ze wszystkich.

– Yhy – ponuro potwierdził Tyłek.

– Ja tych idiotów będę bronił, nawet jeśli mi tego zakażą w rozkazie – z nieoczekiwaną złością syknął admirał. – Jeśli Abraham znajdzie ślady Obcych…

– Yhy – przytaknął Essex.

– Przecież może się coś takiego zdarzyć, prawda, Phil?

– Jasne – znowu skinął głową kontradmirał i zezem popatrzył na boki, gdzie jakże chciałby zobaczyć swoich ochroniarzy.

– Co ty się tak ciągle oglądasz?

– Odzwyczaiłem się – przyznał skonfundowany Essex. – Jakoś tu nieprzytulnie. Wiatr. I takie tam…

– Sufitu ci brakuje? – zapytał Raszyn z kpiną w głosie. – Nie masz gdzie dupy ukryć. Szczur-r-r sztabowy. Gryzoń kąśliwy. Nornica. Karaluch.

– O co ci chodzi? Chyba przesadzasz.

– Jak ja będę walczył z takimi jak ty? – mruknął admirał, wpatrując się w zachmurzone niebo. – Jako żywo Tyłek. Essex, zmień nazwisko!

Ten wyciągnął rękę i mocno chwycił dowódcę Grupy F za łokieć.

– Nie świruj, Aleks – poprosił. – Jakoś się wybronimy.

* * *

Na dużym displayu, zajmującym całą ścianę w gabinecie admirała floty, widniała mapa Marsa. Raszyn nie spodziewał się takiego widoku, wytrzeszczył więc oczy na rozpłaszczoną powierzchnię Czerwonej Planety. Essex, znalazłszy się w zamkniętym pomieszczeniu, od razu poweselał, wyprostował ramiona i pochłaniał wzrokiem dowództwo, które raczyło wstać na ich widok.

– Dzień dobry, młodzieńcy – powiedział admirał floty König, machnięciem ręki opędzając się od salutowania. – Proszę siadać. Jak samopoczucie? Humory? Jak Grupa F?

– Samopoczucie dobre, powierzona mi Grupa F działa bez zarzutu, oczekuję rozkazów – zameldował Raszyn, pakując się w fotel.

– Nastrój bojowy – skłamał Essex, siadając tak, by Raszyn przynajmniej częściowo zasłonił go przed Königiem.

– Gotowi do pracy? – zapytał admirał floty.

Raszyn i Essex, skonfundowani, wymienili spojrzenia.

– Tak jest, sir – powiedział Uspienski, ale intonacja potwierdzenia była raczej pytająca.

– Zaraz wyjaśnię, o co chodzi – uśmiechnął się König. Cała flota nazywała go *Wujek Gunnar*. *Z* takim samym przyjaznym uśmiechem na ustach rozkazywał bombardować bezapelacyjnie cywilne obiekty albo sugerował, że desant podczas zajmowania marsjańskich miast musi być kapkę ostrzejszy w działaniach. A na Wenus König urządził prawdziwą rzeź.

Raszyn nie potępiał dowódcy. Nad Wujkiem Gunnarem byli Dyrektorzy, a ziemski rząd w swoim czasie bardzo chciał zastraszyć separatystów tak, by nawet wnukom zabronili sporów z metropolią. Tyle że wyniki takich działań były dokładnie odwrotne od

zamierzonych. Populacja Ziemi ciągle nie mogła przekroczyć stu milionów i bezgraniczne przestrzenie, czekające na pracowite ręce, leżały zapuszczone. A świeża krew, skostniała na skolonizowanych globach, jakoś wcale się nie kwapiła wlać w żyły ziemskiej cywilizacji cierpiącej na bezpłodność i mutacje genetyczne. Separatyści woleli z ogromnym trudem kolonizować swoje okrutne światy, a Ziemię nazywali kolebką wszechzła. Można ich było zrozumieć – od czasów straszliwej Północy, która wykosiła dziewięćdziesięciu ośmiu na stu mieszkańców Błękitnej Planety, minął dopiero wiek, a pomimo to w ciągu tych stu lat zdołała wygrać dwie międzyplanetarne wojny.

– Tak więc, panowie – powiedział König – mamy dla was chałturę. Dobrze za nią płacą. Interes barterowy, ale bardzo wygodny dla Ziemi.

– Znowu Mars – ze smutkiem zauważył Raszyn.

– Znowu – zgodził się admirał floty. – Ale tym razem to oni proszą o pomoc. Mamy zamówienie od rządu Republiki. Wynikające, że tak powiem, z umowy o współpracy, przyjaźni i nieagresji. Patrzcie, panowie. Mapa za plecami Königa zmieniła skalę i doświadczone oko Raszyna od razu rozpoznało wycinek marsjańskiej powierzchni nieopodal południowego bieguna.

– Tak – powiedział Essex, wychyliwszy się do przodu. – Znam to miejsce.

– I co o nim sądzisz? – zapytał Wujek Gunnar.

– Pustynia – krótko odpowiedział kontradmirał.

– Żeby! – uśmiechnął się König. – Daliśmy plamę. Wystarczyło dobrze przetrząsnąć to miejsce. Ale się ograniczyliśmy do powierzchownej obserwacji… To, jeśli mam być szczery, kamyczek do pańskiego ogródka, szefie sztabu grupy.

– My szukaliśmy obiektów militarnych – wystąpił w obronie podwładnego Raszyn. – W końcu nie jesteśmy geologami.

– Geologami? – chytrze zmrużył oczy König. – Łapie pan w lot, Uspienski. Szkoda, że nie jest pan geologiem, mielibyśmy już w tym punkcie dobrze umocnioną bazę.

– Uran! – stwierdził Raszyn.

– Nie będzie pan, drogi Aleksie, nigdy admirałem floty – zauważył Wujek Gunnar.

– Bo jestem za mądry?

– Niebezpiecznie mądry. Niebezpiecznie, mój przyjacielu.

– No to kto nim zostanie? – palnął Uspienski.

Wszyscy wiedzieli, że Königowi do emerytury zostało kilka miesięcy.

– Nikt – ponuro stwierdził admirał floty. – Sądzę, że to będzie wasze ostatnie bojowe zadanie.

Słysząc słowo *ostatnie,* Raszyn odruchowo się wzdrygnął. Essex

również. Jak wszyscy czynni astronauci byli trochę przesądni i woleliby usłyszeć: *następne*. Bo jeszcze, tfu-tfu! na psa urok, będzie to rzeczywiście twój, chłopie, ostatni lot.

– Możecie więc nie oszczędzać sprzętu – kontynuował König. – Wyciągnijcie z niego wszystko do oporu. Do końca. Możecie nawet rozbić to czy owo o powierzchnię.

– Nasz sprzęt i tak już się sypie – wtrącił Essex. – To takie trumny, że koszmar.

– A dlaczego my mamy to zrobić? – zapytał nagle Raszyn. – Dlaczego nie policja?

– Policja ma swoje zadania. Przetrząsają Pas cal po calu. A my mamy zniszczyć przeciwnika. No to będziecie niszczyć. I proszę mnie, młodzieńcy, nie zbijać z pantałyku. Trzymajmy się tematu, a luźno pogadamy przy kolacji.

– Moja wina, sir.

– Wstydziłbyś się, Uspienski, mówić takie rzeczy na głos – nieoczekiwanie przypomniał sobie przeszłość König. – I tak na twarzy masz wypisane, że jesteś winny. Wulgaryzmy, nietaktowne odzywki… Cholera, i to admirał! Cały admirał. Szkoda, że Rosjanin.

– Tego się nie wstydzę – z dumą powiedział Raszyn.

– Za to pana szanuję. Czyli tak… – Admirał floty położył ręce na stycznikach i mapa powiększyła się jeszcze bardziej. – Patrzcie. Tu Marsjanie już pół wieku temu zaplanowali kopalnię. Wtedy nie mieli jednak na to środków. Teraz mają. Przesunęli do tego punktu ludzi i sprzęt i wszystko to zniknęło. Przyjrzeli się z satelity – zero śladów. Wysłali grupę ratunkową – jak kamień w wodę. Obok przelatywał nasz policyjny scout, poprosili, żeby zerknął, co się tam dzieje. Zanim go strącono, policjanci odnotowali kilka startów. W sumie na odkrywce ktoś pracuje i wywozi uran w Pas. Oczywiście kiedy nad tym miejscem przelatuje satelita, życie w punkcie zamiera. Takie buty. Ktoś tam wydobywa uran od roku i zdążył dobrze się usadowić. Marsjanie takiej bazie nie dadzą rady. A wy tak.

Raszyn zerknął przez ramię na Essexa. Ten porozumiewawczo poruszył brwią. Uspienski z obrzydzeniem rzucił spojrzenie na mapę i już miał otworzyć usta, ale König domyślił się, w czym rzecz.

– Za kogo mnie pan ma? – powiedział. – Desantowiec będzie z wami, to jasne! Ale to wy pierwsi pojawicie się nad punktem. Zniszczycie naziemne urządzenia i strącicie wszystko, co będzie usiłowało wystartować. A potem pojawi się desantowiec i wykona zadanie pod waszą osłoną. I koniec, niczego więcej od was nie oczekujemy. Pozostaniecie z czystymi rękami. Rycerze, wasza mać!

– Rozumiem, sir – krótko odrzekł Raszyn. – Są jeszcze jakieś polecenia?

– Wszystkie szczegóły otrzymacie na górze za kilka godzin. Razem

z rozkazem. Startujecie za dobę. Wystarczy wam doba na spakowanie? Z Marsjanami w kontakty nie wchodzić. Wykonujecie swoją robotę i koniec. Jasne?

– Ile szykować okrętów? – zapytał Uspienski. – Jedna uderzeniowa eskadra wystarczy?

– Wszystko szykujcie – odparował König. – Całą grupę. Desantowiec przeznaczony do działań z wami to „Dekard-2". Zapoznacie się z rozkazem, to wszystko zrozumiecie.

– Po co szykować całą grupę? – zdziwił się Raszyn. – Czterdzieści osiem jednostek! Przecież to będzie koszmarnie kosztowało!

– Pieniędzy nam dają do oporu – pochmurnie powiedział admirał floty. – Ale danych o tym, co się dzieje nad północnym biegunem Marsa, za cholerę.

Uspienski znowu popatrzył na Essexa. Ten ponownie poruszył brwią.

– „Dekard" to pechowa nazwa – oświadczył.

– Niby czemu? – zdziwił się König.

– Temu, sir, że leci z nami drugi „Dekard". To pechowa nazwa.

– Jak nie urok, to sraczka! – wściekł się Wujek Gunnar. – Patrzcie go, nazwa mu nie pasuje! Desantowiec inny poproszę, co?! Cała grupa nie może lecieć. Wiecie, dokąd bym was wysłał, gdybym mógł?

– Wracając do tematu, sir, dlaczego cała grupa? – zapytał Raszyn.

– Uranu w Pasie jest mało – powiedział König. – A pirackich cruiserów dużo. Nawet wedle skromnych statystyk co najmniej dziesięć. I co najmniej jeden battleship. Na dodatek nie zapominajcie, że każdy piracki truck albo holownik to przebudowany destroyer.

– I wszystko to rzuci się walczyć o swoje sztolnie – sarkastycznie zauważył Uspienski.

– O, domyślił się pan! – pochwalił Wujek Gunnar.

– Czy pan coś rozumie, panie kontradmirale? – rzucił przez ramię Raszyn.

Essex pokręcił nosem i wysunął do przodu żuchwę.

– Ja też nic nie rozumiem – skinął głową dowódca Grupy F. – Panie admirale floty, można pytanie?

– Tak?

– Dlaczego nie mogę na początek wykonać zwiadu? Niechby tam skoczyła para scoutów… Na pewno nie dadzą rady ich strącić. Określimy niezbędny zasób siły uderzeniowej i wtedy już dokładniutko…

– Ile potrzebujesz na to czasu, Uspienski? – zapytał zmęczonym głosem König.

– Łącznie z wyrzutem desantu miesiąc.

– Na jakim pan świecie żyje, Uspienski? – niemal jęknął admirał floty. – Za miesiąc Ziemia nie będzie miała żadnych desantowców.

Pozostaną mizerne siły policyjne. I koniec. Nie mamy czasu, panowie. Póki istnieje normalna flota, póki istnieje wasza Grupa F, powinniśmy, po prostu musimy, wykonać wszystko, co w naszej mocy. Musimy posprzątać. I mając czyste sumienie – do rezerwy.

– Dlaczego tak szybko? – zdziwił się Raszyn. – Dlaczego już za miesiąc?

– Prezent Dyrektorów dla Zebrania Akcjonariuszy – wycedził König. – Jak również akt dobrej woli i uznania swojej winy przed suwerennymi narodami Marsa i Wenus. W Słonecznym już nikt z nikim więcej nie będzie walczył. Pozostają operacje policyjne. Koniec, panowie. Demilitaryzacja.

Za plecami Uspienskiego głośno westchnął Essex.

– Jesteście wolni – powiedział Wujek Gunnar i odwrócił się.

Raszyn wsunął palec za kołnierzyk, pokręcił szyją.

– Wolni – powtórzył admirał floty bardzo cicho. – Spadajcie stąd. Nie będzie żadnej kolacji. I nie chcę was więcej widzieć.

Dowódcy Grupy F ciężko podnieśli się na nogi i wyszli z gabinetu bez pożegnania. A zgarbiony w swoim fotelu König zakrył twarz rękoma.

Na ulicy Essex trącił łokciem Uspienskiego.

– Zrozumiałeś coś z tego?

– Nasza obecność w przestrzeni okołoziemskiej jest wyjątkowo niepożądana – rzucił Raszyn oschle.

– Według mnie chcą nas zabić – wyraził przypuszczenie szef sztabu. – Albo co najmniej podłożyć. Dlaczego on powiedział *ostatnia?* Może chciał nas ostrzec?

– Według danych z dobrze poinformowanych źródeł korporacyjna solidarność nie jest cechą charakterystyczną admirała floty – rzucił Uspienski.

– Ocknij się, Aleks! – poprosił Tyłek.

– A ty zrób coś z tą swoją manią prześladowczą – odparował tamten. – Odczep się. Jestem zajęty. Myślę.

– Panie admirale, sir! – zawołał z tyłu Moser. – Może chce pan, żebym został do wieczora na dole? Pogadam z ludźmi, może coś się wyjaśni.

– Nic się nie wyjaśni – pokręcił głową Raszyn. – Zostaliśmy sprzedani. Ale komu i za ile… Mogę się założyć, że tego nie wie nawet König.

– No to co robić? – ostrożnie zapytał Essex, mając nadzieję, że dowódca ma już gotowy plan działania.

– Wykonamy rozkaz – westchnął ten.

Poryw wiatru strącił z głowy Tyłka furażerkę, ta poturlała się po placu. Issiah Meyer ruszył za nią w pościg.

– Jeszcze jeden feralny znak – wykrztusił Essex, patrząc, jak

adiutant biegnie za podskakującym i umykającym nakryciem głowy przełożonego jak wilk za zającem. – Może iść na chorobowe?

– Nawet jeśli się uprzemy, to nas za to zdegradują i wsadzą do kicia – powiedział Raszyn. – A grupa i tak poleci na Marsa. Tyle że ty i ja stracimy nad nią kontrolę. Taka jest różnica.

– Co za katastroficzny nastrój, Aleks! – szczerze obruszył się szef sztabu. – Nie wolno nam porzucać grupy. W chwili kiedy zredukowano etaty zastępców…

– To też było celowe działanie! – wypalił admirał.

Essex odebrał od zdyszanego Meyera swoją furażerkę, obrzucił ją krytycznym spojrzeniem i zdecydował, że nie będzie jej nakładał na głowę.

– Issiah, leć po wódkę – powiedział. – I weź nie skrzynkę, ale dwie. Kto wie…

– Szefie, a my? – zapytał Raszyna Moser.

– Nie chcę – odparował zapytany. – Znudziło mi się.

– Pożałuje pan – ostrzegł go adiutant.

Admirał obdarzył go wściekłym spojrzeniem przez ramię, ciężko westchnął i zaczął wygrzebywać z kieszeni portfel.

* * *

Do ciasnej biblioteki „Skoczka” poza dwiema rywalizującymi wachtami wpakowało się około czterdziestu ludzi. Siedzieli na biurkach, w przejściach, wielu stało. Fox, z ważną miną spacerując za plecami nawigatorów i odpychając brzuchem kibiców, przyjmował stawki.

Ive z trudem przepchnęła się na swoje miejsce i ponad ramieniem grubasa patrzyła na jego mobilny terminal.

– Dlaczego tak mało? – zdziwiła się. – Za moich tylko jeden do dwóch?!

– Tak – zgodził się Fox. – Stawiają sporo, ale współczynnik kiepski. Pewnie dlatego, że u ciebie prowadzi Christoff. Młodziak. Bo gdyby pojawiła się Margo, to współczynnik by się zmienił. Kto jak kto, ale ona przeciwko tobie postawi swoją roczną wypłatę, pewniacha.

– Dlaczego tak mało za wachtę Kendall, gnoje?! – ryknęła Ive, odwracając się do kibiców.

– Proszę nie wywierać nacisku na grupę, pani kapitan – poradziła stojąca w tłumie kibiców Linda. – Bierz styczniki w kupki i pilnuj swojej dupki. Zaraz Luftwaffe pokaże twojemu Francuzikowi, jak się prowadzi okręty.

– Odpalaj! Od śmigła! Asy w powietrze! – ryknęły niezbyt zgranym chórem młode głosy z tylnych rzędów. – Dojcz-land! Dojcz-land!

– Bo jak zara posunę w te tłuste faszystowskie zady! – zapowiedział jakiś syty, soczysty bas.

Głosy ucichły.

– A tak naprawdę to najlepiej kierują okrętami Żydzi! – oświadczył ktoś od drzwi.

– Oho! Kapitan Issiah Meyer?! Jak pan się tu dostał? Dzień dobry, nawet pana nie zauważyłem…

– Wpadłem na chwilę. Czołem.

– Issiah! Słoneczko ty moje! Jak tam twoje życie płciowe?

– Dziękuję, Lindo. Nie narzekam. Tylko pasywne nieco. To znaczy nasz sławetny szef sztabu codziennie mnie w każdy możliwy otwór…

– Akurat komuś by się udało ciebie w dziurkę! To raczej ty każdego… – znowu odezwał się soczysty bas.

– Przepraszam, mogę przejść, panie kapitanie? – powiedział niecierpliwie ktoś tuż obok niego.

– Wchodź! – Meyer odsunął się machinalnie, gdy nagle stanął jak wryty i głośno przełknął ślinę. – Hej! Czekaj! Werner? – wykrztusił. – Kurwa, to ty… czy jak?

– No ja. A ty kto? – zapytał ponuro Andrew, ostrożnie przepychając się obok obwieszonego paradnymi zdobieniami Meyera. Miał na sobie tylko narzędziową kamizelkę, z której wystawały końcówki różnych narzędzi, i jednym z nich już zdążył zahaczyć adiutanta Tyłka.

– Przecież to Izajasz! – wyjaśnił ktoś z wachty Falzfein.

– A niechby i Mojżesz! Kapitanie, proszę się nie ruszać, bo poobrywam panu te wszystkie brzękadełka.

– A w cholerę z nimi! Andy! Coś ty, nie poznajesz mnie? Jestem Issiah Meyer!

Werner wyszarpnął z Meyerowych naszywek i medali dwa *krokodylki,* starannie odplątał z jego guzika nawinięty nie wiadomo jak i kiedy przewód i w końcu popatrzył na twarz kapitana.

– Issiah? – zdziwił się. – Nie może być… Ale tak, Issiah. To ci numer! A ja myślałem, żeś ty na „Skywalkerze", wiesz…

Andrew zmienił się na twarzy. Otaczający ich astronauci zaczęli wymieniać znaczące spojrzenia.

– Ciii! – Meyer zniżył głos do szeptu. – Nic nie wiem i ty też nie. No to witaj! – zakończył głośno.

– Dzień dobry – wolno powiedział Werner, wpatrując się w Issiaha z niezrozumiałym dla otoczenia zmieszaniem. – Przepraszam, ale ja tu muszę… Znajdziesz mnie potem, dobrze?

– Na pewno! Słuchaj, a dlaczego ciągle jesteś porucznikiem?

– Potem ci opowiem – obiecał Andrew, przebijając się już przez tłum do linii terminali. Ciągle jeszcze wyglądał na co najmniej zaskoczonego. Dopadłszy fotela Ive, chwycił się zagłówka, odetchnął. Candy zauważyła, jak zbielały mu palce wczepione w miękki plastyk.

– Co jest? – zapytała.

– Zobaczyłem ducha – wymamrotał Werner, nie patrząc jej w oczy. – To nic. Bzdury. Ale tu tłum… Hej, Di Lanza! Ettore, gdzie jesteś?

– Tu, szefie! – krzyknął technik siedzący przy najdalszym terminalu.

– Skocz, proszę, do centralnego rdzenia. Coś tam Fredowi znowu nie wychodzi.

– Fredowi nic w życiu się nie udaje, szefie. On jest urodzonym Jonaszem.

– No to mu to powiedz.

– Teraz?

– Przykro mi, teraz.

– Nie ma sprawy, szefie. Tu już wszystko dostroiłem. – Technik niemal po głowach nawigatorów ruszył ku wyjściu. Mało który z członków załogi „Skoczka" dałby się tak szybko namówić na opuszczenie pomieszczenia teraz, na kilka chwil przed interesującym widowiskiem. Większość z zebranych w bibliotece astronautów o pracy nawigatorów miała bardzo mgliste pojęcie. Z pokładu działowego czy z sekcji reaktora nie bardzo wiadomo, jak i właściwie dokąd leci okręt. Duże ekrany nie były tam montowane. A dziś obraz – nieważne, że fałszywy – był wyprowadzany na dwa monitory o przekątnej trzech metrów.

– Twoi ludzie są tacy… obowiązkowi – Ive znalazła pasujące określenie. – Jak ci się ich udało tak wyszkolić przez te dwa tygodnie…

– Fajne chłopaki – pokiwał głową Andrew, wpatrując się w jej twarz. Ive poczuła, jak po plecach przebiegają jej ciarki. – Dobra, powodzenia. Na mnie też czas.

– To po co przyszedłeś? – zdziwiła się Candy. – Przecież mogłeś kanałem wideo?

– Nie domyślasz się? – zapytał i wtedy pomyślała: *Zaraz mnie pocałuje. Przy wszystkich. Zwariował. A ja go tak obejmę…*

Jednak jej nie pocałował. Ale popatrzył tak, że otaczający ich niemal zaczęli klaskać. Odprowadzany zawistnymi spojrzeniami skierował się do wyjścia. Nim zniknął w korytarzu, jeszcze raz popatrzył na kapitana Meyera.

– Stan gotowości za dwie minuty – zameldował Christoff. Ive łaskawie skinęła głową. Przeszła już od rozmyślań o tym, jak delikatny i czuły jest Andrew, do wspomnień, jakie szalone i wariackie było ich

wczorajsze spotkanie. Nagle zrobiło jej się gorąco.

Przy drzwiach Issiah wyjaśniał, że on i Werner są z jednego roku, ale dawno się nie widzieli. Pytał, dlaczego Andy zrobił się jakiś nerwowy i oschły, przecież wcześniej był duszą towarzystwa i wszyscy go kochali.

– Co tam gadać, to fajny chłop – tłumaczył któryś z widzów czekających na walkę nawigatorów. – Co się czepiasz? Ty się nie zmieniłeś? Łazisz tu jak bóstwo spacerów, cały się mienisz błyskotkami, gęba wyoblona na sztabowych obiadkach. A przecież byłeś mikrym, chudziutkim Żydusiem, myślisz, że cię nie pamiętam?

Potem ktoś zapytał Issiaha, kim był Skywalker, ale adiutant natychmiast odparował, że to tajemnica wojskowa.

W tylnych rzędach kibice wachty Kendall zaintonowali francuską piosenkę. Widocznie akcje przeciwników zaczęły spadać.

Fox przykucnął obok fotela Ive.

– Przecież mówiłem, że z ciebie i Andy'ego będzie wspaniała para – zabuczał jej do ucha.

Candy miała tak wspaniały humor, że nawet nie chwyciła kanoniera za nos.

– No to dawaj sygnał i ruszamy, co, Mike? – powiedziała tylko.

Grubas wstał, rozprostował potężne ramiona i ryknął, starając się przekrzyczeć hałasujący tłum:

– Wszyscy powsta-a-ać!

Hałas w pomieszczeniu natychmiast ustał.

– Gotowość! – spokojnie rzuciła Ive.

– Kendall – jest! – odpowiedział Christoff.

– Falzfein – jest!

– Zaczynam odliczanie. Do startu dziesięć… dziewięć… osiem…

– Przerwać! – polecił ktoś od drzwi niezbyt głośno, ale przekonująco.

Wszystkie głowy odwróciły się w tym kierunku. W progu stał Jean Paul Borowski. Zza jego pleców wyglądała master-nawigator Margo Falzfein i technik Di Lanza.

– Panowie oficerowie! – zawołała Kendall, podrywając się na równe nogi.

Tłum zgodnie stanął na baczność.

– I wciągnijcie brzuchy, astronauci – rzucił ZDO z pewnym obrzydzeniem. – Bo nie da się przejść. Kapitan Meyer do dowódcy grupy. Kapitan Stanfield również. Spocznij.

Issiah i Linda pośpiesznie wypadli na korytarz. Pozostali cofnęli się, robiąc przejście Borowskiemu. Ten podszedł do Ive, usiadł w jej fotelu i zarzucił nogę na nogę. Margo stanęła za jego plecami. Kiwając się lekko, tępo patrzyła na zebranych w pomieszczeniu.

– Co my tu mamy? – powiedział pierwszy oficer. – Nawigatorzy

zostają. Mike, gdzie twoja wolna wachta?

– Chyba wszyscy tu są – wymamrotał Fox, rozglądając się. – No tak, wszyscy tu są.

– Kierowanie ogniem też zostaje – skinął głową Borowski. – Pozostali won.

Kibice, wymieniając szeptem komentarze, ruszyli do wyjścia. Na twarzach nie było jednak widać rozczarowania. Pewnie – wyścig przepadł, ale w zamian niewątpliwie szykowało się coś ekstra.

– Uwaga – zaczął pierwszy oficer – zawody trwają, ale już bez żartów. Starsi nawigatorzy zajmują miejsca prowadzących. Kanonierze, daj im po dwóch strzelców na główny kaliber. Hej, sierżancie, jak was tam…

– Sierżant Di Lanza, panie commanderze, sir! – ryknął od progu technik.

– Masz na imię Ettore, tak? Pamiętam. Chodź tu, Ettore, przestroić sterowanie. Oto dysk z instrukcjami, proszę.

– Tak jest, sir! – wykrzyknął zarumieniony z przejęcia chłopak. – Proszę o minutę czasu, panie commanderze, sir!

Ive, pocieszająco klepnąwszy Christoffa w ramię, zajęła jego miejsce i z daleka puściła oko do rozczochranej i dziko strzelającej spojrzeniami Margo. Ta wydęła wargi i przez ramię rzuciła pełne nienawiści spojrzenie na ZDO. Borowski, obserwujący, jak Di Lanza odprawia czary w głównym bibliotecznym procesorze, od razu obejrzał się, wyczuwając jakimś cudem spojrzenie Falzfein.

– To nie jest, rzecz jasna, moja sprawa – powiedział wyczulony ZDO – ale tak, Margo, możesz się gapić na swojego męża. Na mnie nie warto marnować podobnych spojrzeń.

– To forma treningu – odparowała Margo.

– Ja ci zaraz urządzę trening w warunkach polowych – obiecał Borowski. – Z wyjściem na atak i manewrami unikowymi. Ja ci zaraz nawrzucam takich danych wejściowych, że żaden wibrator ich nie zastąpi.

Co się tu dzieje? – pomyślała Ive. – *Czy on ją z łóżka wyciągnął? Po co prowokuje? Przecież ona wyraźnie nie czuje się dobrze. I w ogóle po co ta sprzeczka przy młodszych stopniem…*

– Ty, pierwszy, lepiej nie majtaj jęzorem – poradziła Margo Falzfein lodowatym tonem. – Nie jesteśmy w szkółce. I nie otwieraj pierdolnika. Lepiej przełknij ślinę.

– Proszę o wybaczenie, pani kapitan – zaskakująco łagodnie powiedział Borowski. – Przepraszam za ten nietakt.

Po chwili, widząc, że jej rozjuszenie wcale nie rozchodzi się po kościach, dodał:

– Jeszcze raz przepraszam. Ale w ciągu ostatnich dziesięciu minut dwukrotnie pani ignorowała rozkaz przełożonego i starszego

stopniem. W cynicznej formie. Mam panią podać za to do medalu?

– I tak nie możesz – oświadczyła Margo. – Ani podać, ani zadać, ani wystawić, ani postawić. Impotent jeden. – Fuj, pani kapitan! – uśmiechnął się pierwszy oficer. Ten uśmiech nie zapowiadał jednak niczego dobrego. Młodsi nawigatorzy wciągnęli głowy w ramiona.

– Kochani, nie podkręcajcie się, dobra? – poprosił Fox, ostrożnie kładąc dłoń na ramieniu ZDO. – O co wam, do licha, chodzi?

– Bo czego się wypindrza! – atakowała Margo Falzfein. Miała dziwne, szklane spojrzenie. Widać było, że nie panuje nad sobą. – Zaproponowano mu, niemal pod nos mu podsunęli, a ten…

– Zamilcz, kapitanie – polecił Borowski, ciągle nie podnosząc tonu.

– Pocałuj mnie w dupę, commander! – odpowiedziała Margo.

– Wyjdźmy, proszę! – zaproponował pierwszy oficer czule, niemal mrucząc jak syty kot.

– Czy wyście, astronauci, powariowali? – zdziwił się kanonier, mocno chwytając Borowskiego za kołnierz.

– Starsi oficerowie za mną! – rozkazał ten, wyrwał się z uchwytu Foxa i szybko wyszedł z biblioteki.

– Jemu po prostu nie stoi! – wyjaśniła Margo Falzfein, a by zabrzmiało to bardziej przekonująco, przycisnęła dłoń do piersi.

Grubas popatrzył na nią z wyrzutem, pokręcił palcem przy skroni i opuścił pomieszczenie. Ive bez słowa ruszyła za nim.

Na korytarzu Borowski stał oparty o ścianę i patrzył w sufit.

– Co jest, Jean Paul? – wyszeptał Fox.

– Zaczynamy tracić ludzi – powiedział wolno pierwszy oficer. – Dwukrotna odmowa wykonania rozkazu. Dwukrotna. Tutaj musiałem ją zaciągnąć za rękę. A ta… suka…

– Czy ty jej w czymś przeszkodziłeś? – zapytał kanonier. – Mam na myśli, że zdjąłeś z narządu?

Stojąca obok nich Candy poczuła, że się rumieni.

– Przecież w ogóle z niego nie schodzi – machnął ręką Borowski. – Oczywiście, to nie moja sprawa, ale gdyby mnie ktoś zapytał, powiedziałbym, że onanizm na bojowych okrętach powinien odbywać się pod kontrolą lekarską. Zwłaszcza w przypadku ryczących trzydziestek. Przepraszam, Ivetta. Zmęczony jestem. Och, przecież Linda mnie uprzedzała…

– Linda też nie jest święta – zauważył Fox. – Psycholog…

– Linda jest w porządku, absolutnie – pokręcił głową ZDO. – A Margo nie. Ona już nie może służyć. Nie chce i nie może.

– I nie będę – leniwie wycedziła Falzfein, wychodząc na korytarz i biorąc się pod boki. – W każdym razie nie z tobą.

– Przestań! – Borowski odwrócił się. – Co ja mam do tego? Idź, Margaret. Pakuj się. Za dwie godziny czekam na ciebie przy głównej

śluzie. Z przyjemnością szarpnę dźwignię i popatrzę, jak cię zmyje w dół.

– Ach, biedaku! – westchnęła ta z rozczarowaniem. – A ja myślałam, że mi przynajmniej w pysk spluniesz. A tobie naprawdę nie stoi.

– To już nie jest ważne. Ważne, że idziesz pakować manele.

– Chciał mnie wydymać, ale mu nie stoi – oświadczyła w przestrzeń i prychnęła.

Z dolnej wargi spłynęła jej gęsta ślina i zawisła na kołnierzu. ZDO popatrzył na Margo ze smutkiem i znowu się odwrócił.

– Sram na waszą służbę – bez emocji powiedziała Falzfein. – I na waszego „Skoczka", któremu też nie stoi.

– Milczeć! – rozjuszył się Fox. – Spadaj stąd!

– A ty jesteś pedałem – oświadczyła Margo. – Tobie też nie stoi. A ty, Ivetta, jesteś zwyczajną idiotką.

– Kapitan Falzfein! – Borowski ciągle patrzył w ścianę. – Rozkazuję pani iść do kajuty i spakować swoje rzeczy. W śluzie za dwie godziny. W przeciwnym wypadku usunę panią z pokładu siłą.

– Zwyczajna idiotka – powtórzyła Margo. – Przecież wszyscy wiedzą, że cię pieprzy cała twoja wachta. A potem o tym opowiada. Czyżbyś myślała, że ktokolwiek o tym nie wie? Nikomu tu nie stoi. I wszyscy oni ciebie pieprzą. I kończą, i kończą… Nie cieknie ci z uszu?

– Kapitan Falzfein! – powiedział ZDO. – Jeszcze pięć sekund i wzywam dyżurną wachtę.

– Walą ją na trzy wały – spiskowym szeptem oświadczyła na ucho Foxowi Falzfein. – I kończą, i kończą. A z niej już wycieka…

– Kanonier zadygotał i nie bez trudu wsadził ręce do kieszeni. Miał na sobie speckostium i kosztowało go sporo wysiłku woli, by nie uderzyć tej wariatki. To, że dotąd była uczciwym i niezawodnym towarzyszem walki, przestawało mieć znaczenie. Ale w tej sytuacji jedno uderzenie mogło skończyć się dla Margo tragicznie. Nawet jeśli byłby to tylko policzek.

Borowski przełączył mikrofon na piersi.

– Grupa awaryjna do mnie – powiedział do kołnierzyka.

Ive stała skamieniała. Niczego bardziej nie pragnęła, jak uciec z tego miejsca, ale pierwszy oficer trzymał ją z tyłu za pas. Pewnie sam nie wiedział, co ma zrobić z rękoma.

– Ciekawe… – Margo usiłowała spojrzeć Candy w oczy. – Ciekawe, jak to jest, kiedy kończą w tobie we wszystkie dziurki? Czy cieknie potem z ciebie? A w tyłeczek to boli? I czy nie budzi w tobie wstrętu ssanie? Łykasz potem, Ivetta, co?

– Wy idźcie sobie na razie – powiedział Borowski, puszczając Kendall. – Macie pół godziny na relaks. Ja sobie poradzę.

– Nie idź! – syknęła Falzfein, stając im na drodze.

Ive, nie patrząc na nią, cofnęła się pod ścianę. Fox zasłonił Ive ramieniem.

– Opowiedz, jak to smakuje! – poprosiła Margo. – Nie ciągnie na wymioty?

– Aleś ty głupia! – bąknął kanonier. Nagle twarz mu się rozjaśniła i rozciągnęła w uśmiechu. – Przecież… Ale numer! Candy, nic jej nie opowiadaj.

– Niech umrze nieświadoma, płonąc z ciekawości – dodał Borowski, włączając się do gry. Nie było to przesadnie etyczne w stosunku do ciężko chorego człowieka, ale on i Fox już nie mogli się powstrzymać. Nie mogli dać Margo klapsa, ale byli gotowi doprowadzić ją do histerii.

– Michael, chodźmy już… – cicho odezwała się Ive.

– Oczywiście, słoneczko – powiedział grubas, obejmując ją w pasie i prowadząc po korytarzu w stronę pokładu mieszkalnego. Falzfein odprowadziła ich drapieżnym spojrzeniem i ruszyła już za nimi, ale chwyciła ją za rękę wzmocniona speckostiumem żelazna dłoń Borowskiego. W tym momencie Margo wydała z siebie dziki wrzask i rzuciła się, by rozerwać ZDO na strzępy.

Obok Candy i Foxa z łoskotem przemknęła awaryjna drużyna – pięciu w speckostiumach, obwieszeni różnokalibrowym sprzętem. Ive nie wytrzymała, zawisła na grubej szyi kanoniera i rozszlochała się.

* * *

Borowski znalazł Ive i Foxa na SDO, ciemnym i pustym z powodu orbitalnego dryfu. Master-nawigator Kendall zalewała się łzami, a kanonier uspokajał ją w miarę sił. Wyraźnie jednak zaczynało mu ich brakować.

– Daj sobie spokój, Candy – powiedział Borowski. – Przecież ona oszalała, czy można się na nią gniewać?

Ive przytaknęła skinieniem głowy i rozryczała się na głos. Mężczyźni, wymieniwszy spojrzenia, odeszli do kąta.

– No? Jak tam nasza Margo? – zapytał Fox.

– Złamała ząb.

– Komu?

– Sobie. Chciała gryźć, s-suka… – Borowski pokazał kanonierowi swój prawy rękaw. Na miękkiej powłoce speckostiumu wolno rozpełzała się kawerna.

– Ale jak było naprawdę? – przycisnął starszego oficera Fox. – Społeczeństwo ma prawo wiedzieć.

– Nic nie było. – ZDO opuścił wzrok. – Wywołałem ją przez interkom – wyjaśnił. – Mówię: *Idziemy do biblioteki.* Ona pyta się: *Po co?* Ja: *Będziemy pracowali.* Ona znowu: *Po co?* Ja mówię, że zmieniły się dane wyjściowe, Raszyn kazał. Wasze amatorskie wyścigi zmienimy w bojowy trening. Przerabiamy skok na Marsa…

– A po-o co-o? – zainteresowała się pochlipująca Ive.

– Nie podsłuchuj – powiedział grubas. – Lepiej się zrelaksuj. Słuchaj, Jean Paul, rzeczywiście po co?

– Znowu wojna? – spytała z niepokojem Kendall.

– Jaka znowu, w dupę, wojna… – Borowski podszedł do pulpitu starszego nawigatora, przy którym płakała Ive, i uspokajająco poklepał ją po ramieniu. – Taka tam operacja komercyjna. Piraci kradną Marsjanom rudę spod nosa. Skaczemy na północny biegun, obrabiamy powierzchnię, zwalimy parę ciężarówek, osłonimy desant… Wyluzuj, Candy.

– Akurat da się z wami wyluzować… – wymamrotała Ive i wyjęła spod pulpitu paczkę papierowych chusteczek higienicznych.

Pierwszy oficer, służbowo zainteresowany, przykucnął i zerknął pod panel sterowniczy.

– Co wy robicie z tymi chusteczkami? – zapytał, błyskawicznie przechodząc na właściwy sobie podejrzliwy i nieprzyjemny ton człowieka odpowiedzialnego za zaopatrzenie jednostki. – Pojemnik już pusty. Jecie je czy co?

– Nie… Wpychamy sobie… do dup… – odparła Kendal, wydmuchując nos.

– Niczego już nie ma – mamrotał pod nosem Borowski. – Zapasy: zero, paliwo: tyle o ile, uszczelki nie trzymają, ludzie ledwo żywi… Ja chcę znowu do wariatkowa, tam wszystkiego było w bród.

– Wiesz co – poprosił Fox – wariatkowo sobie daruj. Jesteś na „Skoczku" jedyny, któremu tam się podobało. Zatrzymaj to dla siebie.

Milcząca Ive zwijała chusteczki i pojedynczo wrzucała je do utylizatora.

– No i co było dalej? – zapytał po chwili kanonier. – Z Falzfein.

– Co? Aa… mówię jej, że zaraz po nią przyjdę, skoro ona tak… Przyszedłem. No a ta mówi: *I tak nie pójdę. Nie będę.* Ja do niej: *Margo, coś ty, zgłupiała?! Przecież jakoś jak na razie nie widziałem twojej prośby o dymisję. Więc biegiem marsz na posterunek. Skokami!* Ale widzę, że panienka coś jakby nie tego… Spojrzenie… Niech to! Co robić? Nie wiem. I nagle ona sama odwraca się do drzwi… *Dobra* – myślę – *udało się.* Ale się nie udało. Nie wiem, co ją tak zafiksowało na seksualnym gruncie?…

– Zapytaj Lindę Stanfield – poradził Fox. – Jest przecież naszym głównym specem od psychoz seksualnych. Szkoda tylko, że sama ciągle ma psychozę za psychozą.

Ive znowu chlipnęła.

– Przestań już, Candy! – zniecierpliwił się grubas. – Czego chcesz od kobiety, która przez całe życie nie miała ani jednego normalnego faceta? Takiego, żeby nie tylko dla seksu, ale też i dla uczucia?

– A ty skąd wiesz? – chlipnęła Kendall, ocierając łzy rękawem.

– Dlatego, że pewnie ani razu nie robiła loda – wyjaśnił Fox. – Marzyła, a nie zrobiła. Oczywiście, że można się przez to pieprznąć. Seksualne stłumienie straszna rzecz. Nie ma żartów.

– Wiesz to z wariatkowa? – rzuciła z ironią Ive. – Nie patrz na mnie! Odwróć się!

– Nawet jak jesteś zasmarkana – powiedział kanonier pouczającym tonem – to i tak jesteś najładniejsza na „Skoczku". A może i w całej Grupie F. Wszyscy cię uwielbiają. A tak nawiasem mówiąc: Margo nie kleiła się do ciebie?

– Zamknij się! – Kendall ponownie zaczęła chlipać.

– Coś ci nie wychodzą komplementy, Mike – zauważył ZDO. – A Margo nie kleiła się do nikogo. Może szkoda, że nie.

Fox wyjął z kieszeni ogryzek cygara i zapalniczkę, po czym nie zwracając uwagi na obecność Borowskiego, zapalił. Pierwszy oficer przyklęknął przy pulpicie i zajrzał w twarz Ive. Miał smutne, znacznie smutniejsze niż zazwyczaj spojrzenie. Mądre, bezdenne i nieco szalone oczy. Tęskne. Nagle Kendall objęła ZDO za ramiona i wtuliła mu nos w szyję.

– Co to będzie, Jean Paul? – zapytała szeptem. – Co z nami wszystkimi będzie? Przecież zwariujemy…

– Myślałem, że nadciąga nieszczęście – również szeptem odpowiedział Borowski. – Pomyliłem się. Ono już tu jest. Trzymaj się, Candy. Każdy może zwariować, tylko nie ty. Bez ciebie zginiemy. Jesteś naszą radością, symbolem Grupy F. Wszyscy się do ciebie modlą. Póki jesteś nasza, Candy, będziemy latali w kosmosie.

– Nie chcę na Marsa – cicho poprosiła Ive. – Znowu wojna. Mam tego dość… Jean Paul, kochany, zrób tak, żebyśmy nie lecieli na Marsa, przecież ty wszystko możesz…

– Wybacz – odezwał się po chwili pierwszy oficer. – Zapomniałaś, że już nie jestem dowódcą. Jestem tylko ZDO na „Skoczku".

– Możesz poprosić Andrew – poradził Fox – żeby coś uszkodził.

– Ja cię uszkodzę! – ryknął Borowski, wracając do zwyczajnego zetdeowskiego tonu. – Ja sam ci parę rzeczy uszkodzę. Kanonier dupiasty! Zresztą bzdura tam! Werner nie uszkodzi jednostki, choćby go cała flota prosiła – rzucił, wstając z kolan. – Został inaczej wychowany.

– Tak, tak – Fox znacząco podniósł palec wskazujący. – A kto katapultował reaktor na „Dekardzie"?

– Bzdury – pokręcił głową pierwszy oficer. – Folklor. Na

„Dekardzie” zwaliło się chłodzenie, dlatego reaktor zaczął dygotać. Wybuchł ogromny pożar, panika. Commander Fush zginął, a to był prawdziwy *driver*…

– Fusha zabito, chcesz powiedzieć.

– Mike, przestań pieprzyć głupoty.

– O czym mówicie? – zapytała Ive, usiłując bezskutecznie przejrzeć się w ekranie monitora.

– Takie tam… Mike wspomina stare legendy.

– Nie słyszałaś? – zdziwił się Fox.

– O czym?

– O buncie na desantowcu „Rick Dekard”.

– Mike! – huknął na kanoniera ZDO.

– O co chodzi, Jean Paul? Dlaczego Kendall nie może wiedzieć o takich rzeczach? Przecież już wie, do czego chłopcom potrzebne są dziewczynki.

– I niech się na tym zakończy jej kształcenie – rozkazał Borowski. – A ty, bom-bar-die-rze, na początek skasuj ten swój ogień. Do gwiazdki daleko.

– Może jeszcze włożę buty? – zaproponował Fox, krzywiąc się, ale wyjął z ust cygaro i starannie zgasił je o ścianę.

Pierwszy oficer wściekle zasapał, wysuwając do przodu żuchwę. Grubas z ciężkim westchnieniem wziął ze stołu jedną z ocalałych chusteczek i przetarł ścianę.

– Znakomicie – powiedział Borowski. – A teraz marsz po buty. Po obuciu zameldować się.

– Aye-aye, sir! Czy mogę powstrzymać się od okrzyków zachwytu?

– Biegiem! – ryknął ZDO.

Fox zniknął jak zdmuchnięty. Pierwszy oficer założył ręce za plecy i przespacerował się po stanowisku dowodzenia. Oczekiwał na pytania Candy i niemal natychmiast się doczekał.

– To był rzeczywiście bunt?

Hałaśliwie odsapnął i wykonał jeszcze jedną rundę od ściany do ściany.

– Czyli był – stwierdziła Ive. – Ciekawe. Siedem – osiem lat temu, tak? Jakoś prawie nic nie wiem o „Dekardzie”.

– Więc chyba nie musisz wiedzieć – mruknął Borowski. – Po co ci ten wymiotnik? We flocie i tak wystarczy gówna.

– A ktoś tu przed chwilą mówił, że jestem symbolem grupy F – przypomniała sobie Kendall.

– Grupa F jest czysta jak szkiełko laboratoryjne. Jak biała suknia narzeczonej. Jak ty, Candy.

– Skąd ci się wzięło, że jestem taka czysta?

– Bo ja mam nosa – oświadczył nerwowo pierwszy oficer. –

Widziałem, jak wyprowadzałaś „Enterprise” z pikowania. Powinnaś według instrukcji wskoczyć do modułu awaryjnego i odpalać. A ty kierowałaś jak gdyby nigdy nic. Jesteś astronautą, kapujesz?

– Nic nie widziałeś. Leżałeś nieprzytomny.

– To wersja oficjalna. Tak naprawdę serce mi zaszwankowało. Tylko żebyś nikomu nie mówiła, bo starego Borowskiego skasują na dół. Kumasz?

– Jeszcze by nie! Nie pękaj. Mogiła!

– Nie o to idzie! Ja ci podsuwam morał. Druga kampania marsjańska cała minęła mi pod znakiem głębokiego omdlenia. Nic nie wiem, niczego nie widzę, tak naprawdę o niczym nie mogę zameldować, panie dochodzeniowy, proszę mnie zostawić w spokoju. A w rzeczywistości w całej flocie panował totalny burdel. Po pierwsze, zużyte okręty. Po drugie, nikt już nie chciał walczyć. Czy tobie się podobało, jak nasz bohaterski desant rozpierdykał Red City? Nawet Tyłek powiedział, że niepotrzebnie wojujemy. Marsjanie raczej się poduszą pod tymi swoimi kopułami, niż polecą na Ziemię.

– Nie wiem. – Ive spuściła głowę i patrzyła na swoje bose stopy. Coś kazało jej przestać myśleć, tak na wszelki wypadek. Zaczęła więc analizować opłakany stan swoich paznokci. – Jakoś się nad tym nie zastanawiałam…

– A było sporo takich, co się zastanawiali. Słyszałaś o kapitanie Reezie?

– Jasne! Służy teraz na „Gorbowskim”. Dziarski facet.

– Ten dziarski facet spalił własnym wydechem dwa albo i trzy własne kutry desantowe. Może nie najlepsza forma protestu, ale…

– To niemożliwe! – Kendall tak zgłupiała, że nawet zapomniała o swoim zmasakrowanym pedikiurze, który jeszcze kilka sekund temu interesował ją najbardziej na świecie.

– Możliwe, Candy, możliwe. Reez oczywiście był sądzony. A teraz jest kapitanem na okręcie, który leci wykonać zaplanowane bohaterskie działania. Prawdopodobieństwo pomyślnego powrotu „Gorbowskiego” szacuje się na dziewięćdziesiąt procent, ale sądzę, że kłamią. Wszystkie zamieszkane globy ślą kapitanowi Reezowi zachwycone epistoły. Dzieciom opowiada się o tym, jakim jest bohaterem. A o tym, co Reez zrobił nad powierzchnią Marsa, nie wie prawie nikt. Ci, co wiedzą, milczą. Jak ja na przykład. Chociaż upiornie mnie ciekawi, pod jakim warunkiem pozostawiono go przy życiu.

– To niemożliwe… – powtórzyła Ive pełnym rozpaczy głosem.

– Dokoła same paradoksy – westchnął Borowski. – Co się tyczy „Dekarda”… Dobra, powiedziałem A, powiem i B. Zresztą… Wybacz, Candy, to, rzecz jasna, nie moja sprawa, ale wolę sprecyzować. Czy wy z Wernerem się kochacie?

Kendall zarumieniła się i odwróciła.

– A ty skąd go znasz? – zapytała, nie podnosząc oczu.

– Wszyscy go znają – uśmiechnął się ZDO. – We flocie są tylko dwaj rosyjscy astronauci. To jak ich nie znać? OK. Wpadnij do biblioteki za dziesięć minut. Dobra? Możesz kierować?

– Jestem gotowa.

Borowski skinął głową i udał się do wyjścia.

– Jean Paul! – zawołała Ive.

– Co? – Odwrócił się.

– Chciałam… No wiesz, jesteś kochany, Jean Paul.

– Wiem – powiedział pierwszy oficer niedbałym tonem, ale mimo wszystko trochę skonfundowany. – Mówiła mi żona.

Candy roześmiała się. Borowski wyszedł, puszczając jej spiskowe oko. Był bardzo rad, że udało mu się zlikwidować wszystkie burze i na powierzonym mu okręcie zapanował względny porządek.

Przynajmniej na jakiś czas.

* * *

Battleship „Luke Skywalker” nie wyróżniał się specjalnie nowatorską konstrukcją i już pod koniec pierwszej kampanii marsjańskiej był porządnie zużyty. Kiedy więc policja zapragnęła większej jednostki do osłony, właśnie „Skywalker”, sapiąc i gubiąc części, poczołgał się z nią do Pasa grzmocić w piracką bazę. Ta stara balia miała akurat w tym rejsie zużyć resztę swoich zapasów.

Policyjne drobiazgi odczepiły się od nieruchawych megadestroyerów i skoczyły w Pas, a „Skywalker” opuścił konwój i ruszył do sektora, którym przypuszczalnie miały uciekać niedobite pirackie statki. Zajął pozycję i po kilku godzinach zniknął. Nagle przestał nadawać dane telemetryczne. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, że tak potężny statek może zostać zniszczony, zwłaszcza że piraci rzucili się do ucieczki innym kursem.

Tak więc battleship milczał, jakby mu ktoś oderwał wszystkie anteny. Ponieważ jednak w Pasie i w okolicy odbywały się prawdziwe wyścigi na przeżycie, nie było kogo wysłać, aby sprawdził, co się stało.

Pozabijawszy kogo trzeba, a co poniektórych nawet aresztowawszy, policja pchnęła wreszcie do „Skywalkera” destroyer, pakując nań na wszelki wypadek nawet brygadę remontową. Jednocześnie dowódca eskadry zaczął przygotowywać zjadliwą depeszę, którą chciał wysłać do sztabu Grupy F – że jakbyśmy wiedzieli, tobyśmy nie prosili, i kto czym myślał, wysyłając na

poważną akcję taki latający chłam. Ale wtedy zidiociały dowódca destroyera zameldował, że nie widzi nigdzie uszkodzonej jednostki. Najpierw dostał polecenie, by nie darł ryja na cały Słoneczny, tylko szukał odłamków. Potem ktoś się zorientował, że sprawa jest mętna. Ustawiono szyk i rozpoczęto poszukiwania w okolicy. Ale battleship jakby zanurzył się w Pasie, co oczywiście było wykluczone z powodu gabarytów i kiepskiej zdolności manewrowej okrętu.

Policyjny dowódca należał jednak do prawdziwych *driverów,* poszukiwania i akcie ratunkowe przyniosły mu medale, więc kiedy admiralicja otrzymała jego pokutniczy meldunek, nie usiłowała zwalić winy na faceta, a znalazła winnego we własnym gronie. Oddała pod sąd szefa sztabu Grupy F – powodem była utrata czujności. Nikt nie miał wątpliwości – battleship zdezerterował. Tak samo łatwo wyjaśniono motywację załogi – „Skywalker" nieraz latał na Wenus, gdzie jego dowódca mógł skumać się z miejscowymi. Wiadomo było, że neutralna Wenus gromadzi po cichu okręty bojowe. Planeta szykowała się do buntu.

Oczywiście i śledztwo, i rozprawa miały charakter ściśle tajny. Oficjalnie ogłoszono, że „Skywalker" zaginął bez wieści. Skazanego szefa sztabu rozstrzelano jakoby za złodziejstwo na szczególnie dużą skalę. W rzeczywistości dostał izolatkę, żeby można było urządzić konfrontację z dowódcą „Skywalkera". Uprzątnięcie w ten sposób żołnierza nie sprawiało żadnych trudności – większość astronautów nie miała na dole ani rodzin, ani przyjaciół. Kto miał się interesować tym, gdzie człowiek zaginął? A ci z ciekawskich, co służyli na górze, sami milczeli, nie chcąc znaleźć się w podobnej sytuacji.

Szef sztabu Grupy F okazał się jednak człowiekiem o niezwykle silnej woli. Nie jest łatwo utopić się pod więziennym prysznicem, może to zrobić tylko ktoś niezwykle uparty. On oddychał wodą tak długo, aż się zachłysnął. To potwierdziło, że miał coś na sumieniu, jakieś grzeszki, a może i zbrodniczy spisek. Na wakat szykowano Uspienskiego, lecz ten opierał się jak mógł. Wtedy to miejsce dostał Essex, któremu w prywatnej rozmowie poradzono, by trochę utemperował tego Ruskiego i w ogóle zaprowadził w Grupie F porządek. Essex z Uspienskim porządnie się z radości upili i od razu, nie wstając od stołu, pokłócili na amen. Aż do przejścia na *pan.* Co dowodzi, jak awans w pracy psuje charakter.

O „Skywalkerze" zapomniano na jakiś czas. Zwłaszcza że agenci na Wenus nie potrafili znaleźć śladu buntowniczego okrętu.

Na tym burdelu z zagadkowym zniknięciem okrętu liniowego zyskała policja, która otrzymała trzy nowiuteńkie battleshipy. Na okoliczność, gdyby spróchniały, ale ciągle dobrze uzbrojony „Skywalker" nagle pojawił się w charakterze jednostki przewożącej przemycaną rudę albo jako – co gorsza – piratów.

Ale battleship nie zhańbił swojego imienia i po miesiącu pojawił się – jak przystało na bohaterski okręt bojowy zaginiony bez wieści – w postaci modułów awaryjnych.

Pierwszy moduł zlokalizował patrol policji. Kawałek sekcji dziobowej przeznaczonej do ratowania personelu SDO snuł się nad Pasem cały, ale pusty. Dane z czarnej skrzynki wykazały, że zrzut modułu miał miejsce nie tam, gdzie battleship powinien się znajdować, nim zamilkł. „Skywalker" wykonał niemal niewyobrażalny skok wzdłuż Pasa, a potem najwyraźniej usiłował się schować za którąś z asteroid. Policjanci rozpoczęli bardziej aktywne poszukiwania i po tygodniu trafili na jeszcze jeden moduł – sekcji celowniczej. Też pusty.

Wtedy do operacji ratowniczej dołączyła admiralicja. Grupę F zatrzymano obok Marsa, a całą resztę armii wysłano do Pasa. W wyniku niemających precedensu poszukiwań znaleziono jeszcze cztery moduły. Ale i to nie rozwiązało tajemnicy „Skywalkera". W modułach byli ludzie. Dwudziestu. Tylko że cała dwudziestka w chwili katastrofy należała do wachty odpoczywającej.

Oznaczało to, że leżeli w kubrykach, nie rozbierając się, w zamkniętych maskach speckostiumów, podłączeni do pokładowej magistrali powietrznej, żeby nie zużywać zawartości swoich zbiorników. Obudziło ich straszliwe przeciążenie, a potem gdzieś na dziobie rozległo się silne babach! „Skywalker" zakoziołkował, przeciążenie wzrosło jeszcze bardziej i commander Banks wrzasnął przez interkom: *Wszyscy skakać!* No to skoczyli. I nikt więcej. Przylgnąwszy do ekranów w modułach, ocalali członkowie załogi usiłowali przyjrzeć się porzuconej jednostce, ale przestrzeń była pusta.

Oczywiście długo i upierdliwie przesłuchiwano ich na okoliczność siły przeciążenia i co to było za babach! Ustalono, że battleship rzeczywiście gwałtownie skoczył przed siebie, że otrzymał potężne uderzenie w skroń, a następnie pełnym ciągiem ruszył w kierunku Pasa. Tyle. Za kim pędził commander Banks, czym oberwał w dziób, przed kim uciekał – wszystko to zostało zagadką.

– Może Obcy? – zapytał jakiś mądry w admiralicji, ale załapał się dzięki temu tylko na potworny opeer.

– Na pewno Obcy – uznał Uspienski i na nic się nie załapał, ponieważ powiedział to szeptem i pod nosem.

– Hej, commander! Słyszałeś, że Obcy załatwili „Skywalkera"? – zapytał go Abraham Fein, którego przypadkiem spotkał na dole.

– Ciszej, Abe – poradził mu Uspienski. – Przecież wiesz, że jakieś ścierwo zaraz zakapuje.

– Proszę lepiej wpaść do nas do zwiadu, póki jeszcze tu jestem – powiedział Fein. – Pokażę panu archiwum. Ciekawe, kurna.

– Dowództwo widziało to archiwum? – zainteresował się

commander.

Fein splunął i odszedł. Nawet zwiad nie wierzył w Obcych. Oczywiście wielu członków dowództwa rozumiało, że w kosmosie ciągle i stale dzieje się coś, czego ludzie na razie nie są w stanie zinterpretować. Czasem to coś łykało scouty i holowniki. A teraz pacnęło w battleship. Ale uznanie zagadkowych anomalii za rozumne siły – to już śmierdziało schizofrenią. Kosmos był okrutny, ale po dokładnym przyjrzeniu się – zawsze martwy.

Minęło kilka miesięcy, gdy na trawersie Ziemi odnaleziono nagle kolejny moduł „Skywalkera", a w nim nieprzytomnego porucznika Issiaha Meyera. Miał pokancerowaną twarz, zaś przy życiu utrzymywało go zasilanie medyczne zwane *ostatnią szansą*. Doprowadzono go do przytomności, podziwiając odwagę i spryt chłopaka. Meyer mógł mówić, niestety też niewiele wyjaśnił. W chwili niespodziewanego skoku porucznik pracował w bibliotece. Oczywiście *kaganiec* speckostiumu miał, wbrew instrukcji, odpięty. Kiedy „Skywalker" skoczył jak od ukąszenia w ogon, porucznik walnął czołem w monitor i na kilka sekund się wyłączył. Oprzytomniał, kiedy uszy zaczęły mu spełzać na ramiona, a oczy już prawie wypływały. Zamknął maskę, ponieważ jednak gęba mu się mocno zmieniła, to siłowniki jeszcze bardziej potargały policzki i podbródek. Łykając krew, złapał oddech i miał biec do SDO, ale Banks kazał skakać, więc Meyer zanurkował do najbliższego włazu awaryjnego. Poza nim nikt nie dobiegł do tego modułu i porucznik pozostał sam.

Tak samo jak i pozostali uratowani, Meyer, zgodnie z instrukcją, czekał na przybycie *katafalku*. Innych modułów w pobliżu nie było, nie udało się więc nawiązać z nimi kontaktu radiowego. A *katafalk* jak nie nadlatywał, tak nie nadlatywał.

Być może Meyera po prostu przegapiono. Moduł w coś walnął podczas odstrzału, nie wyszły mu anteny zewnętrzne i baterie słoneczne. Dlatego milczało radio, a systemy podtrzymywania życia niebezpiecznie pochłaniały energię akumulatorów. Na dodatek porucznik, w końcu nawigator, kiedy się rozejrzał, to zrozumiał, że został wyrzucony nie wiadomo gdzie, ale na pewno nie tam, gdzie należało. Niebezpiecznie blisko Pasa. Tak na oko – nad strefą bogatą w żelazo, gdzie skanery *katafalku* mogą go nie dojrzeć. Meyer usiadł w kąciku i zaczął czekać pełen nadziei, że pomoże optyka.

Nie pomogła.

Po miesiącu Pas zaczął ściągać moduł do punktu zwrotnego. *Jeśli mam czekać dalej* – myślał porucznik – *to mocy silnika modułu nie wystarczy, żeby oderwać się od Pasa i skierować ku Ziemi.* Albo jeśli spóźni się z manewrem, moduł ruszy do domu z tak mizernym przyspieszeniem, że Meyer nie dożyje końca podróży. Skończy się prowiant, zużyje tlen, wyładują się akumulatory. Jedną jedyną szansą

było resztką energii skierować moduł ku Ziemi, wtedy może się uda i ktoś go zauważy.

Oczywiście zdawał sobie sprawę z małego niuansu – zapas paliwa mógł wystarczyć na jedno lądowanie, i to przy oszczędnym gospodarowaniu. W końcu moduł to nie jednostka, nawet nie szalupa, a tratwa. Na szczęście tratwa wojskowa, więc jakiś tam silniczek został upchnięty.

Gdyby porucznik po prostu skoczył w kierunku Ziemi, miałby zero szans na miękkie lądowanie. W zasadzie ktoś musiałby go zobaczyć z orbity. Nawet bardzo powinien, jeśli nie chciał trafić na opeer, ale wokół Ziemi lata tyle żelastwa… Przykro byłoby spłonąć w atmosferze, podziwiając panoramę rodzinnej Błękitnej Planety. Dlatego Meyer postanowił zaryzykować i ruszyć do Ziemi po stycznej, żeby przelecieć przez maksymalną liczbę skanowanych stref. Przestroił silniki i wystartował. A sobie walnął *ostatnią szansę* – kompleksową iniekcję z witamin i inteligentnego narkotyku stymulującego organizm do wejścia w pseudoanabiozę. Tlenu miał też przecież tyle, co na kilka wdechów.

Nie pomylił się. Zauważono go, wyłowiono, obudzono.

Zachwycona wyczynem porucznika ojczyzna ogrzała go, nakarmiła, przepytała, wręczyła medal i zainteresowała się nawet, czego bohater sobie życzy. Meyer na początek zażądał operacji plastycznej, potem skierowania na kurs zmiany kwalifikacji. Ojczyzna nie odmówiła. W zamian zażądała tylko, by o „Skywalkerze" i swoim dryfie nigdy i nikomu ani mru-mru. Oraz odbyła z porucznikiem treściwą rozmowę w biurze armijnego kontrwywiadu. Później został wypuszczony, żeby dalej sobie wojował.

Otrzymał twarz nie gorszą od tej, którą miał poprzednio. Tylko żeby już nigdy nie brać udziału w patrolach, zmienił specjalność z nawigatora na sztabowego analityka. Bardzo szybko dołączył do sztabu Essexa, a następnie został jego adiutantem. Ożenił się (zuch!), wystrugał kupę zdrowych, normalnych dzieci (niektórzy to mają szczęście!) i ogólnie sprawiał wrażenie optymisty. Pytany, na czym latał, albo kłamał, albo wykpiwał się żartem.

Co zaś do „Skywalkera", to ten po kilku latach zaczął sypać się na Marsa. Tak nienachalnie, jakby częściami zapasowymi. Udała się więc tam kompetentna i wykwalifikowana komisja, z porucznikiem Wernerem w składzie. Badanie nie przyniosło żadnych sensowych wyników. Udało się tylko wyjaśnić, że battleship został rozdarty na strzępy przez niesamowicie silną eksplozję. Odłamki ciągle jeszcze promieniowały, dlatego komisja, kiwając głowami, uznała, że statek został rozkawałkowany przez reaktor. Oczywiście nijak się to nie wiązało z zagadkowymi manewrami ani z babachem! w części dziobowej. Ale komisja jak to komisja – musiała produkować takie

ekspertyzy, które przełożeni będą uprzejmi łyknąć.

Aha, Werner znalazł wtopiony w poszycie napierśnik speckostiumu. Od wewnętrznej strony miał wyraźne ślady krwi, a od zewnętrznej tabliczkę *por. I. Meyer*. Przyszły master-technik na „Skoczku" nie bez trudu przypomniał sobie kolegę z roku. Wzruszył ramionami, o znalezisku zameldował zgodnie z regulaminem i więcej się nad tym przypadkiem nie zastanawiał. I tak niemal połowa jego roku zginęła na „Skywalkerze". A potem Andrew został nieoczekiwanie przeniesiony na dół, by wpaść w odmęty takich osobistych problemów, że niemal sam się rozsmarował na ścianie.

Tak więc Werner, widząc na pokładzie „Skoczka" kolegę z roku, kolegę żywego i nieuszkodzonego, na dodatek w mundurze adiutanta, nie był zdziwiony tylko dlatego, że go nie poznał. Ale Meyer sam mu o sobie przypomniał.

W tym momencie Andrew poczuł się źle, gorzej i do dupy.

Może dlatego nie pocałował Ive w tej nabitej ludźmi bibliotece.

A chciał.

* * *

Linda zatrzymała się obok swojego gabinetu.

– Idź – powiedziała do Issiaha, skacząc za drzwi – dogonię cię. Muszę nałożyć buty.

Adiutant skinął głową i ruszył korytarzem. Ale nagle otworzyła się śluza i na teren pokładu mieszkalnego zaczęła wchodzić cała delegacja.

Na czele kolumny maszerował mały zestaw ochrony kontradmirała Tyłka w liczbie sześciu potężnych łebasów z bronią automatyczną. Za nimi podążał sam Essex, tłumacząc coś półszeptem Raszynowi, rozzłoszczonemu i nastroszonemu. Pochód zamykał master-technik porucznik Werner. Z boków podpierali go dwaj ochroniarze Raszyna. Mieli miny ekstremalnie wojownicze i Issiah przez chwilę sądził, że właśnie dokonali aresztowania jego kolegi. Ale nagle Raszyn podniósł głowę, zobaczył Meyera i powiedział: *Aha.*

Issiah strzelił obcasami, jednak goryle już profesjonalnie chwycili go za frak, obrócili twarzą do ściany i przeskanowali od stóp do głów zręcznymi dłońmi.

– O co wam chodzi?! – obruszył się adiutant.

– Milczeć, kapitanie! – ryknął Essex, więc Meyer rozsądnie zamilkł.

W jego kieszeniach znaleziono kilka plastykowych kart, paczkę

serwetek i ramkę z holograficznym zdjęciem rodziny.

– Nie za wiele – podsumował Raszyn. – No to jak, przyznasz się?

– Do czego? – zapytał szczerze zdziwiony Issiah.

Z gabinetu wyszła Linda, już w butach, starannie uczesana. Zaskoczona wbiła wzrok w rozpłaszczonego na ścianie Meyera.

– Co się dzieje? – zapytała. – Napastowanie?

– Phil, to nasza pani psycholog Stanfield. Polecam – przedstawił ją Tyłkowi admirał.

– Znam ze słyszenia. – Wyszczerzył zęby Essex, podając Lindzie rękę i pochłaniając wzrokiem jej potężny biust. Kapitan Stanfield zasalutowała, rozpłynęła się w uśmiechu i grzecznie uścisnęła rękę szefa sztabu.

– Chyba się spotkaliśmy na dole – zagruchał Tyłek, nie mogąc oderwać spojrzenia od wypukłości pod kombinezonem kapitan Stanfield.

– Bardzo możliwe – odpowiedziała podobnym tonem.

– Kończymy! – warknął Raszyn. – Linda, idziemy do ciebie. Możemy?

Odruchowo wykonała zapraszający gest, a ochrona natychmiast wciągnęła Issiaha do gabinetu. Za nimi weszła kadra. Stanfield rzuciła zatroskane spojrzenie Wernerowi, ten jednak wskazał podbródkiem drzwi i zgodnie z regulaminem wszedł do pomieszczenia jako ostatni. Ochroniarze Raszyna w pełnych napięcia postawach pozostali na zewnątrz.

Gabinet Lindy był trzy razy większy niż admiralski, wyposażony w przytulne fotele, obrazy na ścianach i inne rozluźniające akcesoria. Essex, widząc dokoła siebie za dużo przestrzeni, od razu przygarbił się i wsunął w kąt. Rzeczywiście, jak na mieszkalną sekcję okrętu bojowego i na dodatek tylko cruisera, było tu nadspodziewanie dużo miejsca. Takie apartamenty przysługiwały jeszcze tylko doktorowi Epsteinowi, ale on wszystko zagracił wyposażeniem medycznym.

Ochroniarze Tyłka cisnęli Issiaha na fotel i groźnie zawiśli ze wszystkich stron nad zapadniętym w siebie aresztantem.

– Dobra robota – pochwalił ich Raszyn. – Jesteście wolni.

Dowódca ochrony popatrzył zdziwiony na Esseksa. Ten skinął głową i żołnierze z niezadowolonymi minami wyszli za drzwi.

– Czyli tak… – Admirał założył ręce za plecy, podchodząc do Meyera. – Siedź, siedź, nie wstawaj…

– Czy mogę skorzystać z pani terminala? – zapytał szef sztabu Lindę.

– Tak, proszę… – Widocznie już zrozumiała, czego od niej oczekują, bo od kilku chwil patrzyła badawczo na przestraszonego Issiaha. Essex z widoczną ulgą ukrył się za biurkiem, odwrócił do siebie monitor i zaczął katować pulpit kontaktowy.

– Zablokowałem łączność – poinformował po chwili. – Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

– Czyli tak – powtórzył Raszyn – to jest przesłuchanie. Ja będę zadawał pytania, a ty, Meyer, będziesz odpowiadał. Szybko i dokładnie. Łapiesz?

– Tak jest… – wymamrotał Issiah.

– Imię, nazwisko, stopień – obojętnym tonem rzucił dowódca.

– Kapitan Meyer, starszy pomocnik dowódcy sztabu wzmocnionej brygady Attack Force, panie admirale, sir!

– Gdzie zostałeś wyszkolony?

– Miasto Vancouver, Stany Zjednoczone, Wyższa Specjalistyczna Uczelnia Wojenno-Kosmiczna, wydział nawigacji, panie admirale, sir! Następnie kursy analityków sztabowych na bazie Orly, Paryż, Europa, panie…

– Proszę bez tytułów.

– Tak jest, sir!

– Dokąd skierowany po zakończeniu uczelni?

– Wielki Okręt Bojowy „Pirx". Młodszy nawigator, sir. Po zakończeniu przekwalifikowania Wielki Wielofunkcyjny Okręt „John Gordon", sir!

– Zgadza się – skinął głową Essex, patrząc w monitor. – Dobrze łże. Ale ja ten plik sto razy oglądałem…

– Kto to? – zapytał Issiaha Raszyn, wskazując Wernera, który niezbyt elegancko przysiadł na krawędzi stołu i przez ramię Esseksa gapił się w monitor.

– To jest Andrew Werner, sir. Kolega z roku, wydział techniczny.

– Twój kolega z roku twierdzi, że latałeś nie na „Pirksie", a na „Skywalkerze". Ma na to przekonujące dowody.

– To niemożliwe, sir – twardo powiedział Meyer, prostując się w fotelu. – WOB „Pirx", sir. Młodszy nawigator. A z porucznikiem Wernerem, sir, proszę o wybaczenie, ale spotykaliśmy się wyłącznie na dole i rozmawialiśmy raczej o dupach niż sprawach służbowych.

– Jesteś przekonany, Issiah, że to samo powiesz w hipnozie? – zapytał admirał.

Linda wsunęła ręce do kieszeni i wychyliła się do przodu.

Adiutant opuścił wzrok i jakoś cały obmiękł.

– No? – przycisnął go Raszyn. – Nie słyszę odpowiedzi, kapitanie Meyer czy jak tam…

– Dlaczego wierzycie jemu, a nie mnie, sir? – wymamrotał Issiah. – Proszę popatrzeć, ile lat służy, a ciągle jest tylko porucznikiem. Przecież to psychol, wszyscy to wiedzą.

– Nie bardziej niż ty… – wycedził Andrew.

– Ciii! – powiedział Essex. – Nie wtrącać się, **poruczniku.** To nie jest rosyjska herbaciarnia.

– Przepraszam, sir.

– No właśnie. Meyer, kto wymienił informacje w twoim pliku?

– Panie kontradmirale! – jęknął Issiah. – Przecież pan mnie zna!

– Odpowiadać!

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, panie kontradmirale! O co chodzi? Jaki „Skywalker"? Jasne, był taki WOB. Ktoś go w Pasie rozwalił, tak że same moduły zostały, a i te, jak ludzie mówią, puste…

– Ta historia ze „Skywalkerem" jest dobrze utajniona – westchnął Raszyn, zwracając się do Tyłka. – My też wiemy, że ruszył do Pasa razem z policją, a z powrotem nie wrócił. I koniec. Słusznie, znaleziono jakieś moduły awaryjne, ale czy był tam ktoś żywy, oficjalnie nie wiadomo. Na tym wpadł nasz przyjaciel Issiah…

– Nic nie rozumiem – jęknął ten niemal szeptem.

– Odłamki „Skywalkera" spadły potem na Marsa – wyjaśnił admirał. – I twój przyjaciel Andrew…

– To nie jest żaden mój przyjaciel! – zawył adiutant.

– Nie przerywaj. Żaden twój przyjaciel Andrew pracował w składzie komisji śledczej. I znalazł tam kawałek speckostiumu z tabliczką *por. I. Meyer*. Czy wystarczająco wyraźnie się wyrażam?

– Ależ Meyerów jest tyle we flocie co gówna! – wrzasnął Issiah. – Czy pan też zwariował? Kogo pan słucha? – Niemal ogłuchł od własnego krzyku i nagle zapadł się w fotel.

– Nie masz, przyjacielu, czystego sumienia – orzekła Linda.

– Gówna we flocie rzeczywiście jest sporo – zauważył Essex. – Ale Meyerów przez ostatnie dwadzieścia lat mieliśmy tylko trzech. I tylko jeden na I. A pozostali dwaj, Efraim i Mordechaj, są dowódcami batalionów desantowych. Co mieliby niby robić na battleshipie przypisanym do Grupy F? Co? Nie wydaje ci się, mój drogi adiutancie, że to właśnie ty jesteś tym pechowym Meyerem?

– A Werner został po tym właśnie odkryciu skasowany na dół – powiedział Raszyn. – I wpakowali go do obsługi, żeby nie gadał z astronautami.

– Tu już przesadziłeś – przerwał mu Tyłek. – Wernera sam skasowałem. Przecież mi nie powiedziałeś, że to twój…

Admirał popatrzył na Esseksa z wyrzutem i podrapał się po czubku głowy.

– Widzi pan? Nic się nie zgadza, sir – pośpiesznie wtrącił Issiah.

Andrew z wyrzutem odsunął się od Tyłka i wlepił oczy w podłogę.

– Przepraszam, poruczniku – jak na siebie dość życzliwie zaczął Essex – ale po wybuchu na „Wigginie" i zwłaszcza po „Dekardzie" nikt cię nie chciał brać. Pech za tobą idzie, rozumiesz? Sam widzisz, że ciągle dokoła jakieś syfy…

– Nie szukałem ich – cicho powiedział Andy, nie podnosząc oczu.

– Za bardzo jesteście przesądni! – uśmiechnęła się Linda. –

Posłuchajcie, panowie admirałowie, może byście wpadli kiedyś do mnie, co? Tak niezobowiązująco…

– Zdążymy – mruknął Raszyn. – Dobra, *Andriej,* nie chowaj urazy. Poza tym tę sprawę obgadamy później. Dobrze mówię, *Andriej?*

– Oczywiście, wszystko w porządku… – bez przekonania odparł Werner.

– No to jak tam stoimy z hipnozą? – zapytał rzeczowo admirał, odwracając się do Lindy.

– Zero problem, *driver.* Wyłuskam go na cacy.

– Będę wszystkiemu zaprzeczał – obiecał Issiah.

– Ależ z ciebie dureń! – roześmiał się Essex. – Co ty myślisz, że będziemy cię sądzili czy jak? Może jeszcze z przysięgłymi? Cha, cha, cha!

– Spuścimy cię w utylizator – wyjaśnił Raszyn. – Nie przejmuj się, nie będzie bolało. Zaaplikujemy ci *ostatnią szansę* i głową w dół do kanału. Przecież umiesz latać, nawigatorze.

– Nie odważycie się! – wyszczerzył zęby Meyer. – Tu nie Rosja! Zaraz po mnie skasują was!

– Posłuchaj, Lindo, dlaczego on jest taki agresywny? – zapytał admirał.

– Bo on od samego początku wszystko zrozumiał – wyjaśniła. – I nijak nie może się zdecydować: sypać od razu czy czekać. Teraz się wyładowuje, podbudowuje, ryczy na dowództwo. Korzysta szczurek z każdej chwili.

– Aaa… A Rosji, Issiah, lepiej nie tykaj. Rzeczywiście, tu nie Rosja, tu jak na razie ludzie żyją. Ale przez takich jak ty z Grupy F może zostać tylko kupa złomu. Więc opowiadaj, kim jesteś naprawdę. Bo czasu mamy bardzo mało. Nie żartowałem o zsypie, przysięgam.

– Będę potem wszystkiemu zaprzeczał – powtórzył Issiah.

– Coś się tak zaciął, *jołki-połki!* Mam w dupie, co powiesz potem. Ja muszę znać prawdę.

– A potem mnie zabijecie!

– Niekoniecznie.

– Czyli? – zdziwił się Meyer.

– My też potrzebujemy swoich ludzi w admiralicji – wyjaśnił z uśmiechem Raszyn. – Ile ci płacą?

– Na pewno więcej niż panu… – przyznał Issiah.

– Nie – rzucił admirał. – Ja mogę ci płacić według najwyższej stawki. Jak się dogadamy, niech stracę, wyjdziesz stąd żywy.

– Nie wierzę – twardo oświadczył Meyer. – To jest rosyjska podpierducha. Wy, Rosjanie, przehandlowaliście nas Arabom. A później cały świat Chińczykom. Rosję też sprzedaliście. Mnie też najpierw kupicie, potem sprzedacie. Rosjanie to najbardziej spryciulski naród na świecie. Pan, niech pan mi da gwarancje, Essex,

byle nie…

Raszyn podczas całej tej głębokiej wypowiedzi stał nieruchomo i nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Ale gdy Issiah zamilkł, admirał wykonał gwałtowny, niemal niedostrzegalny ruch prawą ręką. W kajucie rozległ się cichy trzask. Podłokietnik fotela, na którym Meyer miał nieszczęście siedzieć, rozleciał się na kawałki i coś z głuchym plaśnięciem uderzyło w ścianę.

Issiah wolno podniósł rękę, dotknął rozerwanego ucha, podniósł zakrwawioną dłoń do twarzy… Jego spojrzenie zrobiło się szklane.

Coś głośno trzasnęło – to admirał spuścił napięty kurek, przytrzymując go kciukiem.

W oczach Meyera pojawiły się duże łzy.

Admirał wolno schował do kieszeni na biodrze mały czarny pistolet.

– Wytrzymasz tortury, Żydeńku? – zapytał niemal czule.

– Matko Boska… – jakże chrześcijańsko wyszeptał Issiah, wpatrując się w swoje dygocące palce, z których kapała na podłogę krew.

– Boga nie ma – zauważył Raszyn. – W każdym razie dla ciebie.

– Bóg jest nienawiścią – powiedziała Linda. – A tobie, Issiah, na gwałt potrzebna jest miłość. Przy okazji, panie admirale, nie pozwalałam panu tu strzelać.

– Zaceruj mu szybko ucho – polecił dowódca. – I nie hałasuj mi tu. Żarty się skończyły. Od godziny mamy stan wojenny. Zastrzelę każdego, kto mi się nie spodoba.

– Dlaczego wojenny? – głośnym szeptem zapytał Werner.

– Bo lecimy na Marsa – mruknął Essex. – Dławić przemyt. Policjantów zabrakło, żeby ich!…

– Panie admirale! – zawołał Andrew. – Czy pozwoli pan? Może ja bym…

– Idź! – skinął głową Raszyn, nie odwracając się. – Do pracy. I dziękuję z całego serca.

– Tak jest. – Werner zasalutował Tyłkowi, podszedł do drzwi i odskoczył wystraszony. Na korytarzu sypały się wiąchy, jakie rzadko słychać nawet podczas walki. Wrzeszczał commander Jean Paul Borowski. W roli chłopców do bicia występowała ochrona, bohatersko niedopuszczająca ZDO do komunikatora na drzwiach gabinetu.

– Co tam znowu?! – wrzasnął Raszyn, zagłuszając admiralskim rykiem krzyki na korytarzu. – Wpuścić!

– Kur-r-rwa! – sapnął Borowski, przedzierając się przez ochronę. – O, pardon, sir! Mamy NW. Potrzebuję na gwałt Lindy. A tu… Przepraszam, sir! Ja może potem…

– Co za Niespodziewane Wydarzenie? Po co Linda? Ktoś ześwirował?

– Tak jest, sir! Starszy nawigator Falzfein. Najpierw kategorycznie odmówiła wykonania rozkazu, potem wzięła i się popierdoliła.

Zza parawanu wyjrzała Linda z pojemnikiem anestetyku w dłoni.

– Najwyższy czas – powiedziała.

– Która to Falzfein? – ożywił się Essex. – Taka laleczka blond z krągłym tyłeczkiem?

– Nie – machnął ręką Raszyn. – Blondynka to nasza Candy. A Falzfein jest szatynką. Nie znasz.

– Na razie walnęliśmy jej narkot – poinformował dowódcę Borowski, by zaraz dodać przepraszająco: – Ale jakoś strach, bo jeszcze się ocknie…

– Linda jest zajęta – kategorycznie oświadczył admirał. – A Margo rozstrzelać w pizdu. Nie mamy dla niej czasu.

– Co? – ZDO wytrzeszczył oczy.

– Niech pan zrozumie – powiedział Andrew, obejmując pierwszego oficera i wyciągając go na korytarz. – Widzi pan przecież, że tu ludzie są bardzo zajęci.

– Jak to: rozstrzelać? – wymamrotał Borowski.

– W pizdu – wyjaśnił Raszyn. – I zamknij drzwi.

Na korytarzu ZDO obrzucił oszalałym spojrzeniem ochronę. Goryle, słyszący całą rozmowę, miny mieli raczej takie sobie.

– Chłopy – zaczął pierwszy oficer – potraficie rozstrzeliwać?

Ci wymienili spojrzenia. Któryś nerwowo zachichotał.

– Może nie będzie trzeba?… – bąknął dowódca ochrony Essexa, dość sympatyczny bęcwał-kapitan.

– Porzuć złudzenia – ze smutkiem rzucił jeden z ochroniarzy dowódcy Grupy F, ukradkiem puszczając oko do Borowskiego i pokazując język. – Gdyby to Tyłek rozkazał, to może by się i upiekło. Ale skoro sam Raszyn… Nasz stary nie rzuca słów na wiatr. Radzę ci, wyciągaj archiwum, sprawdź, jak to się robi.

– Dlaczego ja? Dlaczego nie wy na przykład? – Kapitan zaczął dygotać.

– A dlatego, że pluton egzekucyjny musi liczyć co najmniej pięciu ludzi. Akurat tylu was jest, a ty dowodzisz. Machniesz ręką.

– Skurwiele! Jaja sobie robicie, tak?

– Nieee – pokręcił głową ZDO.

Ochroniarz otworzył szeroko usta. Potem je zamknął. Borowski był jeszcze rok temu zastępcą Raszyna do spraw operacyjnych i na tym stanowisku wprawiał w przerażenie całą Grupę F, póki nie trafił do wariatkowa. Gdyby nie te ostatnie okoliczności, byłby już kontradmirałem. Do chwili obecnej jedyną jednostką, na której nikt się nie bał Borowskiego, był jego macierzysty „Paul Atrydes”. Tu commander grał rolę czułego tatusia. Ale gdy pojawił się gdziekolwiek indziej – wszyscy w panice uciekali mu z drogi. Nawet uzbrojona

ochrona.

– Proszę się przygotować – rzucił teraz twardym głosem. – Sformować pluton egzekucyjny. To smutne, ale co możemy poradzić… Na nic nam taki balast.

– Czyli poważnie?… – jęknął kapitan.

– Przecież słyszał pan rozkaz. Rozstrzelać.

– Ale jakże tak?! – eksplodował ochroniarz. – Rozstrzelać?! Zabić bezbronnego człowieka? Kobietę? Co pan, commanderze?!!!

– Dlaczego zwraca się pan do przełożonego nieregulaminowo?

– Przepraszam, sir! Ale…

– Słyszał pan wydane mi polecenie?

– Ale…

– Pow-ta-rz-rzam! – zaczął bardzo wiarogodnie gotować się ZDO. – I więcej już nie będę! Już raz mi pan tu, młody człowieku, odmówił wykonania rozkazu! Już dopuścił się pan wykroczenia! I to się panu wydaje mało?!

– Ach…

– Nie, no słyszał pan czy nie, kapitanie? Ogłuchł pan, żeby to krew zalała?! Gdzie pan, kurwa, jest? Na pokładzie czego? Mamy stan wojenny! Okręt bojowy! Och-ch-chrona! Kur-r-r-r! Po rozstrzelaniu wszyscy natychmiast do karceru! O minimalnych racjach. Tak proszę zameldować kontradmirałowi! Pan jest odpowiedzialny za wykonanie rozkazu, kapitanie! A ja to sprawdzę!

– Moim zdaniem najlepiej będzie w śluzie towarowej – podpowiedział Werner. – Postawić skazańca przy zewnętrznym luku, babach, potem zamknąć wewnętrzny, otworzyć zewnętrzny i na koniec uruchomi się przedmuch.

Dowódca ochrony miał wypisane na twarzy zbliżające się omdlenie. Goryle Raszyna za jego plecami dosłownie zjeżdżali po ścianie, rechocąc bezdźwięcznie. Ludzie Essexa skamienieli z przerażenia nie mogli tego widzieć i kapitana nie miał kto ratować.

– Dobry pomysł – poparł technika Borowski, przechodząc na spokojny, rzeczowy ton. – Tak właśnie zrobimy. Rozumiemy się, kapitanie? Przygotujcie ludzi. Niech stracę, sam osobiście postawię wam potem litr samogonu. Możesz uważać, że ci wybaczyłem. Przecież rozumiem… Nie przejmuj się tak, to tylko za pierwszym razem jest trudne.

– Rozkaz… – wykrztusił ochroniarz. – W pisemnej postaci… Na papierze… coś mi niedobrze…

– Łapcie! – polecił ZDO.

Podwładni chwycili kapitana pod ręce i ostrożnie ułożyli na podłodze.

– Będziesz wiedział, bucu jeden, kto rządzi na moim okręcie – oświadczył dumnie Jean Paul. – Ja tu jestem najważniejszy,

commander Borowski! A ty jesteś nikim. Możesz się stawiać na swoim „Gordonie". „Skoczek" to moje gospodarstwo. Dobra… – zerknął na ludzi Raszyna i ci nagle przestali się śmiać.

– Ci przyjezdni kiepściarze nie dadzą rady – wyjaśnił pierwszy oficer.

– Ale niby co? – zainteresowali się miejscowi.

– No to, że to wy będziecie rozstrzeliwać Margo!

* * *

– Światło… – mamrotał Issiah. – Widzę światło…

Zapewniał, że katapultował się z rozwalonego nie wiadomo przez kogo battleshipa i wykonał bezprecedensowy dryf na miniaturowym module od Pasa do Ziemi.

– Bardzo jasne światło. Bardzo ciepłe. Jakbym z Ziemi patrzył w Słońce…

Zeznał już pod hipnozą wszystko o kontaktach z wojskowym kontrwywiadem, wskazał kanał łączności i słowa kodowe. Essex, słuchając wyznań swojego adiutanta, ogryzł wszystkie paznokcie na palcach.

Przesłuchanie trwało już ponad godzinę – z pamięci Issiaha wydłubano nawet spis załogi „Skywalkera". Poza porucznikiem Meyerem uratował się ktoś jeszcze i należało teraz znaleźć tych astronautów. Było więcej niż pewne, że admiralicja wykorzystała swoją szansę eksploatacji ludzi bez przeszłości, zrobiła z nich agentów i powtykała w całą flotę, celując w co bardziej kluczowe stanowiska.

– A potem… Potem zasnąłem – zeznał Issiah i rzeczywiście zasnął, zasnął pomimo tego, że znajdował się w hipnotycznym transie.

– Nic więcej nie pamięta. – Pokręciła głową Linda, odrywając się od monitora i patrząc na Raszyna z niemym pytaniem w oczach. – To znaczy… Powiedzmy tak: ta istota posiada pełną pamięć porucznika Meyera. Który zobaczył światło i zasnął.

Admirał przetarł twarz dłonią.

– Żadnych szans? – zapytał.

Kapitan Stanfield popatrzyła znowu w monitor, potem wstała, podeszła do Issiaha i zaczęła zdejmować z jego głowy kontakty hipnorekordera.

– Wszystko skasowane – powiedziała. – Nie, może coś tam ma zapisane, ale najprawdopodobniej w takim języku, jakiego my na razie nie potrafimy odczytać. Zgadłam, co, *driver?*

Natknęła się na tę informację przypadkowo. Coś jej nie pasowało

w opowiadaniu Issiaha o tym, jak kręcił się nad Pasem. Poprosiła go wtedy, by przypomniał sobie szczegóły. A ten opowiedział jej, jak piątej doby zobaczył zagadkowe światło. Zobaczył i zasnął.

Essex podrapał się po starannie wygolonym podbródku. Westchnął tak, że Raszyn rzucił mu przez ramię pełne wyrzutu spojrzenie.

– Ile Abraham będzie jeszcze leciał na Cerbera? – zapytał. – Ze dwa tygodnie?

– Piętnaście dni.

– Poślij mu rozkaz. Jak zobaczy światło, niech nie zasypia, a wypieprza stamtąd pełnym gazem. Niech nie próbuje się wpatrywać ani odkrywać, jasne? Ma natychmiast wiać.

Tyłek kiwnął twierdząco głową i ponownie westchnął.

– Obcy? – zapytała Linda, podnosząc Issiahowi powiekę i patrząc w źrenicę.

– A kto to wie? – uchylił się od odpowiedzi Raszyn.

– No bo kto inny by mu rozkazał zapomnieć o tym przypadku…

– Może to ktoś w admiralicji? Wiesz coś o eksperymentach z klonowaniem? Czy są dalej prowadzone?

– Nie mam pojęcia, szefie.

– Tym niemniej wzorzec DNA każdego astronauty leży w banku danych. Teraz wyobraź sobie takie coś: zniknął okręt. Wujek Gunnar wydaje polecenie swojemu kontrwywiadowi. Ten hoduje nowego Issiaha Meyera zamiast zabitego, tworzy miłą dla ucha legendę, nawet ją utajnia dla większego prawdopodobieństwa… Nie, dalej nic nie pasuje. Po co wtedy to światło?

– Właśnie, po co?

– Proszę posłuchać, Lindo. Nie da rady pani wypatroszyć mu czerepu i wyciągnąć wszystkiego, co tam siedzi? – zainteresował się Essex. – Mam na myśli, no, jakąś tam ingerencję chirurgiczną.

– To nie moja kompetencja – pochmurnie powiedziała Stanfield. – Być może neurochirurg coś powie, ale jak na mnie to już za dużo. Poza tym raczej nic z tego nie będzie. Nasza chirurgia ciągle traktuje mózg jak komputer. A to, co pan proponuje, to najbardziej prymitywne i brutalne potraktowanie komputera, jakie tylko można sobie wyobrazić.

– Kto ci powiedział, że Obcy są mądrzejsi od nas? – zapytał Raszyn.

– Czyli jednak Obcy, tak? – ożywiła się Linda.

– Przecież mówię, że nie mam pojęcia… Może…

– Mądrzejsi od nas czy nie, ale robią wszystko inaczej – wtrącił już rozsądniej Essex. – Jakkolwiek byśmy szperali w tym jego móżdżku, guzik z tego będzie. Szukać będziemy nie tego, co trzeba, i pewnie nieodpowiednimi metodami… Samo podejście nie takie.

Jestem pewien.

– Drodzy panowie! – Linda nagle usiadła. – Czy ktoś tu ma pojęcie, o jakim bezsensie rozmawiamy?

– A czego się spodziewać po wariatach? – wzruszył ramionami admirał. – W końcu jesteśmy astronautami… Stały stres, trauma goni traumę, już nie mamy miejsca na pieczątki od lekarzy.

– Na mnie już dziesiąty rok czeka szpital – zupełnie poważnie poparł go Tyłek. – Jak tylko pójdę na emeryturę, od razu się położę.

– Przestańcie sobie robić jaja! – machnęła ręką Stanfield. – Takich wariatów jak wy jest pełno we flocie. Każdy ma jakąś traumę. A poza tym wszyscy już na starcie byli nie za bardzo. Do tego problemy seksualne… Panowie, czas się żenić. Każdy powinien mieć babę i normalny dom. Wszystkie problemy jak ręką odjął. Bo kiedy zaczynacie myśleć o Obcych…

– Dobra, dość – polecił Raszyn. – Jesteś zawodowcem, za Margo podziękujemy ci oddzielnie, ale co się tyczy Obcych, to, kochana, po prostu nie twoja sprawa. Jasne?

– Tak, sir – nadąsała się Linda. – Za Margo proszę mi nie dziękować, raczej odebrać licencję.

– Na nic nam taki balast – admirał, nie wiedząc o tym, powtórzył słowa Borowskiego wypowiedziane godzinę temu na korytarzu. – Psychopatka przy kierownicy to utrata zdolności bojowej. Nasza pani psycholog spowodowała tylko zaostrzenie stanu – wyjaśnił Esseksowi. – Rozumiesz, że nie mogę usunąć kogoś ze stanu osobowego tylko dlatego, że podejrzewam u niego chorobę.

– A ja bym mógł – twardo oświadczył Tyłek. – Ja jestem dobry.

– Ty to pewnie byłeś dobry wujek, kiedy usuwałeś Wernera, co? – przypomniał sobie Raszyn. – Jesteś pewien, że nikt ci nie podsunął tego pomysłu?

– Jestem pewien. Pamiętam go świetnie. Jak miałbym zapomnieć drugiego Rosjanina? Poza tym wiadomo: „von Rey", zanurzenie w Jowisza… Klasyka. Nie, Aleks, wybacz, ale pamiętam wszystko świetnie. Naprawdę nikt go nie chciał wziąć do załogi. Ty też.

– My byliśmy wtedy… jakby skłóceni… – przyznał skonfundowany admirał. – No bo wiesz, ja go wprowadziłem we flotę i tak dalej. Oczywiście, nasze stosunki nie były służbowe, raczej jak ojca z synem. Ale po incydencie z Jowiszem Andrew bardzo długo leżał w szpitalu, a potem miał jeszcze rok urlopu i wrócił na górę inny niż ten, którego znałem. Dlatego nie usiłowałem go trzymać przy sobie. *Niech sobie polata* – pomyślałem – *na różnych okrętach, niech nabierze doświadczenia.* Ale do niego przykleił się pech, chociaż nawet nie wiem, dlaczego niby pech! Przecież zawsze wychodził z tych historii cało…

– Przepraszam, sir, w jakim szpitalu leżał Werner? – wtrąciła się

Linda. – W mojej specjalności?

– A w jakich szpitalach leży się tak długo? – odpowiedział pytaniem na pytanie Raszyn.

– Tak myślałam – skinęła głową Stanfield. – Rzeczywiście, fartowny facet. Nieźle go poreperowali. Słusznie mu się należy romans z Candy.

– Tak? – zdziwił się admirał. – Cóż… To dobrze. Żeby tylko nie zaniedbywał służby. Bo roboty ma od cholery… – Popatrzył znacząco na Esseksa i ten pokiwał głową, że niby rozumie. – Phil, musisz odkupić swoją winę. Skołuj facetowi kapitana, co?

– Pomyślimy – obiecał Tyłek. – Wyrok w zawiasach. Trudny przypadek, ale nie beznadziejny.

– Dobra – powiedział Raszyn. – Pogadaliśmy, zrelaksowaliśmy się, a problem jest dalej przed nami. Czyli leży. – Skinął w stronę ciągle śpiącego Issiaha. – Co mamy zrobić z naszym przyjacielem? W kontekście najnowszych odkryć. Przypuśćmy, że co do tego, że to klon, jesteśmy niemal pewni. Ale kto go wyhodował? Czy jego obecność w sztabie jakoś nam zagraża? Kupa pytań, co, Phil? *Jołki-połki,* nie mogę uwierzyć, że nie jest człowiekiem.

– Bo jest, sir – oświadczyła Linda. – Sztucznym. Nie wszyscy się rodzą z mamusi i tatusia. I wie pan co, myślę, że to jednak robota admiralicji.

– A światło? – przypomniał dowódca.

– No tak… To nie pasuje…

– Będziemy musieli się go jakoś pozbyć – mruknął Essex niedbale, pewnie by nikt nie domyślił się od razu, że żal mu tracić własnego adiutanta. Dlaczego, u licha, nie padło na Mosera?! – Niechby sobie był klonem, pieprzyć to. Przecież sensowny z niego oficer. Gorzej mieć pod nosem szpiega admiralicji… Ale skoro to gość, który zobaczył światło sfer niebieskich…

– Może przeżył jakąś iluminację, jakiś religijny hopsztos? – zapytała z nadzieją w głosie Linda. – Panowie, przecież jesteście ludźmi wykształconymi…

– Phil jest wykształcony – przypomniał sobie Raszyn. – Podobno czytał Biblię.

– Odczep się – poprosił Tyłek. – Nie czytałem Biblii. Przeglądałem tylko obrazki. I nikomu nie radzę. Bardzo szczegółowa historia przelewu krwi. Wszyscy się zabijają i składają z siebie ofiary. Przez ponad połowę księgi. A reszta o tym, jak Żydzi ukrzyżowali Chrystusa. Z wszystkiego morał taki, że Bóg jest miłością.

– Dziwni ci nasi przodkowie… – westchnął admirał.

– Są też przykłady pozytywne – dodał Essex. – Nawet bardzo pozytywne. Ale wszystkie jakieś posępne, z wyraźnym odcieniem psychopatii. I niewiele tego jest, szczerze mówiąc.

– Więc co robimy z Issiahem? – zapytał Raszyn.

– Jak to co? Oddajcie mi go – niemal z chciwością w głosie zaproponował Tyłek. – Ja to wyjaśnię. Nie przejmuj się, Aleks, długo już nie pożyje. – Westchnął. – Załatwimy go po cichu, a potem zrobimy sekcję i wyjaśnimy, czyja to robota: nasza czy Obcych. Lindo, kochanie, może go pani tak obudzić, żeby niczego nie skapował?

– Tak, sir. Ale lepiej nie tu. Moglibyśmy zmontować jakąś naradę czy coś takiego? A ja mu wmówię, że od dawna siedzi obok pana i myśli o swoich sprawach, dlatego nic nie zapamiętał.

– Nie ma problemu – powiedział admirał. – W takim razie wzywam ochronę i niech go wloką do mnie. Dziękuję, Lindo. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Niech pan lepiej zapomni o Obcych – poradziła fachowym tonem psycholog pokładowy. – Wyjdzie to panu na zdrowie.

Raszyn wstał i podszedł do drzwi.

– O Obcych to ty masz zapomnieć – powiedział zimnym tonem. – Jasne?

– Tak jest, sir! – skinęła głową Linda. – Rozumiem, sir.

– Nie, nie rozumiesz. To był rozkaz, kapitan Stanfield.

– Przepraszam, sir – powiedziała poważnym tonem, wstając i przyjmując postawę zasadniczą. – Mam zapomnieć o Obcych, sir.

– No, tak lepiej – uśmiechnął się dowódca. – Idziemy, Phil.

– Moim zdaniem, jednak się kiedyś spotkaliśmy, Lindo – zagruchał na odchodnym Essex, ściskając jej dłoń i znacząco patrząc jej w oczy. – Cóż, miło mi było z panią pracować. Nie chce pani odwiedzić „Gordona" kiedyś, gdyby się pani nudziła? Była już pani kiedyś na naszych WMO? Jest tam na co popatrzeć. Megadestroyer to całe miasto…

– Przy okazji z przyjemnością, sir.

– A zresztą nie żegnam się, przecież pani idzie z nami? Wspaniale, wspaniale…

W korytarzu było już znacznie mniej ludzi. Z ochroniarzy Tyłka została tylko trójka i wszyscy goryle mocno zbledli, odkąd widział ich ostatnio.

– Co się stało? – zapytał Essex, widząc, jak przerze dły ich szeregi. – Gdzie reszta?

– Dowódca zemdlał, panie kontradmirale, sir – zameldował ponuro jeden z jego drabów. – Coś z sercem. Dwaj nasi zatargali go do lazaretu.

– Co mu się stało? – Tyłek nie mógł wyjść ze zdziwienia.

– Borowski go wykończył – poskarżył ochroniarz.

Essex z wyrzutem popatrzył na admirała.

– Wspaniały facet – powiedział z dumą Raszyn. – Zajebie nawet umarłego. Nie rozstrzelał jeszcze przypadkiem mojego nawigatora?

– Przygotowuje się. Chciał nas do tego zmusić. A nam nie wolno, my jesteśmy podwładnymi szefa sztabu. Proszę powiedzieć to commanderowi Borowskiemu, sir, bo on uważa, że nie jesteśmy ludźmi…

– Jak dzieci! – westchnął admirał. – Wszyscy ochroniarze są tacy infantylni. Tylko by się w wojnę bawili. Prawdziwe działania bojowe przechodzą im koło nosa, dlatego nigdy nie dorastają. Powie człowiek coś głupiego, a im już serduszko wysiada. Czy wy, durnie – zwrócił się do goryli – znacie w ogóle regulamin? Czytać jeszcze umiecie? Jaki, w dupę, może być rozstrzał na górze?

– Przecież stan wojenny… – zaoponował słabo któryś z ochroniarzy.

– Do karceru – podsumował Raszyn. – Na obcięte racje i każdy ma dostać regulamin. I póki nie wykujecie na blachę, nie pokazywać mi się na oczy.

– Posłuchaj… – Tyłek pociągnął admirała za rękaw. – Masz tu swoich dwóch łebasów, z nimi się baw. Moich zostaw.

– A czy ja ich dotykam? – uśmiechnął się dowódca. – Przecież wiesz, co się dzieje, kiedy dotykam. Dobra, wy tam, pluton egzekucyjny! Na razie popracujcie w charakterze tragarzy. Idźcie do kajuty, bierzcie kapitana Meyera i ciągnijcie do mnie. A do karceru potem.

Ochroniarze z pogrzebowymi minami powlekli się do gabinetu Lindy.

– Okrutny z ciebie facet, Aleks – powiedział Essex z udawaną surowością. – Co tu dużo mówić, Rosjanin.

– Yhy – skinął głową admirał. – Na dodatek sprzedałem Żydów Arabom, a resztę globu Chińczykom. I pozabijałem wszystkich Marsjan.

– Że też się wyrobiłeś z tym wszystkim! – Tyłek wybuchnął śmiechem.

* * *

Na przeformowanie Grupy F z pozycji orbitalnej w szyk marszowy zazwyczaj potrzebne były dwie godziny. Tym razem udało się dokonać tego w półtorej. Nawet szeregowcy wiedzieli, że operacja może być ostatnią (co prawda na okrętach mówiono: *jeszcze raz i koniec),* dlatego wszystko szło gładko, bez żadnych kiksów. Z pewnym opóźnieniem na końcu szyku ulokował się niezbyt zwrotny desantowiec i Raszyn, którego niemal wykończyły jego niezręczne

manewry, dał rozkaz startu.

Dowództwo na dole żądało dynamicznego działania, rachuba Esseksa otrzymała kupę forsy, rozpędzano się więc na boosterach, co w normalnej sytuacji rozwaliłoby budżet grupy. *Marsjańskie ramię,* i tak uważane za krótkie, tym razem skróciło się do jedenastu dób.

Podczas rozpędzania panowało sześciokrotne przeciążenie. Ponieważ i tak wszyscy chodzili w maskach, Raszyn polecił, by każdy poza tabliczką na piersi miał również na plecach wypisane nazwisko. Admirałowi pomógł w tym Fox i oczywiście plecy dowódcy ozdobił wielki napis Raszyn, czego ten nawet najpierw nie podejrzewał. Ale następnego dnia zobaczył w korytarzu plecy kogoś o nazwisku Fuckoff i coś zaczął podejrzewać. Zbiórka załogi pozwoliła wykryć jeszcze dziesięć nazwisk-przekleństw, jedną panienkę o imieniu Candy oraz mężczyznę, który na piersi miał właściwe *Comm. Fox,* a na plecach Kanonier. Admirał zaczął opieprzać bractwo, ale kiedy dowiedział się, co sam nosi z tyłu na speckostiumie, uspokoił się nagle. Oczywiście kazał zlikwidować wszelkie *Fuckoffy, Shitheady* i *Donnerwettery,* ale to był koniec jego szykan.

Życie astronautów podczas rozbiegu szczególnie się nie zmieniło, zwyczajna sprawa. W czasie walk nieraz chodzili w maskach po dwa – trzy miesiące, a przy sześciu G w speckostiumie można było nawet tańczyć. Tylko Borowski, który nawet w bojowym stroju astronauty czuł się przy takich obciążeniach niedobrze, już drugiego dnia oszalał i korzystając z tego, że z basenu spuszczono wodę, posłał techników Wernera do cyklinowania dna ultradźwiękami. Andrew, odpoczywający w kajucie po wachcie, odkrył nadużycie władzy dopiero w chwili, kiedy podwładni zdarli już dwa milimetry pokrycia. Ogromny czerwony członek po tej operacji rozjarzył się tak wspaniałą barwą, że technicy zapragnęli kontynuować prace. Borowski siedział na słupku, zwiesiwszy nogi w dół, i bluzgał przekleństwami we wszystkich znanych sobie językach.

Werner roześmiał się, po czym poszedł dalej spać. Dwie godziny przed startem zameldował admirałowi, że wszystkie prace dotyczące unieszkodliwienia sabotujących i podsłuchujących urządzeń na pokładzie „Skoczka" zostały zakończone. Raszyn z zadowoleniem klepnął Andrew w ramię i pozwolił udać się na spoczynek. Werner zerknął jednak na zegarek. Niewiele myśląc, poszedł do Ive.

– Ach… – sapnął i odetchnął, widząc, że Candy jest w szlafroczku i nie wybiera się na wachtę. – Tak się bałem, że zaraz pójdziesz… Kochana! Jak ja się stęskniłem!

Ive objęła Andrew i przylgnęła twarzą do jego piersi.

– Ja też – powiedziała. – Ale niepotrzebnie się cieszysz. Idziemy na boosterach, zaraz to ogłoszą. Raczej nie da się kochać.

– Ile mamy czasu? – rzeczowo zapytał technik, rozpinając

kombinezon. – Zdążę ci powiedzieć, jak cię uwielbiam?

– Językiem migowym? – Kendall jednym ruchem zrzuciła szlafrok i Werner omal się nie rozpłakał z powodu fali nieoczekiwanej czułości. Ta kobieta nie była po prostu piękna, ona była stworzona specjalnie dla niego. Właśnie dla niego. A on urodził się, żeby jej służyć, być jej wiernym, marzyć o tym, by mieć z nią dzieci, a może nawet poprosić ją o rękę i zaproponować swoje serce, jak to się robiło w przeszłości.

Pewnie miał w tym momencie dziwny wyraz twarzy. W każdym razie Ive pod jego spojrzeniem zawstydziła się po raz pierwszy w życiu. Przylgnęła do niego całym ciałem, ukrywając swoją nagość.

– Co jest? – zapytała cicho.

Andrew roześmiał się trochę nerwowo. Mocno przycisnął dziewczynę do siebie.

– Wybacz – powiedział. – Po prostu nagle zrozumiałem… Przepraszam. Ale to takie nowe dla mnie. Zrozum, nigdy wcześniej nie przeżywałem niczego takiego. Ive, kochanie… Kocham cię.

– Słucham? – zapytała Candy.

– Nigdy i nikomu tego jeszcze nie mówiłem – przyznał się Werner. – To nie jest takie łatwe. Człowiek się obnaża. Nie można skłamać. Albo czujesz to, kiedy mówisz, albo nie, i wtedy nie ma się co odzywać. Ale ja mam co powiedzieć. Kocham cię. Kocham cię… No.

Odsunęła się odrobinę i popatrzyła mu w oczy.

– Mogę ci zadać nietaktowne pytanie? Od kiedy to wiesz?

– Od pierwszego spojrzenia – szczerze odpowiedział. – Pamiętasz, kontrola zwierciadeł nawalała, a ja…

– Andy – szepnęła Ive – proszę cię, nie strzyż się, dobrze?

– To znaczy? – zdziwił się Werner.

– Ja rozumiem, że kiedy chodzisz w masce, długie włosy nie są zbyt wygodne – mówiła Candy. – Ale zachowaj swój ogon, dobrze? Dla mnie.

– Oczywiście… – wymamrotał skonfundowany.

– Bardzo ci z nim do twarzy… Jesteś taki przystojny, Andy. Najprzystojniejszy na świecie… I… ja, jak cię zobaczyłam po raz pierwszy… Śniłeś mi się każdej nocy. Ja… Ja też cię kocham. Bardzo cię kocham.

Werner stracił oddech.

Chciał powiedzieć coś ważnego, coś bardzo ważnego, ale nie potrafił dobrać słów. Gdy jednak znów nabrał powietrza, znalazł, sam tego nie podejrzewając, dobre, ważkie słowa:

– Czyli wszystko będzie dobrze.

Nie rozmawiali więcej, ale naprawdę czuli się wspaniale, mając siebie nawzajem obok. Było im wspaniale jak nigdy dotąd, a potem Ive nagle się rozpłakała. Wystraszony Andrew zaczął ją uspokajać, ale

powiedziała, że to z radości.

I gdyby nie rozkaz nakazujący przebywanie na stanowiskach, Werner za nic by nie odszedł od Ive. Ale i tak potem wrócił i godzinami siedział obok niej na Stanowisku Dowodzenia Okrętem, kiedy miała wachtę, i chodził za nią jak uwiązany, gdziekolwiek szła. Dwa kanciaste potwory z maskami zamiast twarzy – poznawali się nawet mimo zniekształconego wzmacniaczami odgłosu kroków. Nie musieli patrzyć na napisy na plecach, by usłyszeć, jak pod metalem i plastykiem bije ukochane serce.

A brygada Attack Force bezdźwięcznie cięła przestrzeń na sześciokrotnym.

Latarnia na Cerberze ciągle nie dawała najmniejszego znaku życia. Remontowiec leciał do niej najszybciej jak się dało i przybył w obliczonym czasie, po sześciu tygodniach. Nikt na jego pokładzie nie miał pojęcia, że wcześniej kapitan scouta „Helen Ripley", commander Fein, zameldował z peryferii Słonecznego, że ostatnie polecenia admirała Uspienskiego przyjął do wiadomości. Załoga „Ripley" kończyła przygotowania do pracy na bliskim dystansie, wykonując planową diagnostykę urządzeń skanujących.

Z ostatnich sondaży wśród Akcjonariuszy wynikło znów, że do rozwiązania bojowej floty zabraknie jakichś pięciu – sześciu procent.

Na chicagowskiej giełdzie akcje producentów wyposażenia dla okrętów wojennych wolno, ale stale szły w górę.

Eksperymentalny gwiazdolot „Leonid Gorbowski" wrócił do stoczni z powodu złej pracy procesora głównego. Kapitan Reez zwołał w Sieci konferencję prasową i obiecał, że jego statek wystartuje dopiero wtedy, kiedy będzie idealnie dostrojony, czyli gotów na sto procent do powrotu i otwarcia dla mieszkańców Słonecznego nowej ery ekspansji kosmicznej.

Na Ziemi liczba osób z ograniczoną zdolnością działania z powodu kalekiego dzieciństwa przekroczyła pułap ośmiu procent.

Rząd Marsa kolejny raz odrzucił propozycję Rady Dyrektorów sprzedania ziemskim bankom genetycznym swoich zasobów DNA.

Rada Dyrektorów z kolei ponownie odrzuciła projekt ustawy o bezwizowym poruszaniu się ludzi w granicach Słonecznego.

Interpol przechwycił największą w historii przemycaną porcję znakomitej konserwowanej spermy.

Na terytorium byłej Federacji Rosyjskiej odnotowano masowe przemieszczanie się koczowniczych ord.

Rząd Stanów Zjednoczonych opublikował coroczne sprawozdanie i prognozę rozwoju kompanii na najbliższe pięć lat. Jeden z punktów, uznanie Londynu za wolną strefę ekonomiczną, został podany do przedyskutowania w Sieci.

Na Wenus w wieku lat dziewięciu zmarł ostatni czarnoskóry

obywatel Republiki.

Admiralicja wyraziła zgodę na odejście w stan spoczynku master-nawigatora kapitan Margaret von Falzfein.

Adiutant szefa sztabu Grupy F kapitan Issiah Meyer doznał śmiertelnego urazu kości czaszki w wyniku nieostrożnego obchodzenia się z maską speckostiumu przy przyspieszeniu sześciu jednostek.

Słownik

Tu Czytelnik odnajdzie m.in. wyjaśnienia, kim był właściwie ów „Skoczek", którego imieniem nazwano okręt flagowy Grupy F, albo dlaczego admirał Raszyn cytuje Nostradamusa.

Alt, Jason din – profesjonalny hazardzista w znacznej mierze zawdzięczający powodzenie w grze zdolnościom ekstrasensa. Pewnego razu zgodził się zagrać cudzymi pieniędzmi dla podziału wygranej. Zmuszony do ucieczki znalazł się na planecie Pyrrus, słynącej z trudnych warunków życia (dwukrotna grawitacja, wrogo nastawiona fauna, jadowita flora). Wygrane pieniądze przeznaczone były na zakup uzbrojenia do walki z otaczającym środowiskiem. Nieszablonowy intelekt i zdolności organizatorskie din Alta pozwoliły mu nie tylko przeżyć na Pyrrusie, ale radykalnie zmienić tryb życia miejscowej społeczności, co doprowadziło do obniżenia naporu biosfery na osiedla ludzkie. Później zmontował z Pyrrian grupę najemników i stanąwszy na jej czele, wziął udział w szeregu awanturniczych wypraw. Więcej o din Alcie: H. Harrison „Planeta śmierci" i inne.

Attack Force – Grupa F. Wzmocniona brygada planetolotów przeznaczona do przechwytu jednostek i blokady powierzchni planet wewnątrz Układu Słonecznego. Przed drugą kampanią marsjańską AF była powiększona poprzez dołączenie do niej kilku WMO-105 (patrz: MEGADESTROYER). Liczba jednostek bojowych AF nigdy nie przekraczała 50. Przez lata pierwszej kampanii marsjańskiej AF z powodu złego dowodzenia i narzucania brygadzie niewłaściwych dla niej funkcji bombardujących straciła załogi 28 średnich i 31 lekkich jednostek. Charakterystyczne cechy późniejszej taktyki AF – dokładne uderzenie, zdolność do prowadzenia walki mimo przewagi ogniowej przeciwnika, szybkie przemieszczanie sił. Podczas drugiej kampanii marsjańskiej AF nie utraciła żadnej załogi z wyjątkiem częściowych strat w wyniku dywersji na WOB-103 „Enterprise".

Atrydes, Paul – Imperator Paul Muad'Dib. Genialny prekognita. Urodzony w II w. jedenastego tysiąclecia na planecie Kaladan. W wieku 15 lat wraz z rodzicami przeniósł się na Arrakis (Diunę), gdzie spędził większą część swego życia. Zwyciężył walki rodów o kontrolę nad odkrywkami przyprawy (wielofunkcyjny narkotyk, ważny element systemu dalekiej łączności) i ogłosił się Imperatorem. Ugasił totalny dżihad – religijną wojnę, w toku której stał się władcą absolutnym zasiedlonej przez ludzi części Wszechświata, i zmusił wszystkich do pokoju. Znany także jako Mahdi (Prorok). Podczas wstąpienia do

plemienia Fremenów otrzymał imię Usul i Paul Muad'Dib. Muad'Dib – w jednym z wariantów przekładu – to mysz kangurowa, arrakiański skoczek pustynny. Tym można wytłumaczyć frywolne traktowanie imienia A. przez załogę SOB „Paul Atrydes". Więcej: F. Herbert „Diuna" i dalsze powieści. W postać filmową u D. Lyncha wcielił się Kyle MacLachlan, a u J. Harrisona – Alec Newman.

Battleship – ciężki planetolot, kosmiczny statek bojowy posiadający znaczną moc bojową, tzw. WOB (wielki okręt bojowy). Przeznaczony do ogniowego osłaniania operacji desantowych, swobodnego działania, niszczenia małych, średnich i wielkich okrętów. Całkowicie montowany jest tylko w dokach orbitalnych. Zazwyczaj eskortowany przez grupę scoutów i fighterów średniego promienia rażenia, dla których jednocześnie spełnia rolę bazy zaopatrzeniowo-remontowej. Jest nieaerodynamiczny, swobodnie manewruje tylko w próżni. W opisywanej rzeczywistości B. w większości pochodziły ze zmodernizowanej serii 104, posiadającej na wyposażeniu silniejsze uzbrojenie i mającej praktycznie nieograniczony zasięg w obrębie Układu Słonecznego.

Cruiser – średni planetolot, kosmiczny statek bojowy dysponujący znaczną mocą ognia, tzw. SOB (średni okręt bojowy), inaczej *setka.* Przeznaczony do osłony i wsparcia WOB, rajdów, służby patrolowej, niszczenia małych i średnich okrętów. Z powodu stosunkowo niewielkich gabarytów możliwy jest montaż w powierzchniowych stoczniach. Aerodynamiczny, mobilny, posiada unikatową dynamikę rozpędu i hamowania, zdolny do startu i lądowania na powierzchni planety bez zewnętrznego naprowadzania. W opisywanych wydarzeniach uczestniczyły z reguły C. serii 100, tworzyły one uderzeniowe jądro Grupy F. Z powodu wyjątkowych zdolności manewrowych właśnie okręt takiego typu (SOB „Paul Atrydes") był okrętem flagowym admirała O. Uspienskiego (Raszyna).

Crusher – superciężki planetolot, kosmiczna jednostka bombardująca, tzw. WOB (Wielki Okręt Bojowy). Projekt C. został wykonany na zamówienie admiralicji bezpośrednio przed pierwszą kampanią marsjańską jako odpowiedź na zapotrzebowanie na klasyczny bombowiec do działań na powierzchni. Crushery były przeznaczone do niszczenia punktów ogniowych i mobilnych sił wroga na powierzchni, także ogniowej osłony operacji desantowych. Zdolny do uderzeń rakietowo-bombowych i artyleryjskich na wielkich obszarach. Montowany wyłącznie w stoczniach orbitalnych. Mało ruchliwy, niezdolny do wejścia w atmosferę. Zazwyczaj wymaga osłony przed wrogimi fighterami (patrz: Fighter). Z reguły

eskortowany przez grupę scoutów i fighterów oraz kilka destroyerów. W opisywanym okresie ziemska flota była w posiadaniu nie więcej niż pięciu C. serii 107, wszystkie były rozbrajane i przygotowywane do przebudowy na komercyjne statki towarowe.

Dekard, Rick – emerytowany policjant, *bladerunner* (łowca androidów). Zajmował się odstrzałem nielegalnie przenikających na Ziemię sztucznych ludzi (replikantów). Zasłynął z polowania w 2019 roku, kiedy celem D. stała się czwórka replikantów serii Nexus-6. W toku siłowych działań D. nie tylko znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale zmuszony był również do rozstrzygania poważnych kwestii moralnych. Przeczytaj „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?" P.K. Dicka lub obejrzyj film R. Scotta „Bladerunner", przedstawiające różne, a raczej skrajnie przeciwne interpretacje wydarzeń. Na ekranie w postać D. wcielił się Harrison Ford.

Destroyer – planetolot o klasę niżej od cruisera, średni okręt bojowy, tzw. SOB, inaczej *dziewiątka.* Uniwersalna jednostka myśliwsko-szturmowa. Zwykle działa w kluczu trzech jednostek. Aerodynamiczny, zdolny do startu i lądowania na powierzchni planety, wyposażony w silne uzbrojenie rakietowo-artyleryjskie. D. serii od 90 do 99 wykorzystywane były chętnie zarówno przez Ziemię, jak i przez Marsa.

Driver – nie tylko ang. *kierowca,* ale też nieoficjalny tytuł grzecznościowy, wyrażająca szacunek forma zwracania się do dowódcy we flocie. Sugeruje wysokie kompetencje i zdolność do beznamiętnego stawiania oporu w sytuacjach na pierwszy rzut oka nie do pokonania.

Ensign – stopień wojskowy, który w US Navy, a także w „Star Trek" odpowiada polskiemu podporucznikowi.

Fighter – myśliwiec, lekki planetolot, kosmiczna jednostka bojowa, tzw. MOB (mały okręt bojowy). Uzbrojenie rakietowo-torpedowe i artyleryjskie. Trudny do trafienia z powodu małych gabarytów i dużej zwrotności. Przeznaczony do zwalczania i niszczenia okrętów dowolnego typu. Zdolny do szturmowania powierzchni. Brak modułów awaryjnych. F. zwykle działają w eskadrach po 10 i więcej jednostek tego samego typu. Często dodawany jest do eskorty crushera, megadestroyera, battleshipa. Grupa F podczas pierwszej kampanii marsjańskiej była zasilona dwiema eskadrami F. serii 75. W toku działań bojowych udowodniona

została stosunkowo niska efektywność F. podczas przechwytywania i w operacjach patrolowych. Później admirał O. Uspienski przekazał swoje F. do eskortowania floty desantowej i bombardującej.

Gorbowski (Gorbowskij) Leonid – dowódca gwiazdolotu desantowego, Tropiciel, potem członek Kokonu-1 i Rady Światowej, ekspert w dziedzinie wyszukiwania śladów działalności nieziemskiego intelektu. Jeden z najbardziej szanowanych liderów światowej wspólnoty XXII w. Więcej o G. patrz: A. Strugacki, B. Strugacki „Południe, XXII wiek", „Daleka Tęcza", „Koniec akcji Arka", „Fale gaszą wiatr" i inne. Najpełniejszą informację o życiu i działalności G. zawierają specjalne badania grupy „Ludeny", niejednokrotnie publikowane w postaci informacji uzupełniającej do późniejszych wydań Strugackich (antologia „Światy braci Strugackich" i in.).

Gordon, John – weteran II wojny światowej, szeregowy urzędnik. Właśnie z nim nawiązał kontakt człowiek z odległej przyszłości, który opracował system temporalnych podróży. W wyniku wymiany umysłów G. znalazł się w ciele księcia wielkiego pseudomonarchicznego mocarstwa. Mimo minimalnej wiedzy o otaczającym go świecie, trafiwszy w środek wojennego konfliktu, dzięki cudom swego męstwa i sprytu godnie zastąpił księcia i zagwarantował swojej armii wielką wiktorię. Brał aktywny udział w działaniach bojowych, po których nastał trwały pokój. Pisał o nim E. Hamilton („The Star Kings", 1949; „Return to the Stars", 1967), jednak polskiemu czytelnikowi John Gordon nadal pozostaje nieznany, w przeciwieństwie do np. Flasha Gordona.

Kotłowanina – żargonowe ogólne określenie grupy powiązanych ze sobą lokalnych wojen na gruncie etnicznym i religijnym mających miejsce w 1. połowie XXI w. na terenie Europy, w basenie Morza Śródziemnego, strefie Zatoki Perskiej, a także w azjatyckiej części Rosji. Termin oficjalny: trzecia wojna światowa.

Megadestroyer – superciężki bojowy planetolot, tzw. WMO (wielki multifunkcyjny okręt). Zdolny do wykonywania wszelkich zadań bojowych niewymagających wchodzenia w atmosferę. Mobilna baza fighterów i scoutów, arsenał-tankowiec, bombowiec, kosmiczny fort, okręt sztabowy. Trudny do uszkodzenia z powierzchni globu, praktycznie nie do uszkodzenia w otwartym kosmosie. Montowany wyłącznie w stoczniach orbitalnych, nieprzystosowany do lądowania na planetach. W składzie Grupy F w opisywanym okresie znajdowały się tylko dwa M. serii 105, jeden z nich wykorzystywany był w charakterze ruchomego sztabu.

Moskwa nie wierzy łzom **–** tytuł jednego z najbardziej znanych i docenianych do dziś filmów radzieckich (wyróżniony m.in. Oskarem), a zarazem pochodzącej z niego piosenki. Choć został nakręcony w 1979 r., to dzięki olbrzymiej liczbie kopii dotrwał do czasów opisywanych w „Najlepszej załodze Słonecznego".

Nostradamus, Michel (wł.: Michel de Nostre-Dame) – francuski medyk, astrolog i alchemik. Genialny jasnowidz. Ur. 14.12.1503 r. Pochodził z bogatej prowansalskiej rodziny żydowskiej, która w 1053 r. przeszła na katolicyzm. Doktor medycyny, przez rok także wykładał ją na uniwersytecie w Montpellier. Swój dar jasnowidzenia dedykował Bogu. Obliczenia i interpretacje astrologiczne służyły za potwierdzenie prawdziwości tego daru. Po wydaniu w 1555 r. pierwszej serii proroczych czterowierszy został zaproszony na dwór Henryka II. Niejednokrotnie udzielał konsultacji koronowanym głowom. Od 1560 r. był nadwornym medykiem Karola IX. Przepowiedział datę własnej śmierci (noc z 1 na 2.07.1566 r.). Prace jasnowidza N. to 12 *centurii* i szereg innych przepowiedni. Interpretacja tekstów jest trudna, ponieważ N. przerwał łańcuch czasowej kolejności swych czterowierszy, ale zgodnie z posłaniem N. do syna Cezara istnieje słowo-klucz, przy pomocy którego ten ciąg może być odtworzony. Rekonstrukcja nie została jednak dokończona. Większość przepowiedni N. się spełniła, a przynajmniej tak uważają bohaterowie „Najlepszej załogi Słonecznego". N. szczegółowo opisał przebieg wydarzeń Kotłowaniny i w ogólnych zarysach – Północy.

Obcy (Alien) – ogólna nazwa nieziemskiego rozumu. Z reguły stosowana w negatywnym znaczeniu.

Pirx – nawigator floty handlowej. Słynący z unikatowej psychicznej wytrzymałości w połączeniu ze skłonnościami do niestandardowych i efektownych rozwiązań. Posiadał olbrzymi potencjał przetrwania w sytuacjach krytycznego obciążenia psychiki. Niejednokrotnie przejawiał te cechy podczas wykonywania nieprzystających profesji obowiązków. Szczegółowo o P. patrz: S. Lem „Opowieści o pilocie Pirxie".

Północ – żargonowy termin określający globalną wojnę jądrową rozpoczętą w 2400 r. i następujące po niej wydarzenia. Impulsem do wybuchu P. stała się militarna ekspansja zza Uralu na Europę. Głównym elementem destrukcyjnym P. stała się trwająca dziesięciolecia zima jądrowa, degradacja biosfery i śmierć 90-95% ludzkiej populacji.

Rada Dyrektorów – wybieralny organ władzy zwierzchniej na Ziemi.

Rey, Lock von – nawigator amator, pochodził z rodu kupieckiego posiadającego wielkie wpływy w federacji Plejad. Ur. na planecie Ark w 3148 r. Uczestniczył w okrutnej konkurencyjnej walce von Reyów z Red-Shift Ltd. o zdobycie komercyjnych ilości illirionu (superpaliwo, pierwiastek ciężki). Produkcja własnych silników illirionowych dawała federacji Plejad nadzieję na uwolnienie się od dyktatu Ziemi i Red-Shift. W krytycznej sytuacji R. zdecydował się na ryzykowny eksperyment: w 3172 r. na żaglowym gwiazdolocie „RUH" wystartował z kosmodromu Gehenny-3 (układ gwiezdny Smoka, Tryton), dotarł do punktu rodzenia się Nowej i przeszedłszy przez wybuch, zaczerpnął żaglami tworzącego się w toroidalnej strukturze Nowej illirionu. Ponieważ jednostka była sterowana przez bezpośrednie łącze z układem nerwowym nawigatorów, zbliżenie się do miejsca powstawania Nowej groziło załodze utratą wzroku. W ostatniej chwili R. przemocą odłączył nawigatorów od sensorów statku i pilotował go samotnie. R. zdobył siedem ton illirionu, osiągnął swój cel i oślepł. Bohaterski czyn R. opisał w powieści „Nova" S.R. Delany Jr., jeden z nielicznych czarnoskórych autorów sf.

Ripley, Helen – porucznik, zastępca dowódcy holownika „Nostromo". Holownik odebrał sygnał SOS z planety LB-426 i odkrył na jej powierzchni nieziemski gwiazdolot oraz jaja-inkubatory z larwami agresywnych Obcych. W wyniku tego kontaktu z załogi „Nostromo" przeżyła tylko R. Wysadziwszy w powietrze holownik, uratowała się w module awaryjnym i 57 lat przebywała w anabiozie, dryfując ku Ziemi. Ponieważ w tym czasie na LB-426 została założona ziemska kolonia, raport R. uznano za błędny. R. została pozbawiona stopnia i atestów, pracowała jako operator dźwigu w portowych dokach. Pod warunkiem przywrócenia dobrego imienia i kwalifikacji zgodziła się wziąć udział w ekspedycji ratunkowej na LB-426, kiedy łączność z kolonistami została niespodziewanie zerwana. Po zetknięciu się z Alienami na statek – poza Ripley – powrócili tylko dwaj ludzie i android. Na pokład przeniknęła jednak także (później zgładzona) królowa Obcych i zdążyła znieść kilka jaj. Atak embrionów spowodował awarię na statku; automatycznie odstrzelony moduł awaryjny wodował na Fiurinie-161, gdzie R. popełniła samobójstwo. Więcej o R. patrz: film fab. „Obcy – ósmy pasażer Nostromo" i kontynuacje: „Obcy 2, 3, 4" oraz nowelizacje scenariuszy. W postać R. na ekranie wcieliła się Sigourney Weaver.

Robocza Strefa – na okrętach bojowych klasy od destroyera w górę: strefa, w której podtrzymywana jest sztuczna grawitacja.

Rocannon, Gaveral – etnograf, specjalista od spraw kultur wysokorozwiniętych społeczeństw. Kierownik pierwszej ekspedycji etnograficznej na Fomalhaut II (później Rocannon) w 321 r. (wg kalendarza Ligi Wszystkich Światów). W wyniku ataku wrogich Lidze sił stracił cały stan osobowy ekspedycji. Wraz z przyjaznymi aborygenami pokonał niezbadane ziemie, wykrył tajną bazę powstańców i naprowadził na nią bombowce Ligi. Resztę życia spędził na zamku Breygna wśród mieszkańców badanej przez siebie planety. Więcej w: U.K. Le Guin „Świat Rocannona", a także wzmianki w innych utworach.

Strefa Zero-G – dowolna część okrętu, w której panuje nieważkość.

Scout – lekki planetolot, bojowy okręt zwiadowczo-patrolowy, tzw. BOZP, inaczej *ósemka.* Pozbawiony uzbrojenia, rekompensuje to fantastyczną zdolnością manewrową, dynamiką rozpędu i hamowania oraz dużym zasięgiem. Przeznaczony do optycznego i elektronicznego zwiadu taktycznego. Nie posiada na wyposażeniu modułów awaryjnych. Aerodynamiczny, zdolny do lądowania i startu z powierzchni globów, również z atmosferą. Często dodawany do eskorty crusherów, megadestroyerów, battleshipów. Zwiad Grupy F liczył do 10 scoutów serii 88.

Sieć – globalny ziemski system interaktywnej komunikacji.

Sistership – jednostka identyczna konstrukcyjnie z inną. Z reguły dwa sistershipy montowane są w stoczniach równolegle.

Skoczek – żargonowy wariant nazwy SOB-100 „Paul Atrydes". Szczegółowo o pochodzeniu nazwy patrz: Atrydes, Paul.

Skywalker, Luke – pilot myśliwca, rycerz Jedi, aktywny uczestnik, potem jeden z liderów powstańczego ruchu w czasach sprawowania rządów przez Imperatora Palpatine'a. Syn Anakina Skywalkera, bardziej znanego jako Darth Vader. Uczestnik dywersyjnych rajdów na pierwszą i drugą Gwiazdę Śmierci. Szczegółowo o S. patrz: „Gwiezdne wojny 1, 2, 3", nowelizacje i sequele. Wcielenie ekranowe postaci – Mark Hammil.

Solo, Han – pilot jednostki towarowej „Sokół Millenium",

zawodowy przemytnik. Z woli przypadku wciągnięty w konflikt z Imperium Galaktycznym po stronie powstańców. Uczestnik dywersyjnych rajdów na pierwszą i drugą Gwiazdę Śmierci (w drugim przypadku – lider grupy naziemnej). Bliski przyjaciel L. Skywalkera. Ukochany księżniczki Lei (senator Lea Organa, Aldebaran). Szczegółowo o S. patrz: cykl filmowy „Gwiezdne wojny", nowelizacje scenariuszy i ich sequele. Wcielenie ekranowe postaci – Harrison Ford.

Stark, Erick John – żołnierz najemnik, badacz. Urodzony na Merkurym. Podczas wyprawy ratunkowej został wciągnięty przypadkowo w proces gwałtownych przemian politycznych i społecznych na obcej planecie. Stał się jednym z przywódców miejscowego powstania. Postać S. stworzyła L. Brackett w pisanym od lat czterdziestych cyklu „Erick John Stark", choć tę autorkę licznych *pulp fictions* bardziej znamy ze scenariuszy filmowych, m.in. do „Imperium kontratakuje".

Synagoga, bezpłodna… – Raszyn cytuje tu czterowiersz Nostradamusa (patrz: Nostradamus) 8,45 przepowiadający utworzenie państwa Izrael i zaostrzenie sytuacji na Bliskim Wschodzie. Pełny tekst w przekładzie Andrzeja Wasewicza:

Synagoga – bezpłodna i bez pożytku -
znajdzie ojczyznę miedzy niewiernymi.
Babilon podetnie skrzydła córce prześladowania,
która jest godna litości i smutna.

Śmoc – parodystyczny wariant Mocy w komedii M. Brooksa „Kosmiczne jaja".

Wiggin, Andrew (Ender) – głównodowodzący wojskowo-kosmicznymi siłami Ziemi w okresie walk z rasą Robali. Odbył szkolenie jako dziecko. Będąc przekonany, że zdaje egzamin końcowy na symulatorze, w rzeczywistości zdalnie kierował prawdziwym starciem, zwyciężając ostatecznie wroga. Więcej w: O.S. Card „Gra Endera" i dalsze powieści.

Zebranie Akcjonariuszy – coroczna globalna telekonferencja z udziałem wszystkich posiadaczy akcji, czyli aktywnych Ziemian.

***